



FRANCES HODGSON BURNETT

---

**Mała księżniczka**

**Frances Hodgson Burnett**

# **Mała księżniczka**

tłum. Józef Birkenmajer

[Ta lektura](#), podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie [wolnelektury.pl](http://wolnelektury.pl).

Utwór opracowany został w ramach projektu [Wolne Lektury](#) przez [fundację Nowoczesna Polska](#).



# Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Spis treści](#)

[Sara](#)

[Lekcja francuskiego](#)

[Ermengarda](#)

[Lottie](#)

[Becky](#)

[Kopalnie diamentów](#)

[Jeszcze o kopalniach diamentów](#)

[Na poddaszu](#)

[Melchizedech](#)

[Przybysz z Indii](#)

[Ram Dass](#)

[Po drugiej stronie ściany](#)

[„Jedna z szarego tłumu”](#)

[Co słyszał i widział Melchizedech](#)

[Czarnoksiężnik](#)

[Odwiedziny](#)

[„Oto jest to dziecko”](#)

[„Staralam się być nią zawsze”](#)

[Anna](#)

[Przypisy](#)

[Strona redakcyjna](#)

# Mała księżniczka

# Sara

W pewien mroczny dzień zimowy, gdy ulice Londynu zaległa żółtawa mgła, tak gęsta i ciężka, że w mieszkaniach pozapalano światła, a okna sklepowe oświetlone były, jak w nocy, lampami gazowymi, głównymi ulicami miasta wlokła się z wolna dorożka, w której jechała mała dziewczynka ze swym tatusiem.

Siedziała, podwinawszy pod siebie nóżki, oparłszy się o ramię ojca i wielkimi oczyma o dziwnym, jakby niedziecięcym spojrzeniu, przyglądała się przez szybę przechodniom.

Po jej małej twarzyczce nikt by się nie spodziewał takiego spojrzenia. Było to spojrzenie dziewczynki dwunastoletniej, a Sara Crewe miała dopiero lat siedem. Mimo to — rzecz uderzająca — zawsze marzyła i dumiała o dziwnych jakichś rzeczach i nie mogła sobie przypomnieć takiego czasu, by nie rozmyślała o ludziach dorosłych i o świecie, do którego oni należą. Zdawało się jej, że już przeżyła długi, długi czas na tym świecie.

W chwili, o której mówimy, przypominała sobie podróż, odbytą niedawno wraz z ojcem, kapitanem Crewe. Myślała o wielkim okręcie, który ja wiozł z Bombaju, o laskarach<sup>[1]</sup>, przechadzających się po nim w milczeniu, o dzieciach, bawiących się na rozgrzanym pokładzie i o kilku młodych paniach, żonach oficerów, które wciągały ją w rozmowę i śmiały się z różnych jej powiedzeń.

Najwięcej zastanawiała się nad tym, jak to dziwnie plotą się ludzkie sprawy — gdy ktoś najpierw przebywał pod skwarnym niebem Indii, następnie znalazł się pośrodku oceanu, a wreszcie jechał w dziwnym jakimś powozie przez cudaczne ulice, gdzie w dzień było tak ciemno, jak w nocy. Wydało się jej to tak zagadkowe i intrygujące, że przysunawszy się do ojca odezwała się do niego cichym, tajemniczym głosem:

— Tatusiu! Tatusiu!

— Czego sobie życzysz, kochanie? — odpowiedział kapitan Crewe, przytulając ją mocniej do siebie i przyglądając się uważnie jej twarzyczce. — O czymże to rozmyśla moja Sara?

— Czy to już to *miejsce*, tatusiu? — szepnęła Sara, przytulając się do niego jeszcze bardziej.

— Tak, moja mała, właśnie to miejsce. Dojechaliśmy do niego nareszcie — odpowiedział ojciec, a choć Sara miała dopiero lat siedem, wyczuła smutek w tej odpowiedzi.

Miała wrażenie, że wiele lat upłynęło, odkąd zaczęła się oswajać z myślą o *miejscu*, jak zawsze nazywała Londyn. Sara straciła matkę zaraz po swym urodzeniu, więc nie pamiętała jej wcale i nie tęskniła za nią. Młody, przystojny, bogaty, a pieszczący się wciąż z nią ojczulek wystarczał jej za całą rodzinę. Bawili się zawsze razem i kochali się ogromnie. Wiedziała o nim, że jest bogaty, ponieważ słyszała, jak wyrażano się o nim w ten sposób, gdy myślano, iż ona tego nie słyszy; słyszała też, jak mówiono, że i ona będzie bogata, gdy podrośnie — nie rozumiała jednak, co to znaczy być bogatym. Mieszkała zawsze w pięknym *bungalowu*<sup>[2]</sup> i nawykła widzieć liczną służbę, która nazywała ją *Missee Sahib*<sup>[3]</sup>, składała przed nią *salaamy*<sup>[4]</sup> i ustępowała jej we wszystkim. Miała dużo zabawek i zwierzątek oraz starą *ayah*<sup>[5]</sup>, która ją ubóstwiała. Sara z wolna sobie uświadomiła, że

wszystko to posiadać muszą ludzie bogaci — poza tym jednak nie wiedziała więcej.

Jedna tylko rzecz niepokoiła ją w ciągu krótkiego jej życia — a mianowicie owo *miejsce*, do którego kiedyś miała się przenieść. Klimat Indii jest bardzo niezdrowy dla dzieci Europejczyków, przeto rodzice starają się wyprawić je stamtąd jak najprędzej — zazwyczaj do szkół w macierzystej Anglii. Sara widywała już odjazd innych dzieci i słyszała, jak ich rodzice rozmawiali o listach, jakie od nich otrzymywali. Wiedziała, że sama też będzie musiała wyjechać — a choć pociągały ją opowiadania ojca o podróży i o nowym kraju, jednakże trapiła się myślą, że ojczulek nie będzie mógł przebywać i z nią razem.

— A czy nie mógłbyś i ty pojechać ze mną do tego miejsca, tatusiu? — zapytała raz, gdy liczyła sobie pięć latek. — Czy nie mógłbyś i ty chodzić do szkoły? Ja bym ci pomogła w odrabianiu lekcji.

— Ależ nie zabawisz tam długo, córuchno — pocieszał ją ojciec. — Zamieszkasz w pięknym domu, gdzie będzie dużo małych dziewczynek i będziesz się z nimi bawiła, a ja ci będę przysyłał mnóstwo różnych książek... i urośniesz tak prędko, iż niczym rok jeden zbiegnie ci ten cały czas, nim będziesz na tyle duża i mądra, że potrafiś wrócić do tatusia i zaopiekować się nim na stałe.

Lubiła myśleć o tych projektach. Kierownictwo spraw domowych w zastępstwie ojca — przejażdżka konna i siadywanie na pierwszym miejscu podczas proszonych kolacji — rozmowy z ojcem i czytanie jego książek — wszystko to wydawało się jej czymś wprost wymarzonem, więc zdawała sobie sprawę z tego, że za cenę osiągnięcia tego szczęścia warto i godzi się pojechać nawet do owego *miejsca* w Anglii. Na towarzystwie małych dziewczynek bynajmniej jej nie zależało, ale obiecane *mnóstwo książek* byłoby dla niej prawdziwą osłodą doli. Książki bowiem lubiła nad wszystko w świecie i rozczytywała się w nich zawzięcie; pod wpływem tej lektury układała opowiadki o różnych pięknych rzeczach i opowiadała je samej sobie — a czasami i ojcu, który również znajdował w nich wielkie upodobanie.

— Tak, tatusiu — odezwała się potulnie. — Skorośmy się tu znaleźli, sądzę, że powinniśmy pogodzić się z losem.

Roześmiał się, ubawiony tym poważnym sposobem jej przemawiania, i ucałował ją serdecznie. Mała, tak w postępowaniu swym dziwna Sara, była dlań ważną, nieodzowną towarzyszką; zdawał sobie więc sprawę z tego, że będzie bardzo markotny i osamotniony, gdy powróciwszy do Indii i wszedłszy do *bungalowu*, nie zastanie w nim małej osóбки w białej sukience. Przeto przycisnął ją silniej do serca, gdy dorożka wtoczyła się na duży, posępny plac, gdzie wznosił się dom, będący celem ich podróży.

Była to olbrzymia, posępna kamienica z czerwonej cegły, zupełnie podobna do innych, stojących w jednym rzędzie z nią, z tą tylko różnicą, że na jej bramie widniała mosiężna tablica z wrytym czarnym napisem:

Miss Minchin

wzorowy pensjonat dla panienek

— Jesteśmy już na miejscu, Saro — odezwał się kapitan Crewe, starając się nadać głosowi jak najweselsze brzmienie. Wysadził ją z dorożki, po czym weszli na schodki i zadzwonili do bramy.

Później Sarze niejednokrotnie przychodziło na myśl, że ta kamienica była jakoś bardzo podobna do miss Minchin. Była dostojna i porządnie umeblowana, lecz wszystko w niej było brzydkie — a nawet fotele wydawały się jakby kościste. W hallu wszystko było twarde i wypolerowane — nawet czerwona puciołowata twarz księżycowa, stanowiąca cyferblat<sup>[6]</sup> wysokiego zegara stojącego w kącie, miała wyraz sztywny, nazbyt gładki. Salon, do którego ich wprowadzono, zasłany był dywanem w czworokątny deseń, krzesła były kanciaste, a na ciężkim marmurowym gzymsie stał ciężki marmurowy zegar.

Gdy zasiedli na jednym z tych kanciastych, mahoniowych krzesel, Sara rozejrzała się szybko wokoło.

— Nie lubię tego wszystkiego, tatusiu — odezwała się. — Ale przecie i żołnierze, choćby najdzielniejsi, nie lubią iść do bitwy.

Kapitan się roześmiał. Był młody i lubił żarty, a dziwnych gawęd Sary mógł słuchać bez końca.

— Tak, moja mała — powiedział. — Cóż pocznę z sobą, gdy nie będzie miał kto przemawiać do mnie tak poważnie?

— Ale czemu te poważne rzeczy pobudzają cię do śmiechu? — zapytała Sara.

— Bo jesteś taka zabawna, kiedy o nich mówisz — odpowiedział, śmiejąc się jeszcze bardziej. Naraz<sup>[7]</sup> przestał się śmiać, przygarnął ją ramieniem i ucałował, a w oku jakby łza mu się zakręciła.

W tejże chwili weszła miss Minchin — osoba wysoka, posępna, dostojna i brzydka, jak własna jej kamienica. Miała szerokie, chłodne, rybie oczy i takiż uśmiech, który rozszerzył się jeszcze bardziej, gdy ujrzała Sarę i jej ojca. O młodym oficerze słyszała bardzo dużo dobrego od pani, która rekomendowała mu jej szkołę; między innymi słyszała, że był bogaty i że gotów był nie żałować pieniędzy na kształcenie swej córki.

— Miło mi będzie roztaczać opiekę nad tak ładną i obiecującą dziewczynką, panie kapitanie — odezwała się, głaszcząc rękę Sary. — Pani Meredith bardzo ją chwaliła. Grzeczna i mądra dziewczynka to dla mnie skarb nie lada.

Sara stała spokojnie, utkwivszy oczy w twarzy miss Minchin, i myślała znów o czymś dziwnym.

— Czemu ona nazwała mnie *ładną*? Nie jestem wcale ładna. Taka Belcia, córka pułkownika Grange, ma dołki w buzi, różowe policzki i długie złociste włosy. Ja mam krótkie czarne włosy i zielone oczy, przy tym jestem chuda i wcale nie powabna. Jestem jedną z najbrzydszych dziewczynek na świecie.

Myliła się jednak Sara, wydając taki sąd o swej urodzie. Wprawdzie nie była zgoła podobna do Izabeli Grange, słynnej w całym pułku ze swej piękności, w każdym razie miała w sobie wiele dziwnego uroku. Była osobką smukłą, zgrabną, jak na swój wiek dość wysoką; twarzyczkę miała bystrą i miłą, włosy gęste, krucze, sfalowane nad samym czołem; duże, przedziwne jej oczy

przysłonięte były długimi czarnymi rzęsami, a choć ich szarozielony kolor nie był w guście jej samej, jednakże podobał się wielu ludziom. Mimo wszystko uważała się za brzydką i pochlebne słowa nie zawróciły jej w główce.

— Jestem tak brzydka, jak i ona... choć na inny sposób. Czemu ona tak się o mnie wyraża?

Z czasem, poznawszy bliżej miss Minchin, dowiedziała się, czemu tak się o niej wyraziła. W ten sam sposób przemawiała do każdego ojca i każdej matki, którzy przyprowadzili dziecko do jej szkoły.

Przyczyną umieszczenia Sary w zakładzie miss Minchin było to, że tutaj wychowały się w swoim czasie dwie córki lady Meredith, której rozsądkowi i doświadczeniu kapitan Crewe ufał bezgranicznie. Sara miała cieszyć się tu szczególnymi przywilejami, jakich nie doznawały inne pensjonarki. Miała dostać dla siebie oddzielną sypialnię i gabinecik, własnego kucyka i powozik oraz dziewczynę, przeznaczoną do jej osobistych posług, na miejsce *ayah*, czyli tubylczej piastunki, która usługiwała jej w Indiach.

— Nie mam najmniejszych obaw co do jej wychowania — mówił kapitan Crewe, z wesołym uśmiechem, głaszcząc rękę Sary. — Cała trudność w tym, by nie pozwolić jej przemęczać się nauką. Dziewczynisko wciąż tylko siedzi z noskiem wetkniętym w książki; ona ich nie czyta, ale wprost pożera... i nigdy nie może się nimi nasycić. Wciąż się rwie do książek dla dorosłych... do grubych tomów w języku francuskim, niemieckim czy angielskim... do historii, życiorysów i dzieł poetyckich. Proszę więc ją odrywać od książek, gdy zmęczy się czytaniem. Niech wtedy pojeździ sobie na kucyku... albo niech wyjdzie na miasto, by kupić sobie nową lalkę. Ona powinna więcej bawić się lalkami.

— Tatusiu — odezwała się Sara — gdybym co parę dni kupowała sobie nową lalkę, prędko by mi się wszystkie znudziły. Z lalkami powinno się żyć w zażyłej przyjaźni. Moją serdeczną przyjaciółką będzie Emilka.

Kapitan Crewe i miss Minchin spojrzeli bacznie na siebie.

— Któż jest ta Emilka? — zapytała miss Minchin.

— Opowiedz nam, Saro — wezwał ją ojciec z uśmiechem.

W zielonych oczkach Sary widniał wyraz wielkiej powagi i spokoju, gdy odpowiadała:

— To lalka, której jeszcze nie dostałam, a którą tatuś dopiero mi kupi. Pójdziemy razem, żeby ją kupić. Dałam jej imię Emilki... a gdy tatuś odjedzie, będę miała w niej przyjaciółkę... i będę jej opowiadała o tatusiu.

Szeroki, rybi uśmiech miss Minchin znamionował w tej chwili naprawdę wielką przychyłność:

— Jakież to niezwykle dziecko! — odezwała się. — Jakież to przemiłe maleństwo!

— Tak — potwierdził kapitan Crewe, przyciskając Sarę do serca. — Przemiłe maleństwo. Proszę opiekować się nią gorąco, miss Minchin.



Przez kilka dni następnych — aż do czasu, gdy ojciec wyruszył w podróż powrotną do Indii — Sara mieszkała wraz z nim w hotelu. Zwiedzając miasto, wstępowali razem do dużych sklepów i kupowali najrozmaitsze rzeczy; nie wszystkie z nich były Sarze potrzebne, to prawda, ale kapitan Crewe był człowiekiem młodym i prędkim, a córkę kochał ogromnie, więc pragnął, by miała wszystko, co tylko jej się podobało i co podobało się jemu samemu. W ten sposób wspólnymi siłami zgromadzili zapas odzieży, aż nazbyt wytwornej, jak na siedmioletnie dziecko. Były tam aksamitne sukienki, bramowane drogimi futerkami, sukienki haftowane i naszywane koronkami, kapelusze z wielkimi, puszystymi piórami strusimi, gronostajowe mufki i kołnierze, oraz pudełka pełne takiej ilości chusteczek do nosa, rękawiczek i jedwabnych pończoch, iż panienki sklepowe szeptały sobie w ucho, że ta dziwna dziewczyneczka o wielkich poważnych oczach musi być co najmniej zagraniczną księżniczką — może córką jakiego radży indyjskiego.

Wiele sklepów obeszli i przyjrżeli się wielu lalkom, dużym i małym, czarnookim i niebieskookim, ubranym i nie ubranym, zanim wreszcie znaleźli Emilkę.

— Ona musi być inna od innych lalek — mówiła Sara. — Musi przede wszystkim patrzeć inaczej, tak, jak gdyby słuchała tego, co ja do niej mówię. A u żadnej z lalek nie spotkałam takiego spojrzenia.

Po wielu nieudanych próbach postanowili iść pieszo i przyglądać się kolejno wszystkim wystawom sklepowym, rozkazawszy woźnicy jechać krok w krok za nimi. Minęli ze trzy składy zabawek, nawet nie zachodząc do środka i już dochodzili do niewielkiego, bynajmniej nierzucającego się w oczy sklepiku, gdy Sara nagle wzdrygnęła się i ścisnęła mocno ramię ojca.

— Tatusiu! — zawołała. — To Emilka!

Rumieniec wystąpił na jej twarzyczkę, a w zieloniućkich oczkach miała taki wyraz, jak gdyby spostrzegła znajomą sobie dobrze i serdeczną przyjaciółkę.

— Właśnie tu na nas czekała! — rzekła. — Chodźmy do niej.

— Wiesz co, moja droga — odrzekł ojciec — mam wrażenie, że ktoś powinien nas jej przedstawić.

— Dobrze! Ty przedstawiśz mnie, a ja ciebie — rzekła Sara. — Ale ja ją poznałam od razu, ledwo ją ujrzałam... więc może i ona mnie poznała.

I bardzo możliwe, że Emilka ją poznała; w każdym razie miała w oczach wyraz bardzo mądry, gdy Sara wzięła ją na ręce. Była to lalka dużych rozmiarów, lecz nie tak duża, by nie można jej było nosić na rękach; miała prawdziwe włoski, spływające dokoła niej falą złocistokasztanowych kędziorków, a nad jasnymi, siwymi oczkami kreśliły się dwa łuki gęstych rzęs, nie malowanych farbą, lecz prawdziwych.

— Tak jest — mówiła Sara, trzymając ją na kolanach i przyglądając się jej twarzy — tak jest, to Emilka!

Kupili więc Emilkę i natychmiast udali się z nią do sklepu z konfekcją dziecięcą, gdzie przymierzano

dla niej ubranka tak wspaniałe, jakie miała Sara. Dostała więc sukienki koronkowe, aksamitne i muślinowe, chusteczki do nosa, futerka.

— Jej będzie u mnie tak dobrze, jak dziecku u kochającej mamusi — mówiła Sara. — Ja jestem jej mamusią, ale poza tym będę ją uważała i za przyjaciółkę.

Kapitan Crewe byłby się czuł również uradowany tymi sprawunkami, gdyby nie dręczyła go smutna myśl, że wkrótce rozłączy się ze swą najukochańszą, a tak w usposobieniu niezwykłą małą towarzyszką.

W tę noc wstał z łóżka i podszedłszy do córki, śpiącej z Emilką w objęciach, długo się jej przyglądał. Czarne jej włoski rozsypały się po poduszce, mieszając się ze złocistokasztanowymi kędziorkami Emilki. Obie ubrane były w obszywane koronkami koszulki nocne — i miały długie rzęsy, sięgające policzków. Emilka do tego stopnia wyglądała na prawdziwe dziecko, że kapitan Crewe czuł się bardzo uradowany jej obecnością. Westchnął i pokręcił wężą.

— Ej, mała córeczko! — szepnął. — Ty pewno nie wiesz, jak smutno będzie tatusiowi bez ciebie!

Rankiem zawiózł ją do pensjonatu panny Minchin i już ją tam pozostawił, bo nazajutrz miał odjechać. Oznajmił miss Minchin, że wszelkie rachunki regulować będą jego plenipotenci[8], panowie Barrow i Skipworth, do których też należy się zwracać po wszelkie potrzebne informacje. Zalecił, by spełniano każdą prośbę Sary i obiecał pisywać do niej dwa razy w tygodniu.

Następnie udał się z Sarą do małego pokoiku gościnnego i pożegnali się z sobą serdecznie. Sara usiadła mu na kolanach i ująwszy rączkami brzeg jego surduta[9], patrzyła w oczy ojca długo i przenikliwie.

— Czy chcesz zapamiętać sobie, jak wyglądam? — zapytał, gładząc jej włoski.

— Nie — odpowiedziała. — Ja przecież wszystko pamiętam. Mam ciebie całego w moim serduszku.

Objęli się ramionami i całowali tak gorąco, jak gdyby nie chcieli dopuścić do rozstania.

Gdy ojciec wsiadł do dorożki, Sara siadła na podłodze swego pokoiku i podparłszy główkę rękoma, patrzyła za odjeżdżającym, póki nie znikł za rogiem placu. Emilka siedziała obok niej i również wpatrywała się w dorożkę. Gdy nadeszła miss Amelia, siostra przełożonej, chcąc — z jej rozkazu — dowiedzieć się, co się dzieje z dziewczynką, znalazła drzwi na klucz zamknięte.

— Zamknęłam je umyślnie — odezwał się grzeczny, ale dziwny w brzmieniu głosik od wewnątrz. — Bardzo bym sobie życzyła zostać sama.

Miss Amelia była to osoba gruba i przysadzista, a wielce zahukana przez siostrę. Miała lepsze od niej serce, jednakże nigdy nie śmiała się sprzeciwić jej woli. Zeszła na dół, ogromnie zaniepokojona.

— Nigdy jeszcze nie widziałam tak śmiesznego, wprost nie po dziecięcemu usposobionego dziecka, siostruniu. Zamknęła się w pokoju i siedzi w nim cicho, jak trusia.

— Wolę to, niż żeby tupać nogami i krzyczała, jak to niektóre z nich umieją! — odpowiedziała miss Minchin. — Myślałam, że dziecko tak rozpieszczone, jak ona, podniesie wrzask na cały pensjonat. Bo też nie widziałam, by komu tak dogadzano, jak jej.

— Pomagałam jej w otwieraniu i rozpakowywaniu kufrów — ozwała się miss Amelia. — Czegoś podobnego nigdy nie widziałam. Sobole... gronostaje... walansjeńskie koronki. Niektóre suknie już widziałas. I cóż ty sądzisz o tym wszystkim?

— Sądzę, że to wszystko jest mocno śmieszne — odpowiedziała miss Minchin. — W każdym razie będzie się w tym ładnie prezentowała na czele szeregu, gdy w niedzielę zaprowadzimy dziewczynki do kościoła. Zaopatrzone ją we wszystko, jak małą księżniczkę.

W zamkniętym pokoiku na górze Sara wraz z Emilką siedziały na podłodze i wpatrywały się w róg ulicy, za którym zniknęła dorożka. Kapitan Crewe jeszcze przez pewien czas oglądał się za siebie, machał ręką i przesyłał całusy, choć już nie widział swej córki.

# Lekcja francuskiego

Gdy rankiem następnego dnia Sara weszła do sali szkolnej, wszystko co żyło, jęło<sup>[10]</sup> się jej przyglądać otwartymi szeroko, pełnymi ciekawości oczyma. Wszystkie uczennice — począwszy od Lawinii Herbert, która miała lat trzynaście i uważała się za dorosłą, a skończywszy na Lottie Legh, która dopiero doszła do czterech latek i była beniaminkiem szkoły — nasłuchiwały się już wielu wieści o nowo przybyłej. Wiedziały — i to z całą pewnością — że jest to uczennica, którą miss Minchin pragnie się popisywać i po której spodziewa się wielkich korzyści dla swego zakładu. Kilka dziewczynek widziało nawet daną jej do posługi dziewczynę, Francuzkę Mariettę, która przybyła poprzedniego wieczoru. Lawinia przechodziła koło pokoju Sary i przez otwarte jego drzwi widziała, jak Mariette rozpakowywała paczkę, nadesłaną późnym wieczorem ze sklepu.

— Było w niej pełno spódniczek, naszywanych suto<sup>[11]</sup> koronkami — szeptała w ucho swej koleżanki Jessie, schylonej nad podręcznikiem geografii. — Słyszałam, jak miss Minchin mówiła do miss Amelii, że to aż śmieszne — stroić tak małą dziewczynkę. Moja mamusia zawsze mówi, że dzieci powinny się ubierać skromnie. Jedną z tych spódniczek ma teraz na sobie; widziałam, gdy siadała.

— Ona ma jedwabne pończochy — szepnęła Jessie. — A jakie małe nóżki! Nigdy nie widziałam tak małych nóżek.

— Phi! — odęła się Lawinia. — To tylko fason jej bucików. Moja mamusia zawsze mówi, że nawet duże nogi mogą się wydawać małe, jeżeli szewc jest zręczny. Mnie się ona nie wydaje ładna. Jej oczy mają tak dziwny kolor.

— Ona nie jest ładna, jak to nieraz bywają ładne dziewczynki — odpowiedziała Jessie, rzucając ukradkowe spojrzenie na salę. — Ale jest w niej coś takiego, co ludzi pociąga. Ma rzęsy straszliwie długie, a oczy prawie zielone.

Tymczasem Sara siedziała spokojnie, czekając, aż jej oznajmią, co ma robić. Dano jej miejsce w pobliżu stolika miss Minchin. Utkwione w nią liczne spojrzenia bynajmniej nie zbiły jej z tropu. Była wszystkim zaciekawiona, więc z całym spokojem patrzyła także na dziewczynki, które jej się przyglądały; zastanawiała się, o czym też one myślą — czy lubią miss Minchin, czy interesują się lekcjami i czy która z nich ma takiego tatusia, jak ona. O tym tatusiu miała dziś rankiem dłuższą rozmowę z Emilką.

— On teraz płynie po morzu, Emilko — mówiła do niej. — Teraz my dwie powinnyśmy serdecznie się przyjaźnić i opowiadać sobie różne rzeczy. Patrz na mnie, Emilko. Oczki masz prześliczne... o, gdybyś jeszcze umiała mówić!

Jednym z fantastycznych urojeń, do których Sara taką żywiła skłonność, było owo ukojenie, jakiego doznawała, łudząc się, że Emilka żyje, a tym samym słyszy i rozumie wszystkie jej słowa. Toteż gdy Mariette ubrała ją w granatowy mundurek szkolny i przewiązała jej włosy granatową wstążką, dziewczynka natychmiast podeszła do Emilki, usadowionej na krzeselku, i podała jej książkę.

— Możesz to czytać, póki nie wrócę ze szkoły.

Widząc zaś, że Mariette spogląda na nią z zaciekawieniem, wyjaśniła poważnie:

— Ja wierzę, że lalki potrafią wykonać wiele rzeczy, tylko nie dają tego poznać po sobie. Jest rzeczą bardzo możliwą, że Emilka umie czytać, mówić i chodzić... ale robi to tylko wtedy, gdy ludzie wyjdą z pokoju. Jest to jej tajemnica. Gdyby ludzie wiedzieli, że lalki potrafią wykonywać różne czynności, zaraz by zaprzęgli je do roboty; dlatego to one zapewne zobowiązały się nawzajem do sekretu. Póki będziesz w pokoju, Emilka będzie siedzieć spokojnie i patrzeć się przed siebie; ale gdy wyjdiesz, ona na pewno zacznie czytać albo podejdzie do okna i będzie patrzyła na ulicę; skoro jednak posłyszysz czyjeś kroki, pobiegnie czym prędzej z powrotem na dawne miejsce i będzie udawała, że siedziała tam przez czas cały.

— *Comme elle est drôle!*<sup>[12]</sup> — rzekła do siebie Mariette i zszedłszy na dół, opowiedziała o wszystkim klucznicy; jednakże od tej chwili poczuła wielką sympatię dla tego dziwnego dziewczątka, które miało twarzyczkę tak rozumną i było tak uprzejme. Mariette dotychczas miewała do czynienia z dziećmi, które bynajmniej nie odnosiły się do niej grzecznie; przeto teraz z zachwytem zwierzała się klucznicy, jak to Sara przemawia do niej: „bądź łaskawa, Marietko”, „dziękuję ci, Marietko” — traktując ją zupełnie niby jaką dystygowaną damę.

— *Elle a l'air d'une princesse, cette petite!*<sup>[13]</sup> — zakończyła, wielce zadowolona z nowej pani i nowego miejsca.

Gdy Sara przesiedziała już parę minut w swej ławce, oglądana z zaciekawieniem przez koleżanki, nagle nad katedrą ukazała się miss Minchin.

— Moje dziewczynki! — przemówiła z dziwnie dostojnym wyrazem oblicza. — Pragnę wam przedstawić nową koleżankę. — (Wszystkie uczennice powstały, a Sara poszła za ich przykładem). — Spodziewam się, że będziecie dobre i uprzejme dla panny Crewe, która przybyła do was z bardzo daleka, bo aż z Indii. Zaraz po ukończeniu lekcji powinnyście się z nią zaznajomić.

Uczennice ukłoniły się ceremonialnie, a Sara odwzajemniła się im ukłonem, po czym usiadły i znów zaczęły się sobie przyglądać.

— Saro — odezwała się miss Minchin tonem, jakiego używała w szkole. — Chodź tu do mnie.

Wyjęła z pulpitu jakąś książkę i zaczęła przewracać stronicę. Sara podeszła grzecznie ku katedrze.

— Ponieważ twój tatuś zgodził Francuzkę na pokojówkę dla ciebie — odezwała się miss Minchin — przypuszczam, że życzył sobie, byś szczególnie przyłożyła się do nauki języka francuskiego.

Sara poczuła się trochę nieswojo.

— Ja myślałam — odpowiedziała — że tatuś dlatego ją zgodził, że... że myślał, iż ja ją polubię, proszę pani.

— Mam pewne obawy — odezwała się miss Minchin, uśmiechając się cierpkawo — że jesteś dziewczynką bardzo rozpieszczoną, która sobie wyobraża, iż wszystko czyni się tylko dla dogodzenia jej upodobaniom. Ja jestem zdania, że twój tatuś sobie życzył, żebyś wzięła się do nauki

francuskiego.

Gdyby Sara była nieco starsza lub mniej skrupulatna na punkcie grzeczności wobec innych, potrafiłaby wyjaśnić w kilku słowach całą sprawę; tymczasem jednak nie zdobyła się ani na jedno słówko — i tylko gorący rumieniec oblał jej policzki. Miss Minchin była osobą bardzo stanowczą i bezwzględną, a przy tym tak głęboko przekonaną o tym, jakoby Sara nie miała pojęcia o francuzczyźnie, iż wszelkie wyprowadzanie jej z błędu mogło się wydawać niemal niegrzecznością.

W istocie jednak język francuski był Sarze znany niemal od kolebki. Jej matka była Francuzką, a kapitan Crewe przez pamięć ukochanej żony, którą stracił tak wcześnie, rozmawiał często w tym języku w obecności córki, a nawet z nią samą — jeszcze gdy była małym pędrakiem...

— Ja nigdy nie uczyłam się naprawdę francuskiego, ale... ale... — zaczęła, chcąc się wytłumaczyć.

Jednym z najpoważniejszych strapiień miss Minchin była nieumiejętność mówienia po francusku. Fakt ten, który ją bolał dotkliwie, usiłowała zataić przed ludźmi, nie miała więc ochoty wdawać się w dyskusję z nowicjuską i narażać się na jej niedyskretne zapytania.

— To wystarczy — odpowiedziała z kwaśną uprzejmością. — Skoro się nie uczyłaś, musisz niezwłocznie przystąpić do nauki. Za parę minut przyjdzie nauczyciel francuskiego, monsieur Dufarge. Weź tę książkę i rozejrzyj się w niej, zanim pan profesor nadejdzie.

Sara, cała w pąsach, wróciła do swej ławki i otworzyła książkę. Spojrzawszy na pierwszą stronicę, starała się zachować poważny wyraz twarzy. Wiedziała, że niegrzecznością byłoby uśmiechać się — a postanowiła sobie święcie, że nie okaże się niegrzeczną; w każdym razie bawiło ją to w duchu, że kazano jej uczyć się, że *le père* oznacza ojca, a *la mère* — matkę.

Miss Minchin spojrzała na nią badawczo.

— Widzę, Saro, że wodzisz oczyma po klasie, zamiast patrzeć w książkę. Szkoda, że nie okazujesz zapału do języka francuskiego.

— Język ten bardzo mi się podoba — odpowiedziała Sara, próbując znów zabrać głos — ale...

— Nie powinnaś mówić „ale”, gdy ci coś rozkazują przełożeni. Patrz w książkę.

Sara wlepiała wzrok w książkę — ale już ani się nie uśmiechnęła, nawet wtedy, gdy wyczytała, że *le fils* oznacza syna, a *le frère* — brata.

— Gdy przyjdzie monsieur Dufarge — myślała — już ja mu wszystko wytłumaczę.

Niebawem nadszedł monsieur Dufarge, miły, inteligentny Francuz w średnim wieku. Ujrzawszy Sarę, niby to pogrążoną w lekturze rozmówek francuskich, zainteresował się tym jej skupieniem i grzecznością.

— Czy to nowa uczennica dla mnie, Madame? — zapytał przełożonej. — Sądzę, że będę miał z niej pociechę.

— Jej ojciec, kapitan Crewe, bardzo pragnie, by rozpoczęła naukę języka francuskiego. Boję się jednak, że ona ma do francuzczyzny jakieś dzieciinne uprzedzenia... bo nie bardzo się garnie do nauki — odpowiedziała miss Minchin.

— Wielka szkoda, mademoiselle — odezwał się monsieur Dufarge uprzejmie do Sary. — Może, gdy zacniemy razem się uczyć, potrafię panią przekonać, że jest to język bardzo piękny.

Sara powstała. Czuła się tak zrozpaczona, jak gdyby popadła w niełaskę. Rozwarłszy szeroko swe zielone oczka, spojrzała nimi szczerze i prostodusznie w twarz monsieur Dufarge'a; wyczytała w niej, że on pojmie, o co chodzi i po prostu zaczęła w dźwięcznej płynnej francuzczyźnie tłumaczyć mu rzecz całą. Zwierzyła się więc, że madame nie zrozumiała jej intencji; prawdą jest, że nie uczyła się francuskiego na lekcjach i z książek, ale tatuś i inni ludzie często mówili do niej tym językiem, tak iż umiała nim mówić i pisać — jak rodowitą swą mową. Był to przecież rodzinny język jej matki, która umarła po jej urodzeniu; dlatego to i tatuś — i ona za jego przykładem — lubili się nim posługiwać.

W końcu Sara zapewniła monsieur Dufarge'a, że bardzo chętnie będzie się uczyła wszystkiego, czego on zechce ją uczyć, a jeżeli zabierała głos wobec przełożonej, to jedynie w tym celu, by jej wyjaśnić, iż wszystkie słówka w podręczniku zna już od dawna.

W chwili, gdy Sara zaczęła mówić, miss Minchin drgnęła i jęła niemal z oburzeniem wpatrywać się spod okularów w uczennicę. Monsieur Dufarge uśmiechał się z wielkim zadowoleniem, słysząc w ustach tego dziecka czysty i uroczy dźwięk ojczystej swej mowy, który myśl jego przeniósł hen do kraju lat młodzieńczych — z dala od ciemnego, mglistego Londynu. Gdy Sara skończyła mówić, spojrzał na nią z rozczeniem i odebrawszy od niej podręcznik, odezwał się do miss Minchin:

— Ach, madame, toż ja niewiele już ją mogę nauczyć! Ona się nie uczyła francuskiego, ale mówi jak rodowita Francuzka. Akcent ma wyborny.

— Powinnaś była mi to powiedzieć — zawołała miss Minchin, mocno urażona.

— Ja... ja chciałam... — odpowiedziała Sara — ale zdaje mi się, że zaczęłam niewłaściwie.

Miss Minchin zdawała sobie dobrze sprawę, że zawiniła, nie dając dojść do słowa dziewczynce. Gdy więc spostrzegła, że inne dziewczęta przysłuchiwały się całej scenie, a Lawinia i Jessie chichocą za książką, wpadła w wielki gniew.

— Cicho, panienki! — odezwała się surowym głosem, stukając w pulpit. — Cicho mi zaraz!

Od tej chwili poczuła wielką niechęć do swej wzorowej uczennicy.

# Ermengarda

Gdy pierwszego dnia lekcji Sara siedziała koło miss Minchin, obserwowana pilnie przez wszystkie koleżanki, zauważyła pomiędzy nimi małą dziewczynkę, mniej więcej w tym samym wieku, która wpatrywała się w nią uporczywie dwojgiem jasnobłękitnych, nieco tępowych oczu. Była to tłusta dziecina, bynajmniej nie wyglądająca na zbyt mądrą, o buzi nadąsanej, ale poczciwej. Jej lniane włosy splecione były w gęsty warkocz; koniec jego przerzuciła sobie przez ramię i gryzła wstążkę, a podparłszy się łokciami o pulpit, przyglądała się z podziwem nowicjuszcze.

Gdy monsieur<sup>[14]</sup> Dufarge zaczął przemawiać do Sary, na twarzyczce tłuscioszki odmalowało się lekkie przerażenie; gdy zaś Sara, wpatrzywszy się w nauczyciela dziecięcymi, szczerymi oczkami, odpowiedziała mu po francusku, aż podskoczyła na ławce i poczerwieniała od lekliwego zdumienia. Ponieważ sama wiele łez wylała, czyniąc rozpaczliwe wysiłki, by zapamiętać, że *la mère* oznacza *matkę*, a *le père* — *ojca*, przeto nie chciało się jej w główce pomieścić, że jakieś dziecko, równe jej wiekiem, zna nie tylko te dwa wyrazy, ale i mnóstwo innych, które potrafi wiązać z sobą w całe zdania bez najmniejszego wysiłku.

Tak wytrzeszczała oczy i tak mocno przygryzała wstążkę warkocza, że ściągnęła na siebie uwagę — a co za tym idzie — i gniew miss Minchin.

— Panno St. John! — upomniała ją surowo przełożona. — Cóż to za zachowanie? Zdejm łokcie z pulpitu! Wyjmij z ust wstążkę! Siadaj mi zaraz porządnie!

Dziewczynka znów poderwała się z ławki, gdy zaś Lawinia i Jessie poczęły chichotać, zaczerwieniła się jeszcze bardziej — a w jej biednych, dziecięcych i tępowych oczkach poczęły gromadzić się łezki. Sara, ujrawszy to, poczuła naraz wielką sympatię dla swej rówieśniczki i zapragnęła być jej przyjaciółką.

— Gdyby Sara była chłopakiem i żyła kilkaset lat temu — mawiał o niej ojciec — na pewno by jeździła z dobytym mieczem po kraju, broniąc i ratując uciśnionych. Ona nie może patrzeć spokojnie na ludzki smutek i krzywdę.

Dlatego to Sara upodobała sobie małą, grubą St. John i przez całe przedpołudnie wciąż spoglądała w jej stronę. Zmiarkowała<sup>[15]</sup> od razu, że tej dziewczynce z trudnością przychodzą lekcje i że daleko jej do tego, by miano ją uważać za celującą. Szczególnie lekcja francuskiego była dla niej udręką. Jej wymowa wywoływała mimowolny uśmiech nawet na dobrotliwej twarzy pana Dufarge, a Lawinia, Jessie i inne zdolniejsze uczennice pozwalały sobie wręcz na śmiechy i drwinki. Ale Sara nie śmiała się bynajmniej, owszem przybierała taką minę, jak gdyby nie słyszała, że panna St. John przekręca *le bon pain*<sup>[16]</sup> na *libonpan*. Zachowanie się koleżanek przejmowało ją oburzeniem.

— Z czegoż one się śmieją!?! — szepnęła przez zęby, schyliwszy się nad książką. — Przecież w tym nie ma nic śmiesznego!

Po lekcjach uczennice zebrały się gromadkami i poczęły gawędzić. Sara odszukała pannę St. John, siedzącą smutno na parapecie okna, podeszła do niej i zapytała:



— Jak się nazywasz?

Od tego pytania małe dziewczynki zaczynają wszelką znajomość, jednakże w słowach Sary był ton szczególny, uderzający ludzi swą serdecznością i uprzejmością.

By zrozumieć zdumienie panny St. John, należy sobie przypomnieć, że każda nowa uczennica jest przez czas pewien jakąś nieokreśloną istotą dla swych koleżanek; o żadnej zaś chyba nowicjusze nie opowiadano w całej szkole tylu dziwnych — często sprzecznych z sobą — historii, co o Sarze. Gawędy te przeciągnęły się aż do późnej nocy. Koleżanka, która miała wózek, kucyka i służącą, a przybyła aż z dalekich Indii — była to znajomość nie lada.

— Nazywam się Ermengarda St. John — odpowiedziała dziewczynka.

— A ja się nazywam Sara Crewe — przedstawiła się Sara. — Masz bardzo ładne nazwisko... zupełnie jak z jakiejś powieści.

— Podoba ci się? — zawstydziła się Ermengarda. — A mnie... mnie podoba się twoje nazwisko.

Największym strapieniem, ba, klęską, w życiu Ermengardy St. John było to, że miała ojca uczonego, który umiał wszystko: mówił siedmioma czy ośmioma językami, a w swej bibliotece posiadał tysiące tomów, których treść znał niewątpliwie na wylot. Człowiek taki zwykł żądać od swego dziecka, by było obeznane przynajmniej z treścią podręczników szkolnych, a w każdym razie sądził, że powinno pamiętać parę zdarzeń z historii i umieć napisać wypracowanie francuskie. Toteż pan St. John nie mógł zrozumieć, czemu jego córka — zamiast odznaczać się w nauce — okazuje we wszystkim stałą i niewątpliwą tępotę.

— Jak mi życie miłe! — powtarzał nieraz, przyglądając się jej uważnie. — Niekiedy mam wrażenie, że to dziecko jest tak mało rozwinięte, jak jej ciotka Eliza!

Jeżeli owa ciotka Eliza słynęła z tego, iż uczyła się każdej rzeczy z wielkim mozołem, by niebawem zapomnieć o niej doszczętnie, to Ermengarda była uderzająco do niej podobna, toteż opinia powszechna uważała ją za najślabszą uczennicę w całej szkole.

— Trzeba ją zmuszać do nauki — powiadał jej ojciec do miss Minchin. Rezultatem tych słów było, że Ermengarda większą część swego życia wiodła w płaczu lub strapieniu. Uczyła się różnych rzeczy — i natychmiast je zapominała, a jeżeli nawet zdołała zapamiętać, to nie rozumiała ich wcale. Nic więc dziwnego, że poznawszy Sarę, wpatrywała się w nią oczyma szeroko otwartymi ze zdumienia.

— Ty... umiesz mówić po francusku? — zapytała tonem pełnym bezmiernego szacunku.

Sara podeszła ku głębokiej i szerokiej wnęcie okiennej i usiadła na niej *po turecku*, obejmując kolano splecionymi dłońmi.

— Umiem... bo język ten słyszałam wciąż od urodzenia — odpowiedziała. — Ty byś też umiała nim mówić, gdybyś go stale słyszała w domu.

— O, nie — wzdrygnęła się Ermengarda. — Ja bym nigdy nie potrafiła nim mówić!

— Czemu? — zapytała Sara z ciekawością.

Ermengarda wstrząsnęła głową, aż jej się warkoczyk zakołysał.

— Przecież słyszałaś mnie podczas lekcji — odpowiedziała. — Ja zawsze jestem taka. Nie umiem wymawiać słów francuskich... takie są dziwaczne...

Milczała przez chwilę, po czym zapytała z lękiem w głosie:

— Czy ty jesteś mądra?

Sara wyrzała przez okno na posępny plac, gdzie na zmokłych poręczach balkonów i czarnych od dymu gałęziach drzew skakały świergotliwe wróble. Zastanowiło ją pytanie koleżanki.

Już dawniejszymi czasy nieraz Sara słyszała w odniesieniu do siebie przydomek *mądrej*; pragnęła wiedzieć, czy istotnie na niego zasługuje — i czemu by tę mądrość przypisać należało.

— Nie wiem — odezwała się. — Nie umiem ci na to odpowiedzieć.

Widząc smutek na okrągłej, puciołowatej twarzyczce towarzyszki, zaśmiała się z lekka i zmieniła temat rozmowy.

— Czy chciałabyś zobaczyć Emilkę?

— Któż to jest ta Emilka? — zapytała Ermengarda tym samym tonem, jakiego poprzednio użyła miss Minchin.

— Chodź do mojego pokoju, to zobaczysz — odpowiedziała Sara, wyciągając rękę.

Zeskoczyły z parapetu okna i poszły razem na górę.

— Czy to prawda — szeptała Ermengarda, gdy przechodziły przez korytarz — czy to prawda, że masz dla siebie osobny pokój do zabawy?

— Tak — odpowiedziała Sara. — Tatuś prosił miss Minchin o pokój osobny dla mnie, bo... bo gdy się bawię, to sobie układam i opowiadam różne powiastki... a nie lubię, by mnie podsłuchiowano... to psuje mi zabawę.

Ermengarda stanęła jak wryta, wytrzeszczywszy oczy i ledwie śmiejąc oddychać.

— Ty *układasz* powiastki! — westchnęła. — Czy ty to umiesz... tak jak mówić po francusku...?

Sara spojrzała na nią, szczerze zdumiona.

— Przecież układanie powiastek to nic trudnego... Czy nigdy nie próbowałaś tego robić?

Ujęła ostrzegawczo dłoń Ermengardy.

— Podejdźmy cichutko do drzwi — szepnęła — a potem ja nagle je otworzę. Może uda się nam ją przyłapać.

Na jej twarzązce igrał uśmiech, ale w oczach lśnił promyk tajemniczej ufności, który dziwnie podziałał na Ermengardę, mimo że nie miała najmniejszego pojęcia, co to wszystko znaczy ani też nie wiedziała, kogo i dla jakiej przyczyny zamierzała Sara *przyłapać*. W każdym razie kryła się w tym niewątpliwie jakaś wspaniała i intrygująca niespodzianka, toteż Ermengarda drżała w napięciu oczekiwania, idąc na paluszkach za Sarą przez korytarz. Tak bez szelestu dotarły aż do samych drzwi. Wówczas Sara nagle nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi na oścież. Oczom przybyłych ukazał się pokój najzupełniej cichy i spokojny, w którym wszystko było na właściwym miejscu. Obok kominka, na którym łagodnie tlił się ogień, siedziała na krzeselku prześliczna lalka, niby to zaczytana w leżącej przed nią książce.

— Oho! Już wróciła na krzeselko, zanim zdążyłyśmy ją podpatrzyć! — zawołała Sara. — One tak zawsze robią! Potrafią przebiec przez pokój prędko jak błyskawica.

Ermengarda jęła patrzeć to na nią, to na lalkę.

— Czy ona umie... chodzić? — zapytała stłumionym głosem.

— Tak — odpowiedziała Sara. — Ja w to wierzę... przynajmniej udaję, że wierzę... a przez to wydaje mi się, że to wszystko jest prawdą. Czyś ty nigdy nie udawała niczego?

— Nie!... Nigdy! — odparła Ermengarda. — Wytłumacz mi to wszystko.

Tak była oszołomiona tą nową, dziwną znajomością, że patrzyła wciąż na Sarę, zamiast na Emilkę — mimo że Emilka była najpiękniejszą lalką, jaką zdarzyło się jej widzieć.

— Siądź, to ci opowiem — rzekła Sara. — Jest to rzecz tak łatwa i przyjemna, że gdy ją rozpoczniesz, nie potrafisz się jej wyrzec, tylko będziesz wciąż do niej wracała. Emilko i ty posłuchaj. Oto jest panna Ermengarda St. John. Ermengardo, oto Emilka. Czy chciałabyś wziąć ją na rękę?

— Ach, to mi wolno ją wziąć na rękę? — zawołała Ermengarda. — Wolno mi naprawdę? Jakaż ona piękna!

Z lalką w objęciach Ermengarda spędziła jedną z najpiękniejszych godzin swego krótkiego żywota, słuchając przedziwnych opowieści swej towarzyszki, póki nie odezwał się dzwonek wzywający na obiad. Sara przysiadła w kucki na dywanie przed kominkiem, a jej zielone, duże oczy i nabiegłe rumieńcem policzki pały żywo. Opowiadała i o Indiach i o przebytej podróży — największe jednak wrażenie na słuchającej uczyniła zmyślona opowieść o lalkach, które chodzą, rozmawiają i robią, co im się żywnie podoba, póki ludzi nie ma w pokoju, a z ich nadejściem zmykają *błyskawicznie* na swe dawne miejsce, nie chcąc zdradzić przed nikim, co umieją.

— My byśmy tego nie potrafiły — dodała Sara. — To sztuczka czarnoksiężka!

Gdy Sara opowiadała o poszukiwaniach, mających na celu znalezienie Emilki, Ermengarda

zauważyła nagle zmianę w jej twarzy — jakąś jakby chmurę, która przemknęła nad jej brwiami, gasząc blask promieniejących oczu. I głos Sary się zmienił — brzmiał cicho i smutnie; stłumiła oddech, a potem zacisnęła mocno wargi, jak gdyby powzięła nagle jakąś stanowczą decyzję. Inna dziewczynka na jej miejscu na pewno wybuchnęłaby w tej chwili gwałtownym płaczem i szlochaniem; Sara jednak — ku zdziwieniu Ermengardy — umiała się od tego powstrzymać.

— Czy ciebie... coś boli? — odważyła się zapytać Ermengarda.

— Tak — odpowiedziała Sara po chwili milczenia. — Ale to nie jest ból cielesny.

Po chwili zapytała głosem cichym, któremu starała się nadać spokojny ton:

— Czy i ty kochasz swojego tatusia nad wszystko w świecie?

Ermengarda otworzyła usta w zdumieniu. Wiedziała, iż z zachowaniem się uczennicy wzorowej pensji nie licuje oświadczenie, że nie przyszło jej nigdy na myśl, by można było kochać ojca i nie unikać bytności z nim sam na sam choćby przez dziesięć minut. Była naprawdę wielce zakłopotana.

— Ja... ja prawie go nie widuję — wyjąkała. — On wciąż tylko siedzi w bibliotece... i czyta różne książki.

— Ja kocham mego tatusia ponad wszystko w świecie — oświadczyła Sara. — I to mnie właśnie boli, że tatuś odjechał.

Złożyła główkę na podwiniętych kolanach i siedziała cicho przez kilka minut.

— Zaraz się rozplacze — pomyślała Ermengarda.

Ale Sara nie rozplakała się. Siedziała spokojnie, a krótkie, czarne włosięta rozsypały się jej dokoła uszu. Naraz[17] przemówiła, nie podnosząc główki:

— Obiecałam mu, że zniosę to cierpliwie... i dotrzymam przyrzeczenia. W życiu trzeba dużo znieść. Pomyśl sobie, ile muszą znieść żołnierze! Mój tatuś jest żołnierzem. Gdyby wybuchła wojna, musiałby odbywać uciążliwe marsze, cierpieć pragnienie, może nawet odniósłby ciężką ranę... i nie powiedziałby ani słowa.

Ermengarda nic nie mówiła, tylko wlepiła w nią szeroko otwarte oczy, ale w duszy poczuła dla niej ogromny szacunek i uwielbienie; tak dziwnej i niezwykłej koleżanki nie zdarzyło się jej widzieć nigdy w życiu.

Nagle Sara spojrzała w górę, uśmiechnęła się dziwnie i wstrząsnąwszy czarnymi loczkami odezwała się:

— Gdy będę tak wciąż gwarzyła[18] z tobą i opowiadała ci różne zmyślane historie, to mi tu jakoś łatwiej będzie przeżyć tę rozłąkę. Ty też pewno nie zapomnisz o domu... ale łatwiej będzie ci znieść to wszystko...

Ermengarda poczuła, że gardło ścisnęło się jej nie wiedzieć czemu, a w oczach jakby pojawiły się łezki.

— Lawinia i Jessie są *najserdeczniejszymi przyjaciółkami* — odpowiedziała ochrypłym głosem. — Bardzo bym chciała być dla ciebie taką serdeczną przyjaciółką. Czy chcesz mnie za nią uważać? Ty jesteś bardzo mądra, a ja jestem najgłupszą uczennicą w szkole... ale... ale ja ciebie tak kocham!

— Bardzo się z tego cieszę — zapewniła ją Sara. — Tak, będziemy przyjaciółkami. I wiesz co? — (tu nagle promyk radości rozjaśnił jej buzię) — będę ci pomagała w odrabianiu lekcji francuskiego.

# Lottie

Gdyby na miejscu Sary była inna dziewczynka, na pewno by ją zepsuł tryb życia, jaki wiodła przez kilka lat na wzorowej pensji miss Minchin. Albowiem traktowano ją tu nie jak zwykłą uczennicę, ale niby jakiegoś dostojnego gościa. Gdyby była zarozumiałym, do rozkazywania przyzwyczajonym dzieckiem, pewno by to ustawiczne<sup>[19]</sup> dogadzanie i pobjażanie uczyniło ją wręcz nieznośną; gdyby była dzieckiem umyślowo ograniczonym, na pewno niewiele przykładałaby się do nauki. Miss Minchin nie lubiła jej osobiście, ale była zanadto obyta w świecie i sprytna, by miała zrobić lub powiedzieć coś takiego, co by w tak pod każdym względem pożądaney uczennicy mogło obudzić chęć opuszczenia jej szkoły. Wiedziała doskonale, że gdyby Sara doniosła tatusiowi, że czuje się niezadowolona lub nieszczęśliwa, kapitan Crewe zabrałby ją stąd natychmiast. Miss Minchin była przekonana, że dziecko, które otrzymuje wciąż pochwały i któremu nigdy nie zabrania się czynić, co mu się żywnie podoba, na pewno przywiąże się do miejsca, gdzie w ten sposób z nim się obchodzą. Toteż chwalono Sarę za jej bystrość, za pilność i staranne odrabianie lekcji, za dobre maniery, za uprzejmość w stosunku do koleżanek, wreszcie i za szczodrobliwość, ilekroć z pełnej sakiewki dała sześć pensów żebrakowi. Najdrobniejszy z jej uczynków sławiono niby wielką cnotę — i gdyby była dziewczynką mniej rozsądną, na pewno przewrócono by jej w główce. Atoli<sup>[20]</sup> rozsądek i zmysł spostrzegawczości zawsze odślaniał Sarze istotną prawdę co do niej samej i otoczenia; oto jak czasami zwierzała się Ermengardzie:

— Wiele rzeczy dostaje się ludziom tylko przypadkiem. Tak było i ze mną. To tylko traf, że zawsze lubiłam lekcje i książki, i że zdołałam zapamiętać to i owo, czego się uczyłam. To tylko traf, że jestem córką tak miłego i mądrego tatusia i że on może mi dawać wszystko, na co mam chętkę. Mówią, że mam dobre usposobienie; jakże go nie mieć, gdy się posiada wszystko, czego dusza zapragnie i wszyscy okazują mi tak wielką życzliwość? Doprawdy, nie wiem, jak mam się przekonać, czy jestem naprawdę dobrą, czy niedobłą dziewczynką. Może jestem bardzo złym dzieckiem, ale nikt tego nie potrafi stwierdzić... bo nigdy nie doznałam żadnych przeciwności.

— Lawinia też nie doznaje żadnych przykrości — zauważyła Ermengarda — a mimo to jest niegrzeczna.

Sara potarła koniuszek nosa i zamyśliła się.

— Tak, tak — odpowiedziała na koniec — może... może to dlatego, że Lawinia zbyt szybko rośnie.

Powiedzenie to było echem podsłuchanej rozmowy, w której miss Amelia wyraziła się, że Lawinia rośnie tak prędko, iż może się to odbić na jej zdrowiu i usposobieniu.

Lawinia istotnie była dziewczynką niegrzeczną, a przy tym niesłychanie zazdrosną w stosunku do Sary. Przed przybyciem tej nowicjuszki wodziła rej w szkole — zwłaszcza, że umiała boleśnie dać się we znaki tym, które nie chciały iść za nią. Tyranizowała małe dziewczynki, a zadzierała dumnie nosa wobec rówieśniczek. Ponieważ odznaczała się urodą i ubierała się bardzo strojnie, ilekroć dziewczynki z pensji miss Minchin wychodziły parami na miasto, szła zawsze na czele tego pochodu. Zmieniło się to jednak z chwilą, gdy w szkole pojawiły się welwetowe sukienki Sary, jej sobolowe kołnierze i kapelusik ze strusimi piórami. Już to samo było dla Lawinii powodem rozgoryczenia; na

domiar złego okazało się niebawem, że Sara cieszy się również wielkim mirem<sup>[21]</sup> wśród koleżanek — i to nie dlatego, że potrafi dokuczać, ale owszem dlatego, że nigdy nie dokuczyła nikomu.

— Jedna rzecz mi się podoba u Sary Crewe — mówiła szczerze Jessie, pobudzając tym do wściekłości swą *najserdeczniejszą przyjaciółkę*. — Ona nigdy nie wywyższa się ponad inne, choć mogłaby to czynić... Ja na pewno nie byłabym taka, gdybym miała tyle błyskotek i gdyby ze mną robiono tyle ceregieli. Aż niemiło patrzeć, jak miss Minchin popisuje się nią, ilekroć przyjdą jacyś goście.

— „Saro, moja droga, musisz iść do salonu i opowiedzieć pani Musgrave o Indiach” — zaczęła Lawinia przedrzeźniać sposób przemawiania miss Minchin. — „Saro, moja droga, porozmawiaj z panią Pittkin po francusku. Ona ma tak wyborny akcent”. W każdym razie nie jest zasługą naszej pensji, że Sara tak dobrze mówi po francusku. Nie jest to nawet zasługa jej samej. Sama przecież się przyznaje, że jej nie uczono tego języka, tylko przyswoiła go sobie ot tak niechcący, bo jej ojciec często nim się posługiwał. Co się zaś tyczy jej ojca, to też niewielka zasługa być oficerem w Indiach.

— Tak — odrzekła z rozwagą Jessie — ale on polował na tygrysy. Skórę jednego z upolowanych przez niego tygrysów Sara ma w swoim pokoju i ogromnie jest do niej przywiązana. Często kładzie się na niej, głaszcze łeb tygrysa i rozmawia z nim jak z kotem.

— Jej zawsze się trzymają podobne głupstwa — warknęła Lawinia. — Moja mamusia powiada, że ten jej obyczaj wymyślania różnych dziwnych historii jest wprost niedorzeczny. Ona wyrośnie na wielką dziwaczkę.

W tym, co koleżanki mówiły o Sarze, było wiele prawdy. Nie miała ona zwyczaju wywyższać się ani drzeć nosa do góry, owszem była zawsze uprzejma i uczynna dla wszystkich. Nigdy nie dokuczała mniejszym od siebie dziewczynkom, nie spychała ich z drogi ani nie upokarzała przytykiem do ich młodego wieku; na odwrót, okazywała im tkliwość prawdziwie macierzyńską, a gdy któreś z tych maleństw przewróciło się i potłukło sobie kolanka, nie omieszkała<sup>[22]</sup> podbiec ku niemu, podnieść z ziemi i pogłaskać, albo obdarzyć je wyciągniętym z kieszeni cukierkiem czy innym smakołykiem.

— Gdy ktoś ma cztery lata, jest jeszcze maleństwem — przemówiła pewnego razu surowo do Lawinii, gdy ta wybiła Lottie i nazwała ją *smarkaczem*; — ale za rok będzie miał już pięć lat, a w roku następnym sześć. A tylko szesnastu lat mu brakuje — (to mówiąc, z przekonującym wyrazem otwarła szeroko oczy), — żeby stał się osobą dwudziestoletnią.

— Pocziwina! — zaśmiała się Lawinia. — Jak to ona umie rachować!

Istotnie trudno zaprzeczyć, że szesnaście i cztery daje w sumie dwadzieścia — a dwadzieścia lat był to wiek, o jakim ledwie że marzyć się ośmielały najodważniejsze spośród dziewczynek.

Toteż młodsze dziewczynki uwielbiały Sarę. Kilka razy urządziła w swym pokoju podwieczorek, na który zaprosiła te wzgardzone przez wszystkich istotki. W zabawie brała też udział Emilka, pozwalając korzystać ze swego serwisu, zdobnego w błękitne kwiatki i mogącego pomieścić znaczną ilość herbaty z mlekiem. Takiego serwisu nikt jeszcze nie widział u żadnej z lalek, toteż od czasu owego balu dziecięcego Sara uchodziła jakby za królową czy wróżkę w oczach całej podwstępnej<sup>[23]</sup>

klasy.

Szczególnie Lottie Legh uwielbiała ją do tego stopnia, że gdyby Sara nie miała dla niej wprost macierzyńskiej tkliwości, na pewno by się jej sprzykrzył ten nadmiar uwielbienia. Lottie znalazła się w szkole tylko dlatego, że jej ojciec, człowiek młody, a trochę lekkoduch, nie wiedział, co ma z nią zrobić. Matka ją odumarła, a że z dzieciną obchodzono się jak z lalką lub rozpieszczonym pieskiem pokojowym, więc maleństwo stało się bardzo uprzykrzone i nieznośne. Płakała o byle co, a czasem i bez powodu, a ponieważ napraszała się różnych rzeczy, które nie zawsze były dla niej odpowiednie, więc jej przeraźliwy głosik nader często rozlegał się to w tej, to w innej części domu.

Najskuteczniejszą jej bronią było dziwnym jakimś sposobem dokonane odkrycie, że mała dziewczynka, która straciła matkę, powinna być stale przedmiotem współczucia i opieki. Z tego odkrycia, którego źródłem była niewątpliwie podsłuchana rozmowa ludzi starszych, nie omieszkała czynić użytku, ilekroć nadarzała się po temu sposobność.

Pierwszy raz Sara roztoczyła nad nią opiekę, gdy przechodząc pewnego dnia koło jednej z salek naukowych, posłyszała, jak miss Minchin i miss Amelia starały się uciszyć gniewny płacz jakiegoś dziecka, które ani rusz nie chciało się uspokoić, lecz beczało tak głośno, że miss Minchin, chcąc być słyszaną, musiała niemal krzyczeć.

— Czegóż ona płacze? — pytała.

— Och... och... och! — posłyszała Sara. — Ja nie mam wcale ma-mu-si!...

— Ach Lottie! — zawołała miss Amelia. — Przestańże już raz! Nie płacz, nie płacz, proszę!

— Och!... och! Och! — zaniósła się Lottie gwałtownym płaczem. — Ja... nie mam... ma-mu-si!

— Trzeba jej dać w skórę — oznajmiła miss Minchin. — Zaraz dostaniesz w skórę, niegrzeczna dziewczyno!

Lottie poczęła beczeć jeszcze głośniej. Miss Minchin podniosła głos, aż się rozległo echo po całej szkole; w końcu w bezsilnym oburzeniu zerwała się z krzesła i wypadła z pokoju, zdając resztę sprawy na miss Amelię.

Sara zatrzymała się na korytarzu, zastanawiając się, czy ma wejść do pokoju. Niedawno zawarła przyjacielską znajomość z Lottie, więc bardzo pragnęła ją uspokoić.

Miss Minchin, wyszedłszy z pokoju i ujrawszy Sarę, stropiła się wielce. Zdawała sobie sprawę, że głos jej, dobywający się z głębi pokoju, nie brzmiał ani miło, ani dostojnie:

— Ach, to ty, Saro! — zawołała, starając się okraścić twarz jak najuprzejmiejszym uśmiechem.

— Stałam tutaj — zaczęła mówić Sara — bo usłyszałam głos Lottie... i pomyślałam sobie, że może... ale tylko może... potrafię ją uspokoić. Czy mogłabym spróbować, proszę pani?

— Spróbuj... o ile potrafisz. Ty jesteś mądrą dziewczynką! — odpowiedziała miss Minchin,



ściągając ostro usta; widząc jednak, że Sarę zmroziła szorstkość odpowiedzi, zaczęła z innego tonu: — Tak, jesteś rozsądna we wszystkim. Zapewne uda ci się uzyskać wpływ na nią. Wejdz do pokoju.

Gdy Sara, pożegnawszy przełożoną, weszła do pokoju, ujrzała Lottie leżącą na podłodze, zanoszącą się od płaczu i zawzięcie tupiącą tłustymi nożętami. Miss Amelia, zziębnięta i czerwona ze zmęczenia, pochyliła się nad nią z rozpaczą i zakłopotaniem, próbując bezskutecznie wszelkich środków, by ją uspokoić.

— Biedactwo! — przemawiała tkliwie w jednym momencie. — Wiem, że nie masz mamusi, biedna...

A za chwilę odzywała się już zgoła innym tonem:

— Jeżeli nie przestaniesz beczeć, Lottie, to cię wybiję. Biedny aniołeczku! No, cichaj, cichaj!... Ej ty nieznośna, niegrzeczna dziewczyno, zobaczysz, jak ci dam w skórę! Zobaczysz!

Sara podeszła ku nim spokojnie. Nie wiedziała jeszcze, jaki obierze sposób postępowania, w każdym razie miała w duszy niejasne przeświadczenie, że takie bezradne i nerwowe powtarzanie krańcowo sprzecznych z sobą powiedzeń bynajmniej nie prowadzi do celu.

— Miss Amelio — odezwała się szeptem. — Miss Minchin prosiła, żebym spróbowała ją uspokoić... Czy pani mi pozwoli?...

Miss Amelia odwróciła się i spojrzała na nią beznadziejnie.

— Co? Sądzisz, że ci się to uda? — westchnęła.

— Nie wiem, czy mi się uda — odpowiedziała półgłosem Sara. — W każdym razie spróbuję.

Miss Amelia z ciężkim westchnieniem podniosła się z klęczek, a Lottie wciąż w najlepsze wierzgała tłustymi nóżkami.

— Jeżeli pani wyjdzie cicho z pokoju — rzekła Sara — to ja z nią tu pozostanę.

— Ach, Saro! — zajęczała miss Amelia. — Tak okropnego dziecka jeszcze u nas nie było. Zdaje mi się, że nie będziemy mogły jej dłużej trzymać!

Ostatecznie wymknęła się z pokoju, wielce rada<sup>[24]</sup>, że znalazła po temu sposobność. Sara przez kilka chwil wpatrywała się w nadąsane, rozwrzeszczane dziecko, nie mówiąc ani słowa; następnie siadła koło niej na ziemi i czekała, co dalej będzie. W całym pokoju — pominąwszy gniewne krzyki Lottie — panowała zupełna cisza. Taki stan rzeczy wydał się dziwny małej pannie Legh, która nawykła<sup>[25]</sup> do tego, by wrzaskom jej wtórowały prośby, groźby, nakazy i tkliwe namowy innych ludzi. Uderzyło ją przeto, że jedyna osoba, znajdująca się przy niej, wcale nie zwraca uwagi na jej kopanie, tarzanie się po ziemi i przeraźliwe wrzaski. Otworzyła zaciśnięte, łzami nabiegłe powieki, by zobaczyć, kim zacz była ta osoba. Okazało się, iż była nią druga, mało co od niej większa, dziewczynka — ta właśnie, która miała Emilkę i tyle innych ładnych rzeczy; ona to siedziała przy niej i wpatrywała się w nią, jakby o czymś rozmyślając. Przycichłszy na parę sekund, żeby to sobie uświadomić, Lottie zamierzała rozpocząć nową serię płaczu, ale cisza panująca w pokoju oraz dziwna, skupiona twarz

Sary sprawiły, że pierwszy krzyk miał brzmienie jakby bojaźliwe i nieśmiałe.

— Ja... nie... mam... mamusi! — oznajmiła, ale głosem już znacznie cichszym.

Sara wpatrzyła się w nią jeszcze uważniej, ale jakby z błyskiem zrozumienia w oczach.

— I ja też nie mam — odpowiedziała.

Odpowiedź ta była tak niespodziewana, że oszołomiona nią Lottie w jednej chwili opuściła nóżki na ziemię, wyciągnęła się jak długa i szeroko otworzyła oczy. Gdy inne środki zawiodą, najlepszym sposobem na uspokojenie płaksy bywa zwrócenie jego uwagi na inny przedmiot. Zważyć też należy, że o ile Lottie nie darzyła sympatią opryskliwej miss Minchin ani nadmiernie płaczącej miss Amelii, o tyle lubiła Sarę, choć mało ją jeszcze znała. Choć więc nie myślała zrezygnować ze swego strapienia, jednakże już oderwała od niego swoje myśli; przeciągnęła się ponownie i zaszlochawszy głucho, zapytała:

— A gdzie jest twoja mamusia?

Sara zamilkła na chwilę. Opowiadano jej, że mamusia przebywa w niebie; ona jednak po dłuższych rozmyślaniach wyrobiła sobie pogląd nieco odmienny na tę sprawę.

— Poszła do nieba — odpowiedziała. — Ale jestem tego pewna, że ona czasami przychodzi, żeby mnie zobaczyć... choć ja zobaczyć jej nie mogę. To samo robi i twoja mamusia. Być może, że w tej chwili obie są w tym pokoju i patrzą na nas.

Lottie usiadła i rozejrzała się wkoło. Była ładną, drobną istotką o kędzierzawej czuprynce, a okrągłe jej oczy miały barwę niezapominajek. Jeżeliby matka widziała ją w ciągu ostatniej pół godziny, na pewno by nie pomyślała, że jej dziecko tak jest podobne do aniołka.

A Sara snuła dalszy ciąg swej przemowy. To, co mówiła, niejednen człowiek poczytałby za piękną bajkę, jednakże w jej wyobraźni przedstawiało się tak prawdziwie, że Lottie chcąc nie chcąc poczęła się przysłuchiwać. Dotychczas opowiadano jej, że mamusia ma skrzydełka i aureolę, i pokazywano jej obrazki, które przedstawiały istoty w białych powłóczystych szatach, zwane aniołami. Natomiast Sara opowiadała jej jakby jakąś prawdziwą opowieść o przepięknym kraju, gdzie żyją prawdziwi ludzie.

— Są tam wielkie łąki pełne kwiatów — mówiła, zapominając się zupełnie, jak zwykle w podobnych razach i jakby majacząc we śnie — całe łąny lilii... rozlewa się miły zapach w powietrzu... i wszyscy oddychają tym zapachem, bo ten wietrzyk wieje bez ustanku. A małe dzieci biegają po tych łąkach liliowych, zbierają całe naręczka kwiatów, śmieją się i splatają wianki. A wszystkie drogi i ulice błyszczą i połyskują... i choćby ktoś szedł nimi nie wiedzieć jak daleko, nigdy nie bywa zmęczony... Wolno tam każdemu chodzić, gdzie mu się podoba... Dokoła miasta są mury z pereł i ze złota, ale tak niskie, że ludzie mogą opierać się na nich jak na poręczach balkonów, spoglądać w stronę ziemi, uśmiechać się do niej i przesyłać na nią miłe wieści.

Jakąkolwiek opowiadano by powiastkę, Lottie niewątpliwie słuchałaby jej z zachwytem i pod jej

wrażeniem zapomniałaby o płaczu; jednak bajka, którą słyszała w tej chwili, była niezaprzeczenie najpiękniejsza ze wszystkich dotychczasowych. Lottie przytuliła się do Sary i łowiła uchem każde słowo. Niestety wszystko w świecie się kończy — skończyła się i bajka. Lottie tak się zmartwiła tym — wedle niej zbyt rychłym zakończeniem, że znów wykrzywiła usta w podkówkę.

— Ja chciałabym tam pójść — zakwiliła. — Ja... tu... w tej szkole... nie mam mamusi...

Sara zauważyła sygnał ostrzegawczy i ocknęła się ze snu. Ujęła pulchną łapunię dziewczynki i z przymilnym śmiechem przycisnęła ją do serca.

— Ja będę twoją mamusią — odezwała się. — Będziemy się bawiły, że jesteś moją córeczką, a Emilka będzie twoją siostrzyczką.

Na twarzyczce Lottie zaczęły ukazywać się dołki uśmiechu.

— Będzie moją siostrzyczką? — zapytała.

— Tak — odpowiedziała Sara, zrywając się na nogi. — Chodźmy jej to powiedzieć. A potem umyję ci buzię i uczeszę włoski.

Lottie przystała na to z radością i wypadłszy z pokoju, wbiegła z Sarą na schody, zgoła nie pamiętając o tym, że przyczyną niedawnej tragedii była wyrażona przez nią odmowa uczesania się i umycia przed obiadem i wynikłe stąd odwołanie się do groźnego autorytetu miss Minchin.

Od tego czasu Sara stała się przybraną matką swej małej towarzyszki.

# Becky

Niewątpliwie największą zaletą Sary — zaletą, która jej zdobywała większą liczbę zwolenniczek niż cały dostatek oraz wyróżnienie okazywane jej przez miss Minchin — był dar opowiadania baśni i nadawania wszystkiemu, o czym mówiła, pewnego jakby baśniowego kolorytu. Daru tego zazdrościła jej Lawinia i kilka innych dziewczynek; i one jednak nie umiały oprzeć się urokowi, bijącemu z opowiadań Sary. Sara nie tylko umiała opowiadać — ale wprost lubowała się w opowiadaniach. Gdy stanęła lub siadła w kółku przyjaciółek i zaczynała zmyślać niestworzone historie, jej zielone oczki rozszerzały się i nabierały blasku, a policzki pałały rumieńcem; ożywiała się do tego stopnia, że — nie zdając sobie sprawy z tego, co robi — zaczynała grać jak aktor na scenie, gestykulując rękami, wyciągając na wszystkie strony swe smukłe ciało i wznosząc lub zniżając głos, zależnie od nastroju opowieści. Zapominała, że przemawia do słuchających rówieśniczek; przestawała[26], jak na jawie, z wrózkami, krasnoludkami, królami i księżniczkami, o których była mowa w opowieści. Niekiedy, skończywszy opowieść, tak była podniecona, że już tchu złapać nie mogła, tylko przyciskała rękę do drobnej, zdyszanej piersi i śmiała się jakby sama do siebie.

— To wszystko, co opowiadam — mówiła — wydaje mi się nie zmyśleniem, ale rzeczywistością... bardziej rzeczywistą niż sala szkolna i wy wszystkie. Mam wrażenie, jakbym była kolejno wszystkimi osobami, jakie występują w mojej opowieści.

---

Drugi już rok bawiła[27] Sara w szkole miss Minchin, gdy pewnego mglistego popołudnia, wysiadając z powozu, opatulona w najcieplejsze futerko, spostrzegła w przejściu przez chodnik jakąś małą, szarą postać, co stała na schodkach sutereny[28] i wznosiła ponad nich głowę tak wysoko, że przez kratę poręczy mogła szeroko otwartymi oczyma patrzeć wprost na przybywającą. Ta ciekawość, połączona z lękiem, pociągnęła wzrok Sary w jej stronę. Spojrzawszy na tę szarą, niepozorną, umorusaną buzię, uśmiechnęła się do niej, bo miała zwyczaj uśmiechać się do każdego.

Ale właścicielka umorusanej buzi i szeroko rozwartych oczu widocznie nie miała pewności, czy wolno jej przyglądać się tak dostojnym wychowanicom szkoły, bo zapadła jak mysz pod ziemię i tak prędko pobiegła do kuchni, że gdyby biedactwo nie było tak mizerne i zaniedbane, Sara na pewno roześmiałaby się mimo woli.

Tegoż wieczora, gdy Sara siedziała w rogu sali szkolnej, opowiadając zasłuchanym towarzyszkom jedną ze swych bajek, nagle w drzwiach stanęła nieśmiało ta sama postać. Wniosła paczkę z węglami, zbyt ciężką na jej wątłe siły i przyklękła przed kominkiem, by wygarnąć popiół i podsycić ognisko. Wyglądała czystiej niż wtedy, gdy patrzyła zza poręczy schodków, ale zdawała się równie zalękniona. Widać było, że bała się spoglądać na dziewczynki lub wzbudzić podejrzenie, że przysłuchuje się ich rozmowom. Nie chcąc im przeszkadzać, brała ostrożnie palcami każdy kawałek węgla i nader delikatnie manipulowała pogrzebaczem. Mimo to Sara niebawem zauważyła, że tę dziewczynę ogromnie zaciekawia wszystko, co się dzieje w tym pokoju i że głównym powodem ociągania się z robotą jest chęć pochwylenia choćby paru urywków rozmowy. Stwierdziwszy to, podniosła głos i zaczęła mówić wyraźniej:

— Wodnice płynęły z wolna po zielonej przezroczy wodnej i ciągnęły za sobą sieć rybacką,

spliconą ze sznurów pereł morskich. Księżniczka siedziała na białej skale i przyglądała się im...

Była to przepiękna baśń o księżniczce, która wzbudziła miłość w sercu Wodnika i zamieszkała wraz z nim w jasnej pieczarze pod tonią morza.

Mała posługaczka już raz wymiotła palenisko i zaczęła wymiatać je na nowo. Skończywszy tę robotę, wzięła się do niej niebawem po raz trzeci — ale wnet tak ją skusił czar opowiadania, iż zapomniała o wszystkim w świecie i poczęła nadśluchiwać. Przysiadła na piętach, nie myśląc o pogrzebaczu, który zwiśł bezwładnie z jej dłoni. A głos opowiadającej rozbrzmiewał bez przerwy, wiodąc słuchaczki w kręte grotty podwodne, wysypane złocistym piaskiem i rozłśniewające jasnoblękitną światłością; wokoło kołysały się dziwne kwiaty i morskie zioła, a hen w dali dzwoniły ciche gęźby<sup>[29]</sup> i pieśni...

Pogrzebacz wypadł z chropawych rąk posługaczki. Lawinia Herbert obejrzała się za siebie i rzekła:

— Ta dziewczyna podsłuchuje nasze rozmowy!

Winowajczyni chwyciła pogrzebacz i paczkę z węglami, zerwała się na równe nogi i czmychnęła z pokoju jak spłoszony królik. Sara uniosła się nieco i zawołała:

— Wiem, że podsłuchiwała! I cóż to komu przeszkadza?

Lawinia potrząsnęła głową.

— Tak, tak! — odezwała się. — Nie wiem, czy twoja mama byłaby z tego zadowolona, że opowiadasz bajki służącym. Wiem w każdym razie, że moja mama na pewno by mnie zganiła za podobny postępek.

— Jestem pewna, że moja mama nie miałaby mi tego za złe. Ona wie, że każdy ma prawo przysłuchiwać się powiastkom.

— Zdawało mi się, że twoja mama już nie żyje — odpowiedziała Lawinia. — Jakże więc ona może wiedzieć o czymkolwiek?

— Ty myślisz, że ona o niczym nie wie? — zapytała ją Sara poważnym głosem.

— Mamusia Sary wie o wszystkim — zapiszczała Lottie. — Tak samo i moja mamusia... ta druga... bo w naszej szkole moją mamusią jest Sara. Tam koło niej są świecące gościńce i całe łany lilii i każdy może je zbierać. Sara mi o tym opowiada, kiedy mnie kładzie do łóżka.

— Chodź za mną, Lottie — odezwała się Sara, widząc nasrożoną twarz Lawinii. Wyszła z pokoju, nie tyle chcąc uniknąć rozmowy, ile raczej wiedzioną nadzieją, że uda się jej znów spotkać małą posługaczkę. Nie było już jednak ani śladu po niej w całym korytarzu.

— Któż to jest ta dziewczynka, która pali u nas w piecu? — zapytała Sara przed snem pokojówkę.

Mariette zaczęła szczegółowo opowiadać, co wiedziała o małej posługaczce. Okazało się, że to

małe, przez wszystkich opuszczone biedactwo przyjęto niedawno do służby jako pomywaczkę kuchenną — choć było raczej wszystkim innym niż pomywaczką. Była to istna dziewczyna do wszystkiego; czyściła buty, szorowała podłogę, myła okna, nosiła węgiel na górę, uprzątała popiół z kominków. Liczyła już sobie lat czternaście, ale sądząc z jej wątłej postaci i drobnego wzrostu, nikt by jej nie dał powyżej dwunastu. Usposobienie miała tak bojaźliwe, że ilekroć ktoś ją zagadnął, jej biedne, wytrzeszczone oczy zdawały się wyskakiwać z oczodołów. Marietta bardzo współczuła jej doli.

— Jak ona ma na imię? — zapytała Sara, która podparłszy piąstkami podbródek, wsłuchiwała się w tę opowieść.

Dowiedziała się, że imię posługaczki brzmiało Becky (Rebeka). Mariette nieraz słyszała rozlegające się na schodach wołanie:

— Becky, zrób to!... Becky, zrób tamto!

Przez jakiś czas po odejściu Marietty Sara siedziała, wpatrzona w ognisko, rozmyślając o losie Becky; poczęła sobie układać opowieść, w której Becky grała rolę nieszczęśliwej bohaterki. Pomyślała sobie, że ta dziewczyna tak wygląda, jakby nigdy w życiu nie jadła do syta — świadczył o tym wyraźnie zgłodniały wyraz jej oczu...

Sara miała wielką ochotę spotkać się z nią ponownie, ale przez dłuższy czas nie udawało się jej to wcale, bo choć parę razy widziała ją idącą z jakimś ciężarem przez schody, to jednak ona zawsze tak się spieszyła i tak się bała ludzkich spojrzeń, że niepodobna<sup>[30]</sup> było ją zagadnąć. Jednak w parę tygodni później, gdy w podobnie mglisty dzień Sara weszła do swego pokoju, ujrzała w nim dziwnie wzruszający obraz. W jej własnym, ulubionym fotelu przed jasno płonącym kominkiem siedziała Becky — z czarną krechą węglową na nosie i paroma równie brudnymi smugami na fartuchu, z przekrzywionym czepkiem na głowie i paczką węgla u stóp na podłodze — i spała twardo, wyczerpana trudem przechodzącym wytrzymałość jej młodego, spracowanego ciała. Dano jej rozkaz, by obeszła i sprzątnęła wszystkie sypialnie. Było ich dużo, więc nabiegała się porządnie przez cały dzień. Pokoje Sary zachowała sobie na sam koniec. Różniły się one zupełnie od reszty pokoi, urządzonych skromnie i prymitywnie. Zwykle uczennice winny były poprzestawać na tym, co było im niezbędnie potrzebne; przeto wygodny i porządnie umeblowany pokój Sary wydawał się Becky istnym cudem wykwintu i przepychu, choć w istocie był tylko miłą i jasną pokojczyną. Znajdowały się tu przepiękne książki i obrazy oraz różne dziwy, przywiezione aż z Indii. Była tu sofa i niski, miękki fotel — na drugim zaś fotelu siedziała Emilka z miną boginki zasiadającej na tronie czarnoksiężkim. Sprzątanie tego pokoju miało być uwieńczeniem popołudniowej roboty, albowiem Becky zawsze żywiła nadzieję, że dorwie się paru minut, gdy będzie mogła usiąść w miękkim fotelu, rozejrzeć się wokoło i podumać nad szczęśliwą dolą tego dziecka, które posiadało tyle ślicznostek, a w zimne dni chodziło w przepięknych kapeluszach i futerkach...

Tego dnia, gdy siadła w fotelu, uczucie wypoczynku, jakiego zaznały jej krótkie, zbolące nóżęta, tak było czarowne i rozkoszne, że przyniosło ukojenie całemu ciału — a ciepło i miłe tchnienie ogniska podziały na nią niby jakiś dziwny czar... aż w końcu, zapatrzywszy się w czerwony żar węgla i okrasiwszy<sup>[31]</sup> zasmoloną buzię mimowolnym uśmiechem, poczęła się kiwać sennie; głowa jej opadła w dół, oczy się przymknęły — i ogarnął ją twardy sen... A choć nie upłynęło więcej niż dziesięć

minut, jak bawiła<sup>[32]</sup> w pokoju, miało się wrażenie, że śpi już tu od stulecia, jak zakłeta księżniczka. Poza tym jednak biedna Becky nie przypominała księżniczki — owszem, wyglądała po prostu, jak zwykle sobie, brzydkie, umorusane i obdarte kuchenne popychadło<sup>[33]</sup>.

W porównaniu z nią Sara wyglądała na jakieś nieziemskie zjawisko. Właśnie niedawno odbywała się lekcja tańca, która była zawsze dla szkoły ważnym zdarzeniem, mimo że urządzano ją przecież co tydzień. Uczennice ubierały się wówczas w najpiękniejsze sukienki, a ponieważ Sara tańczyła nadzwyczaj zgrabnie i była zawsze wysuwana przed inne koleżanki, więc Mariette musiała przystroić ją jak tylko można najwspanialej.

Tego dnia Sara miała na sobie różową sukienkę, a na włosach wianuszek, upleciony przez Mariettę z prawdziwych pączków róży. Uczyła się nowego, nader pięknego tańca, więc biegała i fruwała po całym pokoju niby różowy motylek, a radość i ruch zabarwiły jasnym i pogodnym rumieńcem jej twarzyczkę. Wleciawszy w kilku motylích podrygach do pokoju — ujrzała Becky, siedzącą w fotelu i biały jej czepek przewieszający się przez poręcz.

— O biedactwo! — zawołała na jej widok.

Nie zmartwiła się tym bynajmniej, że na jej ulubionym miejscu rozsiadła się ta brudna, zasmolona dziewczyna — owszem była rada<sup>[34]</sup>, że ją tu widzi. Podeszła cicho ku niej i stanęła za fotelem. Becky chrapała z cicha.

— Nie chciałabym jej budzić — pomyślała sobie Sara. — Ale miss Minchin będzie się gniewała, gdy się o tym dowie. Zaczekam parę minut.

Usiadła na rogu stołu i zaczęła bujać zgrabnymi nóżkami w różowych pończoszkach, namyślając się, co by tu należało zrobić. Miss Amelia mogła tu nadejść lada chwila, a gdyby zobaczyła, co się dzieje, na pewno by wyłajała<sup>[35]</sup> dziewczynę.

— Ależ ona jest tak zmęczona! — myślała sobie Sara.

Z kłopotu wybawił ją kawałek płonącego węgla, który oderwał się od wielkiej bryły i upadł na blachę. Becky wzdrygnęła się i z trwożnym westchnieniem otworzyła oczy. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że dotąd spała. Wszak usiadła tylko na chwilę, by rozkoszować się ciepłem i blaskiem ogniska — a oto nagle znalazła się ni stąd, ni zowąd wobec tej strojnej uczennicy, co siedziała obok niej, niby jakaś różowa wróżka, patrząc w nią zaciekawionymi oczyma!...

Zerwała się, pochwyciła czepek i wcisnąwszy go byle jak na głowę, usiłowała czmychnąć. Czowała, iż pozwoliła sobie na czyn karygodny!... Żeby tak bezczelnie wysypiać się w fotelu młodej panienki! Była przekonana, że natychmiast wydalą ją ze służby za to przewinienie! Zapłakała cichutko.

— Ach panienko, panienko łaskawa! — wyjąkała. — Bardzo przeprasom panienkę! Niech się panienka nie gniwo!

Sara zeskoczyła ze stołu i podeszła ku niej.

— Nie bój się — odezwała się jak do równej sobie dziewczynki. — Nic złego się nie stało.

— Ja dyć nie chciałam tego zrobić, łaskawa panienko — broniła się Becky. — Byłam taka zmęczona, a ogień tak ładnie się polił. To... to nie było na złość zrobione...

Sara zaśmiała się przyjaźnie i położyła rękę na jej ramieniu.

— Trudno! Byłaś zmęczona... jeszcze i teraz nie jesteś zupełnie wyspana.

Becky wytrzeszczyła na nią oczy. Tak miłego i serdecznego tonu nie słyszała dotąd w niczyim głosie. Nawykła do tego, że przemawiano do niej rozkazująco, łajano ją, a niekiedy targano za uszy... aż tu ta piękna panienska w ślicznej różowej sukience tak na nią patrzy, jakby nie uważała jej wcale za winowajczynię — jakby przyznawała jej, że ma prawo być zmęczona — a nawet zasnąć! Ale najwięcej oszołomiła biedną posługaczkę ta drobna, zgrabna rączyna, która spoczęła na jej ramieniu.

— Panienska... panienska się nie gniwo? — zapytała z westchnieniem. — Czy panienska nie powi tego paniom?

— Nie — zawołała Sara. — Ani mi to w głowie!

Ten strach, który malował się na umazanej węglem twarzyczce, tak wzruszył Sarę, że przejęta dziwną jakąś myślą, jedną z tych, które ją tak często nawiedzały, pogłaskała ją po policzku.

— Przecież obie jesteśmy zupełnie takie same — odezwała się. — Jestem zwyczajną sobie małą dziewczynką, podobnie jak i ty. To tylko przypadek, że ja nie jestem tobą, a ty mną!

Becky nie rozumiała z tego ani słowa. Jej głowina nie mogła pomieścić myśli tak zdumiewających, a wyraz *przypadek* oznaczał w jej języku jedynie takie nieszczęście, gdy kogoś przejechano albo gdy ktoś spadł z drabiny i musiano go zawieźć do *spitola*.

— To przypadek, panienko? — bąknęła z szacunkiem.

— Tak — odpowiedziała Sara i przez chwilę przyglądała się jej marząco. Niebawem jednak, uświadomiwszy sobie, że Becky nie zrozumiała, o co jej chodzi, zaczęła z innego tonu:

— Czy skończyłaś już robotę? Może byś została tu u mnie przez kilka minut?

Becky ledwo dech mogła złapać ze zdumienia.

— Ja, panienko?... Tutej?

Sara podbiegła do drzwi, otworzyła je i wyjrzawszy na korytarz, zaczęła nadśluchiwać.

— Nikogo nie ma w pobliżu — oznajmiła. — Jeżeli już zrobiłaś porządek we wszystkich pokojach, to chyba możesz zatrzymać się tu przez chwilę. Myślę... że może... nie pogardzisz ciasteczkami.

To mówiąc, otworzyła kredensik i wyjęła z niego gruby kawałek tortu. Toż była dla niej radość, gdy zobaczyła, jak smakołyk zaczął znikać wielkimi kęsami w ustach zgłodniałej dziewczynki! Zaczęła z



nią rozmawiać, zadawać jej pytania i śmiać się do niej, aż na koniec Becky pozbyła się obaw, a nawet zdobyła się na tę śmiałość, że sama zadała swej towarzyszce kilka — wedle swego mniemania — zuchwałych pytań:

— Cy to... — szepnęła, spoglądając pożądliwie na jej różową sukienkę. — Cy to najlepso suknio panienki?

— To jedna z sukienek, w których tańczę — odpowiedziała Sara. — Ja bardzo ją lubię... a tobie jak ona się podoba?

Becky przez dłuższą chwilę wprost głosu z siebie dobyć nie mogła; w końcu odezwała się z lęklwym szacunkiem:

— Razu jednego tom ja widziała księżniczkę. Stałam se na ulicy koło Coving Garden, w gromadzie ludzisków i przypatrowałam się, jak różne panie i panowie jechali do tyjaturu. A była tam jedno pani, której się najwięcej przypatrowano... i tak se jeden drugiemu mówili: „Patrzój, to księżnica”. Była to dużo już pannica, ale cało cyrwono... i suknio, i płascysko, i kwiotki. Przypomniała mi się ona od razu, kiej obacyłam łaskawom panienke, jak se panienka siedziała na stole. Bo tyz panienka jest do niej podobno.

— Nieraz przychodziło mi na myśl — odezwała się Sara głosem pełnym namysłu — że chciałabym być księżniczką. Ciekawa jestem, jak to się wtedy człowiek czuje. A może bym tak zaczęła udawać, że nią jestem?

Becky patrzyła na nią z podziwem i jak przedtem, nie rozumiała ani słowa. Ale niebawem Sara otrząsnęła się ze swych rozmyślań i zwróciła się do niej z nowym zapytaniem:

— Becky, czyś ty przysłuchiwała się wtedy mojej opowieści?

— Tak, panienko — przyznała się Becky, nieco zaniepokojona. — Wiedziałam, że mi nie kozali słuchać, ale... ale bajka była tako piekno, ze... nie mogłam wytrzymać...

— Ja chciałam, żebyś ty się przysłuchiwała — rzekła Sara. — Sama nie wiem, jak to objaśnić, ale gdy ktoś opowiada bajkę, to nie ma dla niego rzeczy milszej, jak widzieć, że ludzie chętnie jej słuchają. Czy chciałabyś usłyszeć resztę?

Becky znów oniemiała na chwilę.

— To ja bede mogła jej słuchać? — zawołała. — To tak, kiejbym jo była skólną dziewczyną, panienko! To panienka chce mi opowiedziec te pieknom bajke o księciu i o białych wodnickach, pluskających się wesoło we wodzie... z takimi gwiozdami we włosach?

Sara skinęła głową.

— Boję się, że teraz nie będziesz miała czasu na słuchanie — odezwała się — ale jeżeli mi powiesz dokładnie, o jakiej porze przyjdiesz do mojego pokoju, ja zawsze postaram się być już tutaj i będę ci opowiadała po kawałku całą bajkę, póki jej nie skończę. Jest to bardzo długa opowieść... a ja

będę do niej dodawała coraz to nowe szczegóły.

— No, kiej tak — odpowiedziała Becky z ufnością — to jo juz nie bede bacyła, ze te wagle takie ciężkie... albo ze mnie ta casem kuchorka wytarmosi... bele mi było wolno o tem wsyćkiem myśleć.

— A któż ci broni! — rzekła Sara. — Opowiem ci przecież wszystko od początku do końca.

Gdy Becky schodziła ze schodów, nie była już tą samą Becky, która z trudem gramoliła się na górę, przytłoczona ciężarem węgla. Teraz miała w kieszeni dane jej na zapas ciastko, była syta i ogrzana, ale nie tylko ciastkiem oraz ciepłem ogniska. Było jeszcze coś, co ja ogrzało i nakarmiło. Tym czymś była Sara.

Po jej odejściu Sara siadła znów na rogu stołu, złożywszy stopy na krześle i objąwszy podbródek wspartymi na kolanach rękoma.

— Gdybym była księżniczką — mruzczała sama do siebie — sypałabym hojne datki szaremu tłumowi moich poddanych. Ale nawet, gdy jestem tylko księżniczką *na niby*, mogę czasem zrobić dla ludzi coś dobrego... ot taką drobnostkę, jak teraz. Ta dziewczynka była tak szczęśliwa, jak gdybym ją obsypała wielkimi szczodroblivościami.

# Kopalnie diamentów

Niedługo potem zdarzyła się rzecz, budząca powszechne podniecenie. Nie tylko Sara, ale i cała szkoła uznała ją za nader ciekawą i uczyniła z niej główny temat rozmowy na parę tygodni. Oto w jednym ze swych listów kapitan Crewe opowiedział niebywale interesującą historię. Jeden z jego przyjaciół, który kolegował z nim jeszcze w ławie szkolnej, przybył niespodziewanie do Indii, aby go odwiedzić. Był on właścicielem znacznego obszaru ziemskiego, na którym znajdowano diamenty, i właśnie przystąpił do organizowania kopalni. O ile by spełniły się wszystkie jego przewidywania, mógł w krótkim czasie dojść do tak ogromnego majątku, że na samą myśl o nim już człowiekowi męciło się w głowie. Ponieważ zaś żywił dla swego druha z lat chłopięcych uczucie gorącej przyjaźni, więc dawał mu sposobność do udziału w tych olbrzymich skarbach, czyniąc go powiernikiem i współnikiem swego przedsięwzięcia. Tyle przynajmniej Sara zdołała wyrozumować z listu swojego ojca. Gdyby szło o jakieś inne przedsiębiorstwo, choćby najbardziej zyskowne, na pewno i ona sama, i jej towarzyszki nie zainteresowałyby się zbytnio tą wiadomością; jednak wyrażenie *kopalnie diamentów* do tego stopnia przypominało opowiadania z *Tysiąca i jednej nocy*, że nikt nie mógł pozostać obojętnym. Sara była nim wprost oczarowana. Poczęła rozsnuwać przed Lottie i Ermengardą obrazy krętych korytarzy w głębi ziemi, gdzie błyszczące kamienie zdobiły zarówno ściany, jak i strop i podłogę, skąd wyrąbywali je czarni, dzicy ludzie ciężkimi żelaznymi kilofami. Ermengarda była zachwycona tą opowieścią, a Lottie co wieczór nalegała, żeby powtarzać jej wszystko od początku do końca. Jedyne Lawinia wruszała ramionami i zwierzała się Jessie, że nie wierzy w istnienie kopalni diamentów.

— Moja mamusia ma pierścionek z diamentem, który kosztuje czterdzieści funtów, choć wcale nie jest wielki. Gdyby istniały kopalnie pełne diamentów, wszyscy ludzie staliby się bogaci aż do zbytku.

— Może Sara stanie się bogatą aż do zbytku — zaśmiała się Jessie.

— Ona i tak już w zbytkach się wychowała, choć nie jest bogata — fuknęła Lawinia.

— Zdaje mi się, że jej zazdrościsz — rzekła Jessie.

— O nie, wcale nie! — warknęła Lawinia. — Ale nie wierzę w te kopalnie diamentów.

— No, przecież ludzie muszą je skądś dobywać — odparła Jessie, po czym znów zaśmiała się — A co myślisz o tym, co mówiła Gertruda?

— Nie wiem, co mówiła... i nie chcę słuchać, jeżeli to dotyczyło Sary.

— A właśnie dotyczy. Jednym z jej urojeń jest to, jakoby była księżniczką. Odgrywa wciąż jej rolę — nawet w klasie. Mówi, że to jej pomaga do lepszego wyuczenia się lekcji. Chciałaby i z Ermengardy zrobić księżniczkę, ale Ermengarda odpowiada, że jest do tego za gruba.

— Bo też jest za gruba — potwierdziła Lawinia. — A Sara za chuda!

Jessie roześmiała się znowu.

— Ona mówi, że to nie ma nic do rzeczy, jak kto wygląda lub czym się odznacza, bo ważniejsze jest to, co się robi lub co się myśli.

— Coś mi się zdaje, że nawet gdyby była żebraczką, jeszcze by się jej roiło<sup>[36]</sup>, iż może być księżniczką — odpowiedziała Lawinia. — Wiesz co? Będziemy ją odtąd nazywały *Jej Księżęcą Mością*.

Gdy skończyły się wszystkie lekcje tego dnia, dziewczynki zasiadły przed kominkiem w sali szkolnej i zabawiały się, jak tylko mogły. W tym samym czasie miss Minchin i miss Amelia jadły podwieczorek w pokoiku, do którego nikt prócz nich dwóch nie miał wstępu. O tej godzinie wiodły zawsze długą poufną rozmowę, zwłaszcza o ile nie przeszkadzał im w tym hałas młodszych uczennic, co (trzeba stwierdzić) zdarzało się nader często; w takich wypadkach jednak zazwyczaj wdawały się w to starsze uczennice i dopiero gdy ich łajania lub rękoczynny nie odnosiły skutku, pojawiała się w drzwiach miss Minchin lub miss Amelia i kładła tamę swawoli. Właśnie gdy Lawinia kończyła swe słowa, drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Sara, za którą — niby mały piesek — dreptała nieodstępna Lottie.

— Już ona tu przylazła z tym nieznośnym dzieciakiem! — syknęła Lawinia. — Skoro ona tak lubi tę małą, to czemu jej nie trzyma w swoim pokoju? Tylko patrzeć, jak się ta płaksa rozbeczy!

Właśnie zdarzyło się, że Lottie ni stąd, ni zowąd zapragnęła bawić się w sali szkolnej i wyprosiła u swej przybranej matki, żeby zabrała ją tam z sobą. Przyłączyła się do gromadki najmłodszych dziewczynek, bawiących się w kącie, natomiast Sara usiadła na ławce pod oknem, otworzyła książkę i zaczęła czytać. Była to książka o rewolucji francuskiej. Niebawem całą uwagę Sary pochłonęło opowiadanie o losach więźniów Bastylli, którzy tak długie lata spędzili w ciemnicy, że gdy ich stamtąd wyzwolono, mieli twarze całkowicie zasłonięte długim, siwym zarostem i już wcale nie pamiętali, jak wygląda świat zewnętrzny, ale byli podobni do ludzi pogrążonych we śnie...

Czytając to, tak daleko odbiegła od sali szkolnej, że doznała przykrego uczucia, gdy nagle głośny płacz Lottie przywołał ją znów do rzeczywistości. Nigdy nie było jej trudniej zapanować nad sobą, jak wtedy, gdy ktoś przerwał jej marzenia.

— Mam wtedy takie uczucie, jakby mnie ktoś nagle uderzył — zwierzyła się pewnego razu Ermengardzie. — We mnie natychmiast budzi się chęć, by odwzajemnić się za to uderzenie... i muszę sobie wszystko prędko przypomnieć, by powstrzymać się od powiedzenia jakiegoś niegrzecznego słówka.

Okazało się, że Lottie ślizgała się po posadzce szkolnej, wskutek czego najpierw pobudziła do gniewu Lawinię i Jessie, a następnie upadła i stłukła sobie tłuste kolanko. Zaczęła więc krzyczeć wniebogłosy i podrygiwać na jednej nóżce, budząc na przemian to współczucie, to nagany ze strony koleżanek.

— Ucisz mi się natychmiast, ty bekso! Ucisz się natychmiast! — łajęła ją Lawinia.

— Ja nie jestem bekساً... wcale nie! — kwiliła Lottie. — Saro! Saro!

— Jeżeli nie przestanie ryczeć, miss Minchin ją usłyszy i będzie się gniewała! — zawołała Jessie. — Lottie, moja droga, nie płacz. Dam ci pensa!

— Nie chcę twojego pensa — załkała Lottie i ujrawszy kropelkę krwi na kolanie, wybuchnęła nowym płaczem.

Sara przebiegła przez pokój i uklękawszy na ziemi, przytuliła do siebie dziecinę.

— Ależ, Lottie — odezwała się do niej. — Przecież mi obiecałaś...

— Ona powiedziała, że ja jestem beksą! — rozbeczała się Lottie.

Sara pogłaskała ją, ale przemówiła do niej głosem stanowczym, który Lottie znała tak dobrze:

— Bo też będziesz nią naprawdę, gdy będziesz tak wciąż płakała, moja Lottie. Przecież obiecałaś...

Lottie pamiętała o swojej obietnicy, mimo to wołała znów głos podnieść:

— Ja nie mam mamusi!... ja *wcale* nie mam mamusi.

— Owszem, masz — rzekła Sara pogodnie. — Czy już zapomniałaś? Czy nie wiesz o tym, że Sara jest twoją mamusią? Czy nie chcesz, żeby Sara była twoją mamusią?

Lottie przygarnęła się do niej, chlipiąc cichutko.

— Chodź i usiądź ze mną przy oknie — mówiła dalej Sara. — Opowiem ci bajkę.

— Opowiesz? — zapiszczała Lottie. — Opowiesz mi... o kopalniach diamentów?!

— O kopalniach diamentów? — oburzyła się Lawinia. — Ach ty mała rozpustnico, jak chętnie bym cię obija!

Sara zerwała się szybko na równe nogi. Należy sobie przypomnieć, że przerwano jej tak zajmującą lekturę o zdobyciu Bastylli — że musiała nagle oderwać się od książki i pospieszyć z pomocą przybranemu dziecku — a wreszcie, że nie była aniołem i że nie czuła zbyt wielkiej sympatii dla Lawinii.

— No, no! — zawołała, zapalając się. — Ja zaś miałabym wielką chętkę obić ciebie... ale nie myślę cię bić! — dodała, hamując uniesienie. — Nie jesteśmy przecież dziećmi z ulicy. Jesteśmy już na tyle dorosłe, by umieć się lepiej sprawować!

Lawinia natychmiast wyzyskała nadarzącą się jej sposobność:

— Wasza książęca mość ma rację — odezwała się z przekąsem. — Podobno jesteśmy księżniczkami... przynajmniej jedna z nas. Nasza szkoła powinna odznaczać się dobrym tonem, skoro pomiędzy uczennicami ma księżniczkę.

Sara rzuciła się ku niej — i miało się wrażenie, że chce jej porządnie natrzeć uszu. Skłonność do rojeń była radością jej życia — o której nigdy nie rozmawiała z dziewczynkami, których nie lubiła. Jej nowe *urojenie* — o tym, jakoby była księżniczką — było aż nazbyt bliskie jej sercu, więc była na tym punkcie nader drażliwa i nieśmiała, uważała je niemal za tajemnicę; toteż bardzo ją dotknęło, że Lawinia ośmieliła się ośmieszać ją w tym względzie wobec całej niemal szkoły. Zaszumiło jej w uszach, a na policzki wystąpił silny rumieniec. Powstrzymała się jednakże w porę. „Księżniczka nie powinna unosić się złością” — przemknęło jej przez myśl. Opuściła rękę i przez chwilę nie mówiła ani słowa. Następnie wzniosła głowę i przemówiła głosem stanowczym i spokojnym, tak iż wszyscy mogli ją słyszeć:

— Tak, to prawda! Czasami wyobrażam sobie, że jestem księżniczką. Mogę więc i na to się zdobyć, by zachować się jak księżniczka.

Lawinia nie po raz pierwszy przekonała się, że nie potrafi dać Sarze trafnej odpowiedzi. Przyczyna zaś leżała w tym, że ogół przysłuchujących się dziewczynek zawsze jakby brał stronę jej przeciwniczki. I teraz Lawinia widziała, że wszystkie nadstawiają uszek z zainteresowaniem; wszystkie bowiem miały słabość do księżniczki i spodziewały się, że usłyszą o jednej z nich coś więcej, niż dotąd słyszały. Zaczęły więc skupiać się dokoła Sary.

Koniec końców, Lawinia zdobyła się na jedną tylko uwagę, która zresztą wypadła bladawo:

— Wiesz co, moja droga? Gdy wstąpisz na tron, nie powinnaś o nas zapominać.

— Nie zapomnę — odpowiedziała Sara i na tym ucięła rozmowę, wpatrując się spokojnie w Lawinię, której nie pozostało nic innego jak wziąć Jessie pod ramię i wyjść z sali.

Od tego czasu te dziewczynki, które jej zazdrościły, nazywały ją *księżniczką Sarą*, gdy chciały okazać jej szczególną wzgardę, natomiast te, które ją lubiły, nadawały jej pomiędzy sobą to miano na znak swego przywiązania. Nikt wprawdzie nie wołał na nią „księżniczko” zamiast „Saro”, ale jej wielbicielki wielce radowała barwność i wspaniałość tego tytułu, a miss Minchin, posłyszawszy to nazwanie, napomknęła o nim kilkakrotnie wobec odwiedzających ją gości, zdając sobie sprawę z tego, że rzecz taka dodawała splendoru jej szkole.

Becky uważała ów tytuł za rzecz najszlachetniejszą w świecie. Znajomość, zawarta w ów mglisty dzień, gdy mała posługaczka obudziła się ze strachem w wygodnym fotelu Sary, trwała nadal i stawała się coraz bardziej zażyłą, choć miss Minchin i miss Amelia nic prawie o tym nie wiedziały. Zauważyły wprawdzie, że Sara była grzeczna dla posługaczki, ale nie doszła do nich nawet głucha wieść o tych z trudem wydartych chwilach, gdy Becky, błyskawicznie uporawszy się ze sprzątnięciem górnych pokojów, wkraczała do pokoju Sary, składając z westchnieniem ulgi ciężką paczkę węgla na ziemię. W owych chwilach powiastki szły za powiastkami, jak na zamówienie, a różne smakołyki wędrowały bądź do ust Becky, bądź do jej kieszeni jako zapas na noc, którą posługaczka spędzała w swym łóżku na poddaszu.

— Ale muszę je ostrożnie zjadać, proszę pani — odezwała się pewnego razu — bo kiej ostawię okrusyny, zaro wyłazom scury, żeby je pożreć.

— Szczury! — zawołała Sara w przerażeniu. — To tam są szczury?

— Juści, całe gromady, panienko — odpowiedziała Becky takim głosem, jakby mówiła o rzeczy najzwyczajszej w świecie. — Na strychach zawdy bywo wiela scurów i mysów. Cłek się ta w końcu przyzwyciai do hałasu, który one robiom. Ja to się tak przyzwyciałam, ze sobie z nich nic nie robie, póki mi nie zacnom biegać po podusce.

— Och! — zawołała Sara.

— Cłek się do wsyckiego przyzwyciai w cas jakisik — mówiła dalej Becky. — I panienka pewnikiem by sie przyzwyciała, kieby się urodziła pomywackom. A ja wolę scury nizeli karaluchy.

— I ja bym też wolala — odpowiedziała Sara. — Zdaje mi się, że prędzej bym się pogodziła ze szczurem niż z karaluchem.

Czasami Becky nie odważała się pozostawać dłużej niż parę minut w jasnym i ciepłym pokoju; w takich razach dziewczynki wymieniały między sobą tylko parę słów, po czym małe zawiniątko wędrowało do staroświeckiej torebki, którą Becky nosiła pod fartuchem, przywiązana do pasa kawałkiem tasiemki. Szukanie i wynajdowanie różnych smakołyków, które można było zapakować w małym zawiniątku, dodawało życiu Sary nowego uroku. Ilekroć wychodziła lub wyjeżdżała na spacer, zawsze rozglądała się skwapliwie po wystawach sklepowych. Gdy po raz pierwszy przyniosła do domu parę pierożków z mięsem, zrozumiała, że teraz dopiero odkryła to, co potrzeba; gdy je wydobyla, oczy Becky zajaśniały radością:

— Ach, panienko! — zamruczała. — To-to bedzie i smacne i pozytywne! Najlepse to, jak sie cłek moze pozywić. Ciastko z kremem to dobra rzecz, ale sie tak rozplywo, jak... panienka pewnie wi, co chce powiedzieć. A to, co mi tera panienka przyniesła, to dopiero cłek pocuje w żołądku.

— No, no! — zawahała się Sara. — Nie wiem, czy ci to wyjdzie na zdrowie, jeżeli będziesz wciąż coś czuła w żołądku... ale sądzę, że się tym pozywisz.

Istotnie była to rzecz pożywna — podobnie jak kanapki z polędwicą, kupione w bufecie restauracyjnym — jak zawijane zrazy i serdelki. Z czasem Becky zaczęła się pozbywać uczucia głodu i zmęczenia, a paczka z węglami już jej się nie wydawała tak nieznośnie ciężka.

Dotychczas Becky prawie nie wiedziała, co to śmiech; nie nastrajało ją do radości jej smutne i ciężkie życie. Sara nauczyła ją śmiać się i śmiała się razem z nią; a chociaż żadna z nich nie zdawała sobie z tego sprawy, ten śmiech był równie *pożywny*, jak pierożki z mięsem.

Na parę tygodni przed dniem jedenastych urodzin Sary, nadszedł od ojca list, jakiś odmienny w tonie — nie nacechowany tą chłopięcą radością i ufnością, jaka dźwięczała w listach poprzednich. Ojciec czuł się jakoś niedobrze i najwidoczniej był przemęczony nawałem spraw związanych z kopalniami diamentów.

— Wiesz przecie, moja kochana — pisał — że twój tatuś nie jest wcale człowiekiem do interesów, a wszelkie rachunki, obliczenia i urzędowe sprawy nużą go niewypowiedzianie, bo nie rozumie ich

należycie i wydają mu się ogromne, ponad ludzką miarę. Być może, że gdyby nie trawiła mnie gorączka, nie przewracałbym się bezsenne z boku na bok przez połowę nocy, a drugiej połowy nie spędzałbym w niespokojnych snach. I jestem pewny, że gdyby moja mała jejmość była tu przy mnie, nie omieszkałaby mi udzielić jakiejś poważnej i pożytecznej rady. Prawda, moja mała jejmość?

Jednym z wielu żartów kapitana było nadawanie córce tytułu *małej jejmości*, a to ze względu na jej poważne, przypominające dorosłą osobę, usposobienie.

W związku z nadchodzącym dniem urodzin Sary, ojciec poczynił niezwykle przygotowania; między innymi zamówił w Paryżu nową lalkę, której strój miał być istnym cudem doskonałości. Odpisując na list, w którym ojciec zapytywał, czy ten prezent odpowiada jej życzeniom, Sara okazała się znów wielką dziwaczką. Oto co napisała:

— Jestem prawie dorosła, więc już nigdy w życiu nie otrzymam lalki. Ta lalka będzie ostatnią w moim życiu. Jak uroczyście brzmią te słowa! Gdybym umiała pisać wiersze, na pewno napisałabym piękny poemat pt. *Ostatnia lalka*. Ale nie umiem pisać wierszy; próbowałam, ale próba wypadła bardzo nieudolnie i zgoła nie przypominała wierszy Watta, Coleridge'a, ani Szekspira. Wiem, że nikt nie zajmie miejsca Emilki w mym sercu, ale dla Ostatniej Lalki będę miała wielki szacunek, a jestem pewna, że cała szkoła ją polubi. Moje koleżanki są bardzo podobne do lalek, chociaż niektóre ze starszych (te, które mają około piętnastu lat) lubią uchodzić za dorosłe.

Kapitan Crewe doznawał straszliwych bólów głowy, czytając ten list w swym bungalowie w Indiach. Stół, stojący przed nim, był zavalony papierami i listami, które go niepokoiły i przejmowały śmiertelną trwogą, pomimo to kapitan śmiał się tak serdecznie, jak nie śmiał się już od wielu tygodni.

— Ho ho! — odezwał się. — Moja córka z każdym rokiem staje się dowcipniejsza. O, gdybyż mi Bóg pozwolił załatwić pomyślnie te wszystkie interesy... żebym już mógł swobodnie powrócić do kraju i zobaczyć ją wreszcie! Cóż bym dał za to, by ona w tej chwili mogła swymi małymi rączkami obejmować mnie za szyję! Cóż bym dał za to!...

Dzień urodzin Sary miano obchodzić uroczyście; zapowiedziano wielką zabawę w udekorowanej sali szkolnej, gdzie odbyć się miała wielka ceremonia otwarcia pudełek z podarunkami, po czym oczekiwało wszystkich wspaniałe przyjęcie w niedostępnym zazwyczaj pokoju miss Minchin. Gdy nadszedł ów radosny dzień, w całym domu aż wrzało z podniecenia. Salę szkolną przystrojono girlandami, pousuwano pulpity, a ławki poustawiano wzdłuż ścian i zasłano czerwonymi kobiercami.

Gdy Sara weszła rankiem do swego pokoju bawialnego, znalazła na stole małą, niezgrabną paczkę, owiniętą w kawałek brunatnego papieru. Domyśliła się, że to prezent, a i zgadywała po trosze, kto go tu złożył. Z wielkim rozczuleniem rozwinęła paczuszkę; znalazła w niej czworoboczną poduszeczkę do igieł, zrobioną z niezbyt czystej i czerwonej flaneli, w którą wetknięte czarne szpileczki tworzyły napis: „Wielu scenśliwych zyceń”.

— Ile też ona musiała się przy tym natrudzić! — zawołała Sara, ogarnięta gorącym uczuciem. — Aż mi jej żal... chociaż takie to ładne!

Po chwili jednak doznała rozczarowania. Oto na odwrocie poduszki znalazła przyszpiloną



wizytówkę, na której pięknymi literami wypisane były słowa: „Miss Amelia Minchin”.

Sara poczęła obracać ją na wszystkie strony.

— Miss Amelia! — odezwała się, nie dowierzając własnym oczom. — Jakże to możliwe!

W tej chwili usłyszała skrzyp lekko otwieranych drzwi i ujrzała twarz Becky, zaglądnącej ostrożnie do pokoju. Niebawem posługaczka stała już przed nią.

— Podoba się panience? — zapytała, szczerząc zęby w tkliwym, serdecznym uśmiechu i nieśmiało trąc rękę o rękę.

— Czy mi się podoba? — zawołała Sara. — Toś ty sama to wszystko zrobiła, moja Becky?

Becky zaśmiała się śmiechem urywanym, lecz radosnym, a oczy jej zasły łzami.

— Dyc to nic innego, ino flanela... i to jescce nie nowa... ale ja chciałam dać cosik panience na urodziny, więcem to wysywała po nocach. Wiedziałam, ze panienka umi se *wyobrazić*, ze to podusecka jedbawna z brejentowemi śpileckami; i ja se tyz to wyobrażałam, kiej robiłam tę poduseckę. A wedla tej kartecki — (tu zawahała się nieco), — to może nik sie na mnie nie pogniwo, ze podniosłam ją ze śmieciów? Miss Amelia wyrzuciła ją prec, więc se ją zabrałam; ni mom swojego bioletu, a wiedziałam, ze prezent przez bioletu taki jakisik nieprzystojny, więc przyspiliłam biolet miss Amelii.

Sara rzuciła się jej na szyję i przytuliła ją do siebie, a w gardle dławilo ją coś niezmiernie.

— Ach, Becky! — zawołała, śmiejąc się z cicha. — Ja cię tak kocham... tak kocham naprawdę!

— Och, panienko! — wykrztusiła z siebie Becky. — Bóg zapłać panience, ale tyz ta ni mo cego chwalić! Ta flanela... ta flanela jest przecie bardzo staro!

# Jeszcze o kopalniach diamentów

Gdy Sara po południu wkraczała do obwieszanej festonami<sup>[37]</sup> sali szkolnej, wyglądała niby jakiś wódz na czele pochodu. Miss Minchin, ubrana w najpiękniejszą suknię jedwabną, prowadziła ją za rękę, za nią postępował lokaj, dźwigając pudełko z *Ostatnią Lalką*, za nim szła pokojówka, niosąc drugie pudło, a w straży tylnej kroczyła Becky z trzecim pudłem, ubrana w czysty fartuch i nowy czepek. Sara wolałaby wejść do sali w zwykły, codzienny sposób; jednakże miss Minchin wezwała ją do siebie i po krótkiej rozmowie w swym gabinecie wyraziła życzenie:

— To nie jest przecież dzień powszedni... i nie chciałabym, by go za taki uważano.

Sara, z taką pompą wprowadzona do sali, czuła się bardzo onieśmielona, gdy starsze dziewczynki wlepiły w nią oczy i tręcały się łokciami, a młodsze na jej widok zaczęły się radośnie kręcić w ławkach.

— Cicho, panienki! — zawołała miss Minchin, uspokajając powstały hałas. — Jakubie, postaw to pudło na stole i podnieś nakrywkę. Emmo, złóż swoje pudło na krześle. Becky, a to co?!

Ostatnie słowa miały ton ostry i surowy. Becky bowiem, podniecona całą uroczystością, zapomniała się całkowicie i w serdecznym uśmiechu wyszczerzyła zęby do małej Lottie, ledwo panującej nad sobą w zachwycie oczekiwania. Posłyszawszy karcący głos przełożonej, biedna posługaczka drgnęła i tak się złękła, iż o mało nie upuściła pudła na ziemię, a jej trwożne dygi i jęśliwe wyrazy przeprosin były tak zabawne, że Lawinia i Jessie nie mogły powstrzymać się od skrytego śmiechu.

— To nie miejsce ani pora na przyglądanie się panienkom — upomniała ją miss Minchin. — Zapominasz się, Becky. Połóż pudło.

Becky z trwożnym pośpiechem spełniła ten rozkaz i czym prędzej wycofała się ku drzwiom.

— Możecie odejść — oznajmiła miss Minchin służącym, dając im znak ręką.

Becky z szacunkiem zeszła w bok, by dać przejście lokajowi i pokojówce, piastującym wyższe od niej stanowiska. Skusiło ją jednakże, by rzucić tęskne, pożądliwe spojrzenie w stronę pudła, stojącego na stole. Spomiędzy zwałów kolorowej bibułki wyzierał jakiś przedmiot z błękitnej satyny.

— Proszę pani — odezwała się nagle Sara do miss Minchin. — Czy pani nie byłaby łaskawa pozwolić, żeby Becky została tu przez chwilę?

Odezwanie to było czynem tak zuchwałym, że miss Minchin omal nie podskoczyła ze zgrozy, po czym nałożywszy na nos binokle<sup>[38]</sup>, jęła<sup>[39]</sup> z zakłopotaniem przyglądać się swej wzorowej uczennicy.

— Co? Becky? — zawołała. — Ależ, moja Saro!

Sara postąpiła krokiem w jej stronę.

— Proszę o to, ponieważ wiem, że i ona chciałaby przyjrzeć się prezentom — wyjaśniła. — Przecież

i ona jest małą dziewczynką.

Miss Minchin uszom własnym nie wierzyła. W osłupieniu wodziła oczyma po obecnych.

— Ależ, Saro kochana — bąknęła w końcu. — Becky jest pomywaczką w kuchni... a pomywaczki... nie są małymi dziewczynkami...

Istotnie nigdy nie przyszło jej do głowy, by za coś podobnego je uważać. Posługaczki — wedle jej zapatrywania — były jedynie maszynami, które dźwigały paczki z węglem i paliły w piecach.

— Ale Becky jest małą dziewczynką — odpowiedziała Sara — a wiem, że spełnienie mej prośby bardzo by ją ucieszyło. Prosiłabym, żeby pani pozwoliła jej zostać... bo to moje urodziny.

Miss Minchin odparła z godnością:

— Ponieważ prosisz o to z racji swych urodzin... więc pozwalam jej zostać. Rebeko, podziękuj panie Sarze za jej wielką łaskawość.

Becky, która dotąd stała w kącie, mnąc w oczekiwaniu i zachwycie rąbek fartucha, teraz wystąpiła naprzód, kłaniając się uprzejmie, ale pomiędzy oczyma jej i Sary przebiegł błysk przyjaznego porozumienia.

— O, jeżeli panienka tako łaskawo! — bełkotała prędko. — Jakże ja panience jezdem wdzięčno! Ja ino chciałam popatrzeć się krzynkę na tę lalkę, prose pięknie panienki. Dziękuję panience. A i wielemoznej pani pięknie dziękuję za to pozwolenstwo.

Miss Minchin znów skinęła ręką — tym razem w stronę kąta koło drzwi.

— Stań tam — rozkazała. — Nie za blisko panienek.

Becky udała się na wskazane miejsce, szczerząc zęby w uśmiechu. Obojętne jej było, gdzie ją postawią, byle miała szczęście przebywać w tym pokoju, gdzie działy się takie cuda. Tymczasem miss Minchin chrząknęła uroczyście i oznajmiła:

— A teraz, moje dziewczynki, chcę wam powiedzieć kilka słów.

— Oho, już będzie przemówienie! — szepnęła jedna z dziewczynek. — Oby skończyło się jak najprędzej!

Sara poczuła się nieswojo. Ponieważ była to uroczystość ku jej czci, zgadywała, że i przemówienie będzie jej dotyczyło — a wszak niemiłą jest rzeczą stać na środku sali szkolnej i słuchać kazania pod własnym adresem.

— Jak wiecie, moje dziewczynki — rozpoczęła swe przemówienie miss Minchin — kochana Sara ukończyła dzisiaj lat jedenaście.

— *Kochana Sara!* — mruknęła z przekąsem Lawinia.

— Niektóre z was również już w swoim czasie ukończyły lat jedenaście, ale urodziny Sary różnią się nieco od urodzin innych dziewczynek. Ona, gdy dorośnie, stanie się dziedziczką olbrzymiego majątku, który powinna zużytkować w jak najodpowiedniejszy sposób.

— Kopalnie diamentów — cicho zachichotała Jessie.

Sara nie słyszała tego docinka. Utkwiła zielone oczy w miss Minchin i czuła, że robi się jej gorąco. Gdy miss Minchin zaczęła mówić o majątku, w Sarze obudziła się świadomość, że żywi od dawna wielką niechęć do swej przełożonej — mimo iż zdawała sobie sprawę, że obowiązana jest do szacunku względem osób starszych.

— Gdy jej zacny ojciec, pan kapitan Crewe, przywiózł ją z Indii i oddał pod moją opiekę — brzmiał ciąg dalszy przemówienia — odezwał się do mnie żartobliwie: „Boję się, że ona będzie bardzo bogata”. A ja na to odpowiedziałam: „Postaram się dać jej takie wykształcenie, panie kapitanie, żeby mogło być uświetnieniem choćby największego bogactwa”. Istotnie Sara jest najwzorowszą z mych uczennic. Jej znajomość francuskiego i tańców przynoszą chlubę naszej szkole. Wytworność jej manier i grzeczne obejście się z ludźmi sprawiły, że nadałyście jej przydomek *księżniczki*. I teraz okazała wam swą uprzejmość, zapraszając was wszystkie na dzisiejszą zabawę popołudniową. Mam nadzieję, że potraficie to ocenić, a na znak uznania wzniesiecie jednogłośnie okrzyk: „Dziękujemy ci, Saro”!

Wszystkie dziewczynki powstały — zupełnie jak w ów pierwszy dzień, który Sara pamiętała tak dobrze.

— Dziękujemy ci, Saro! — zawołały chórem, a Lottie zaczęła podskakiwać z radości. Sara przez chwilę była onieśmielona, ale wnet opamiętała się i złożyła wszystkim piękny ukłon.

— Dziękuję wam bardzo, że sprawiłyście mi taką przyjemność! — odpowiedziała.

— Bardzo ładnie to powiedziałaś, Saro — pochwaliła ją miss Minchin. — Tak postępuje prawdziwa księżniczka, gdy ją lud oklaskuje. — Tu zwróciła się w inną stronę, zmieniając ton głosu na gniewny: — Lawinio, ten głos, który wydajesz w tej chwili, mocno przypomina chrząkanie. Jeżeli jesteś zazdrosna względem koleżanki, powinnaś wyrażać swe uczucia w nieco przyzwoitszy sposób. A teraz pobawcie się same, bo ja wychodzę.

Ledwie wyszła, już przełamał się ten urok czarnoksięski, jaki na uczennice wywierała jej obecność. Jeszcze się drzwi nie zamknęły, a już wszystkie ławki były puste. Małe dziewczynki przeskakiwały przez nie lub pchały się jedna przed drugą, a starsze nie dawały się im wyprzedzić; wszystko, co żyło, cisnęło się ku pudełkom. Sara z rozpromienioną twarzą pochyliła się nad jednym z nich.

— Aha! Tu są książki!

Młodsze dziewczynki zaczęły szemrać, a Ermengarda zawołała, nie kryjąc przerażenia:

— To twój tatuś przysłał ci książki w prezencie na urodziny? On chyba jest tak niedobry, jak mój tatuś! Nie otwieraj tego pudełka, Saro!

— Ja właśnie lubię książki — zaśmiała się Sara, ale zwróciła się w stronę największego pudełka. Znajdowała się w nim *Ostatnia Lalka*, tak piękna, że dzieci wydały przeraźliwy okrzyk radości i cofnęły się, patrząc na nią przez chwilę w niemym zachwycie.

— Ona jest prawie tak wielka, jak Lottie — szepnęła jedna z nich.

Lottie klasnęła w ręce i zaczęła tańczyć z uciechy.

— Ubrana jak do teatru — zauważyła Lawinia. — Ma palto obramowane gronostajem.

— O! — zawołała Ermengarda, wyskakując naprzód. — Ona trzyma w ręce lornetkę... niebieską i wyzłacaną.

— A oto jej walizka — rzekła Sara. — Otwórzmy ją i zobaczmy, co zawiera.

Usiadła na podłodze i przekręciła klucz. Dzieci z hałasem skupiły się koło niej, przypatrując się z zachwytem, jak podnosiła jedno wieczko za drugim i odsłaniała zawartość walizki. Były tam koronkowe kołnierzyki, jedwabne pończoszki i chusteczki; było pudełko z klejnotami, zawierające naszyjnik oraz przepaskę na włosy, która błyszczała tak pięknie, jakby w nią wprawiono prawdziwe diamenty; były sukienki balowe, spacerowe, wieczorowe i wizytowe, kapelusze i wachlarze; był zarękawek i długi kołnierz fokowy. Nawet Lawinia i Jessie zapomnieli, że już wyrosły z tych lat, kiedy bawiły się lalkami, i raz po raz porywały do obejrzenia to jedną, to drugą rzecz, wydając przy tym okrzyki zachwytu.

— Wyobraźmy sobie — odezwała się Sara, stojąc przy stole i wdzierając wielki, aksamitny kapelusz na głowę uśmiechającej się obojętnie właścicielki tych wspaniałych strojów — wyobraźmy sobie, że ona rozumie ludzką mowę i czuje się dumna z podziwu, jaki obudza.

— Ty wciąż sobie tylko wyobrażasz różne rzeczy — odezwała się tonem pewnej wyższości Lawinia.

— Wiem o tym i jest mi z tym dobrze — odrzekła Sara, nie speszona bynajmniej. — Nie ma nic tak miłego, jak wyobrażanie sobie różnych rzeczy. To zupełnie jakby się było wróżką. Jeżeli człowiek upoczywie sobie coś wyobraża, niebawem staje się to dla niego prawie rzeczywistością.

— Dobrze ci wyobrażać sobie różne rzeczy, gdy masz wszystkiego pod dostatkiem — rzekła Lawinia. — Ciekawam, czy potrafiłabyś tak roić i udawać, gdybyś była żebraczką i mieszkała na poddaszu?

Sara przestała układać strusie pióra na kapeluszu *Ostatniej Lalki* i zamyśliła się.

— Zdaje mi się, że potrafiłabym — odparła. — Gdyby wypadło być żebraczką, musiałabym wciąż roić i udawać. Ale nie wiem, czy przyszłoby mi to łatwo.

Ledwo skończyła mówić, do pokoju weszła miss Amelia.

— Saro — odezwała się — plenipotent<sup>[40]</sup> twojego tatusia, pan Barrow, przyszedł z wizytą do miss Minchin! Ponieważ chciałby porozmawiać na osobności, a w gabinecie zastawiono podwieczorek,

więc bądź dobra przejść tam razem z koleżankami, a moja siostra porozmawia w sali szkolnej z tym panem.

Podwieczorek był rzeczą pożądaną, więc niejedne oczka zalśniły na wiadomość o nim. Miss Amelia ustawiła dziewczynki w dwa szeregi, i trzymając Sarę pod rękę, ruszyła na czele tego pochodu, zostawiając *Ostatnią Lalkę* na fotelu wśród porozrzucanych bezładnie wspaniałych strojów; na poręczach krzeseł zwisały sukienki i paltociki, a na samych krzesłach piętrzyły się zwały koronkowych spódniczek.

Becky, która nie została zaproszona na podwieczorek, była na tyle niedyskretna, że zatrzymała się na chwilę, by przyjrzeć się tym wszystkim cudnościom. To już naprawdę była niedyskrecja!

— Wracaj do roboty, Rebeko — przykazała jej na odchodnym miss Amelia; ona jednak pozostała, żeby z wielką czcią wziąć w rękę najpierw zarękawek, a następnie jedną z sukienek; jeszcze przyglądała się im nabożnie, niby rzeczy jakiej poświęconej, gdy posłyszała tuż za progiem kroki miss Minchin. Ogarnięta trwogą na myśl, że mogą ją posądzić o rzecz niedozwoloną, dała czym prędzej nura pod stół, gdzie ją zasłoniły zwisające brzegi obrusa.

Miss Minchin weszła do pokoju w towarzystwie niskiego i chudego pana o ostrych rysach twarzy, na której malowało się w tej chwili jakby zakłopotanie. Trzeba przyznać, że i miss Minchin też wyglądała na zakłopotaną, a w spojrzeniu, jakim obrzucała owego małego jegomościa, przebijało zmieszanie i rozdrażnienie.

Usiadła, przybierając postawę sztywno-wyniosłą i wskazała gościowi krzesło.

— Proszę siadać, panie Barrow — odezwała się.

Pan Barrow nie usiadł od razu. Całą jego uwagę pochłonęła *Ostatnia Lalka* oraz otaczające ją przedmioty. Włożył na nos okulary i z widocznym zgorszeniem przyglądał się tej wystawie. *Ostatnia Lalka* nie przejmowała się tym bynajmniej; siedziała nieruchomo i spoglądała na niego obojętnym wzrokiem.

— Sto funtów! — burknął zwięźle pan Barrow. — Same kosztowne materiały, a wykonane u paryskiej modystki! Ależ ten człowiek marnował pieniądze!

Miss Minchin czuła się obrażona tym, że ktoś śmie tak urągliwie<sup>[41]</sup> wyrażać się o najlepszym z jej dobroczyńców. Nawet plenipotenci nie powinni sobie pozwalać na taką samowolę!

— Przepraszam, panie Barrow — odezwała się chłodno. — Nie rozumiem, co pan chce przez to powiedzieć.

— Widział kto sprawiać jedenastoletniemu dziecku takie prezenty na urodziny! — odrzekł pan Barrow tonem równie krytycznym. — Wedle mego zdania jest to istne szaleństwo!

Miss Minchin wyprostowała się jeszcze sztywniej.

— Kapitan Crewe jest człowiekiem majątnym — rzekła. — Same kopalnie diamentów...

Pan Barrow nie dał jej dokończyć zdania:

— Kopalnie diamentów! Ależ ich nie ma i nigdy nie było!

Miss Minchin zerwała się z krzesła:

— Co takiego? — wrzasnęła. — Co pan chce przez to powiedzieć?

— W każdym razie — odpowiedział zgryźliwie pan Barrow — sprawa przedstawiałaby się o wiele lepiej, gdyby tych kopalń nigdy nie było!

— Więc nie było kopalń diamentów? — wybuchnęła miss Minchin, chwytając się poręczy krzesła i mając takie uczucie, jak gdyby nagle ze sfery pięknych snów powróciła w krainę szarej rzeczywistości.

— Kopalnie diamentów częściej przynoszą ruinę niż bogactwo — odpowiedział pan Barrow. — Gdy ktoś nie ma głowy do interesów, a zetknie się z ukochanym i szczerym kolegą, niechże go Bóg uchowa od wszelkich kopalń złota, diamentów i innych skarbów, w których ów koleżka pragnie ulokować swe kapitały. Nieboszczyk kapitan...

Miss Minchin jęknęła, przerywając rozpoczęte przezeń zdanie:

— Nieboszczyk?!... Nieboszczyk? Czyżby pan przyszedł mi oznajmić, że kapitan Crewe...

— Już nie żyje, proszę pani — odpowiedział pan Barrow szorstkim głosem. — Zmarł z gorączki tropikalnej, do której dołączyły się i kłopoty majątkowe. Gdyby nie te kłopoty, może by go gorączka nie zmoęła, a gdyby nie ta gorączka, może by jeszcze przeżył owe kłopoty. Kapitan Crewe już nie żyje!

Miss Minchin opadła z powrotem na krzesło. Słowa, które usłyszała przed chwilą, obudziły w niej silny niepokój.

— Jakież to były te kłopoty? — zapytała.

— Kopalnie diamentów... kochani koleżkowie... i ruina materialna... — odpowiedział pan Barrow.

Miss Minchin oniemiała na chwilę.

— Ruina! — wyjąkała.

— Stracił wszystko co do grosza. Ten człowiek miał za wiele pieniędzy. Jego kochany koleżka miał bzika na punkcie kopalń diamentów... no i wpakował w nie wszystkie pieniądze nie tylko swoje, ale i kapitana... a w końcu przepadł, jak kamień w wodę. Kapitan Crewe był już nawiedzony febrą[42], gdy doszła do niego ta wiadomość. Wstrząs był zbyt silny. Kapitan zmarł w malignie[43], bredząc o swej córce... i nie zostawił ani grosza...

Teraz miss Minchin rozumiała, o co idzie. Nigdy w życiu nie zadano jej równie ciężkiego ciosu.

Cios ten wymiótł nagle z jej wzorowego pensjonatu najlepszą z jej uczennic i najmłodszego z jej protektorów. Miała takie uczucie, jakby ją znieważono i okradziono i jakby kapitan Crewe, Sara i pan Barrow w równej mierze zasługiwali na surowe napiętnowanie.

— Więc pan chce mi powiedzieć — krzyknęła — że on nic nie zostawił?... że Sara nie posiada żadnego mienia?... że jest żebraczką... że na mej opiece zostawiono ubogą dziewczynę, która dotąd uchodziła za dziedziczkę wielkiego majątku?

Pan Barrow był człowiekiem sprytnym i wyrachowanym, więc pomyślał o tym, by jak najprędzej uwolnić się od wszelkiej odpowiedzialności.

— Tak, to nie ulega wątpliwości, łaskawa pani — odpowiedział. — Dziewczyna została bez grosza majątku... i została na opiece pani... ponieważ nie słyszałem, by miała jakich krewnych.

Miss Minchin zerwała się z miejsca i podbiegła ku drzwiom. Miało się wrażenie, że chce je otworzyć i wybiec z pokoju, by przerwać wesołą i nieco hałaśliwą pogawędkę dziewczynek, siedzących przy podwieczorku.

— Ach, to okropne! — odezwała się. — Ona w tej chwili siedzi w mym salonie, ubrana w jedwabną sukienkę i koronkowe spódniczki, i na mój koszt wyprawia przyjęcie koleżankom!

— Jeżeli wyprawia przyjęcie, to tylko na koszt pani! — odpowiedział chłodno pan Barrow. — Firma Barrow i Skipworth nie przyjmuje za to odpowiedzialności. Kapitan Crewe nie uregulował nawet naszego rachunku... sięgającego olbrzymiej sumy.

Miss Minchin odwróciła się od drzwi, kipiąc wzrastającym oburzeniem. Rzeczy tak straszne, jak te, których teraz musiała dowiadywać się, nigdy nie przychodziły jej na myśl — nawet we śnie.

— Oto, co mnie spotkało! — zawołała. — Ja tak zawsze byłam pewna jego wypłacalności, że brałam na siebie najróżnorodniejsze wydatki dla tego dziecka. To ja płaciłam rachunki za tę kosztowną lalkę i jej fantastyczną garderobę!... To dziecko musiało mieć wszystko, czego mu się tylko zachciało. Miała własny powozik, kucyka, pokojówkę, a za to wszystko ja płaciłam, od czasu, gdy mi przysłano ostatni czek...

Pan Barrow, zdawszy relację z suchych faktów i wyjaśniwszy stanowisko swej firmy, nie miał już ochoty pozostawać dłużej i słuchać utyskiwań miss Minchin, zwłaszcza, że nie żywił szczególnej sympatii do nadąsanych właścicielek internatów. Zauważył przeto:

— Najlepiej pani uczyni, nie płacąc za nic więcej... chyba że ma pani ochotę robić prezenty tej młodej panience. Ona już nie posiada ani grosza własnego majątku.

— Ale cóż ja teraz zrobię? — dopytywała się natarczywie miss Minchin, jak gdyby była przekonana, że obowiązkiem pana Barrow jest wynagrodzenie jej straty. — Cóż ja teraz zrobię?

— Nic już zrobić nie można — odparł pan Barrow, składając okulary i chowając je do kieszeni. — Kapitan Crewe już nie żyje. Dziecko zostało na łasce losu. Nikt, oprócz pani, nie jest za nią odpowiedzialny.



— Ja nie przyjmuję tej odpowiedzialności... nikt mi nie może jej narzucić! — krzyknęła miss Minchin, poblądłszy z wściekłości.

Pan Barrow zabierał się do wyjścia.

— To nie moja sprawa, proszę pani — odrzekł obojętnie. — Firma Barrow i Skipworth nie ponosi za to odpowiedzialności. Bardzo pani współczuję, rzecz oczywista.

— Jeżeli pan myśli, że obejmę nad nią opiekę, to się pan grubo myli — jęknęła miss Minchin. — Oszukano mnie... Okradziono!... Ja ją wyrzucę na ulicę!

Gdyby miss Minchin nie była w tej chwili zaślepiona gniewem, na pewno potrafiłaby w porę utrzymać język za zębami. Jednakże, gdy wyobraziła sobie, iż będzie obarczona tym w zbytkach chowanym dzieckiem, do którego zawsze czuła niechęć, nie zdołała już zapanować nad sobą. Tymczasem pan Barrow spokojnym krokiem zmierzał ku drzwiom.

— Ja bym tego nie robił na pani miejscu — zauważył. — To by wyglądało nieładnie. Zaraz by się rozeszły niemiłe plotki o zakładzie pani, gdyby wyrzucono na bruk uczennicę bez grosza, pozbawioną opieki sierotę.

Był człowiekiem rozsądnym, jak przystało na zawodowego handlowca, wiedział zatem, co mówi. Wiedział również, że miss Minchin jest kobietą dbałą o swe interesy i na tyle roztropną, by zrozumieć należycie sytuację, wobec czego nie zdobyłaby się na taki postępek, za który ludzie nazwaliby ją osobą okrutną i twardego serca.

— Lepiej byłoby ją zatrzymać i zrobić sobie z niej pomocnicę — dodał pan Barrow. — Podobno jest to dziewczynka rozgarnięta. Gdy dorośnie, będzie pani z niej miała niemałą wyrękę.

— Chcę mieć z niej wielką wyrękę jeszcze zanim ona dorośnie! — zawołała miss Minchin.

— Jestem pewny, że będzie ją pani miała — odparł pan Barrow ze złośliwym uśmiechem. — Jestem tego pewny. Do widzenia!

Uklonił się i znikł za drzwiami. Miss Minchin stała przez kilka minut jak osłupiała i wpatrzyła się w przestrzeń przed sobą. Zdawała sobie sprawę, że pan Barrow oznajmił jej szczerą prawdę, od której nie było ucieczki. Uczennica, stanowiąca ozdobę i chlubę pensjonatu, przepadła bez śladu, a na jej miejscu została zubożała, pozbawiona opieki dziewczyna. Znaczna suma pieniężna, wydana a konto przez przełożoną, była już stracona i niepodobna[44] było jej odzyskać.

I gdy tak stała, ogłuszona wrażeniem doznanej krzywdy, do uszu jej doszedł gwar wesołych głosów, rozbrzmiewający w jej własnym sanktuarium domowym, przeobrażonym obecnie w salę biesiadną. Postanowiła kres położyć tej hulance. Podeszła przeto ku drzwiom; w tejże chwili jednak drzwi się otwarły i stanęła w nich miss Amelia.

— Cóż się stało, siostrzo? — krzyknęła przerażona, ujrzawszy zmienioną, gniewną twarz przełożonej.

Miss Minchin, zamiast odpowiedzi, rzuciła pytanie, wypowiedziane głosem dochodzącym do granic wściekłości:

— Gdzie Sara Crewe?

Miss Amelia zdębiała do reszty:

— Sara? — wyjąkała. — Przecież... przecież jest w twoim pokoju... razem z innymi dziećmi...

— Czy ona ma wśród swych kosztownych strojów choćby jedną czarną sukienkę? — spytała znów miss Minchin tonem pełnym gorzkiej ironii.

— Czarną sukienkę? — wyjąkała miss Amelia. — Czarną?

— Wiem, że ma sukienki różnych kolorów... czy więc ma i czarną?

Miss Amelia pobladła.

— Nie... nie... a raczej... tak... tak! — odpowiedziała. — Ma jedną... tę starą z czarnego welwetu... ale już z niej wyrosła.

— Idź, powiedz jej, ażeby zdjęła tę nieodpowiednią dla niej suknię z czerwonego jedwabiu i włożyła czarną... mniejsza z tym, czy jest na nią za krótka, czy też nie. Już powinna się wyrzec wszelkich strojów!

Wówczas miss Amelia załamała pulchne dłonie i rozplakała się.

— Ach siostrze! — zachlipała. — Siostrze! Cóż to się stało?

— Kapitan Crewe umarł, nie zostawiając ani złamanego szeląga. Ta rozpieszczona, kapryśna dziewczyna pozostała w zupełnej nędzy... zdana na moją opiekę.

Miss Amelia usiadła ciężko w najbliższym fotelu.

— Setki funtów przetrwoiłam na różne fatalaszki dla niej... i nie dostanę za to ani pensa. Przerwij natychmiast tę głupią zabawę... to przyjęcie, niby przez nią urządzone... i każ jej przebrać się w inną sukienkę.

— Ja? — westchnęła miss Amelia. — M-mam iść i... i powiedzieć jej to wszystko?

— Ruszaj natychmiast! — brzmiała gniewna odpowiedź. — Nie wytrzeszczaj oczu jak gęś! Idź zaraz!

Biedna miss Amelia już do tego nawykła<sup>[45]</sup>, że przezywano ją gęsią; ba, sama przyznawała w duchu, że jest bez mała<sup>[46]</sup> gęsią i że gęsim obowiązkiem jest załatwianie wielu spraw niemiłych. Takim właśnie niemiłym obowiązkiem było wkroczenie do pokoju pełnego rozradowanych dzieci i oznajmienie królowej biesiady, że przemieniła się w żebraczkę, na znak czego powinna pójść na górę i przebrać się w starą, kusą<sup>[47]</sup> i przyciasną już czarną sukieneczynę. Cóż, trzeba było to wszystko

spełnić co do joty, bo nie był czas po temu, by dopytywać się o szczegóły!

Tarła chusteczką oczy, póki nie poczerwieniały doszczętnie, po czym wyszła z pokoju, nie śmiejąc ani słowem sprzeciwić się rozkazowi siostry. Miss Minchin jęła przechadzać się po pokoju i rozmawiać z sobą głośno, nie zdając sobie nawet sprawy z tego. Czuła się strącona ze szczytu swych marzeń majątkowych, opartych na opowiadaniu o kopalniach diamentów, w wielką przepaść, gdzie zamiast zysków widziała same straty.

— A jakże! Księżniczka Sara!... Przewracano w głowie temu dziecku, niczym jakiej królownie!

Gdy, domawiając słów tych, mijała róg stołu, stojącego w kącie, nagle wzdrygnęła się, posłyszawszy głośne, spazmatyczne łkanie, wydobywające się spod obrusa.

— Cóż tam takiego? — zawołała gniewnie.

Łkanie dało się słyszeć ponownie. Zniecierpliwiona miss nachyliła się i podniosła zwisający brzeg obrusa.

— Jakże ty śmiałaś!... — wrzasnęła. — Co za bezczelność! Wyłaż natychmiast!

Spod stołu wyczołgała się Becky; czepek miała przekrzywiony, a twarz czerwoną od stłumionego płaczu.

— To ja, prose pięknie łaski jaśnie pani... to ja... — zaczęła się usprawiedliwiać. — Wiem, że nie powinnam była tego robić... ale ja się, prose pięknie pani, przypatrowałam tej lalce... i przestraszyłam się, kiej pani wesła... i włożyłam se pod stół.

— Więc byłaś tam przez cały czas i podsłuchiwałaś? — zgromiła ją miss Minchin.

— Nie, prose jaśnie pani — przeczyła Becky, kłaniając się uniżenie. — Nie podsłuchiwałam... ino se myślałam, że będę mogła się wymknąć, żeby jaśnie pani mnie nie uźrzała... ale mi się to nie udało, więcem tu ostała... Ja nie podsłuchiwałam, prose jaśnie pani... kajzebym śmiała... ale cóż na to poradze, zem ta cosik i słysała?...

Naraz jakby pozbyła się strachu wobec groźnej chlebowdawczyni.

— Och, prose pięknie jaśnie pani — rzekła, zalewając się łzami — pewnikiem pani mnie za to wyłaje... ale mnie tak strasznie zal panienki Sary... taki straszny zal!

— Wyjdź z pokoju! — rozkazała miss Minchin.

Becky znów poczęła się kłaniać, a łzy już ciurkiem lały się jej po policzkach.

— Dobrze, już pójdę, prose pani — odpowiedziała, trzęsąc się ze wzruszenia — ale ja chciałam ino to pani pedzieć: panna Sara była taką bogatą paniusią, którą ciągiem ino wszyscy obsługiwali... jak se ona tera poredzi bez słuzoncej? Cy mi też pani nie pozwoli jej posługować, kiej już pomyję wsyćkie rondle i nacynia? Uwinę się z tem przedziutko... żeby mi ino pani dała to pozwolenstwo... bym jej

służyła, kiej ono tak zbidniała. Bidna też dzisiaj ta panna Sara... a dyć[48] niedawno przezywali ją księżniczkom.

Prośba ta, zamiast udobruchać miss Minchin, pobudziła ją do jeszcze większego gniewu. Tego było już nadto, żeby pierwszy lepszy szurgot kuchenny śmiał stawać po stronie tej nie lubianej przez nią dziewczyny! Tak, nie lubianej! Miss Minchin teraz dopiero w całej pełni uświadomiła sobie, że nigdy nie lubiła Sary.

— Nie! Nie! Za nic w świecie! — krzyknęła, tupiąc nogą. — Ona będzie usługiwać sama sobie... i innym. Wynoś mi się natychmiast z pokoju, jeżeli nie chcesz stracić u mnie służby!

Becky zarzuciła fartuch na głowę i umknęła czym prędzej do sutereny[49], gdzie usiadła wśród rondli i garnków i płakała długo, boleśnie.

— Zupełnie kiejby w bajce... — westchnęła. — Też tam opowiadają o księżniczках, co zostały wygnane w świat...

\*

Miss Minchin nigdy nie miała tak niewzruszenie spokojnego wyrazu twarzy, jak w parę godzin po opisanych zajściach, gdy stanęła przed nią Sara, posłuszna jej wezwaniu.

W tym to czasie Sara miała już wrażenie, jakby jej niedawne przyjęcie urodzinowe było albo snem, albo też zdarzeniem, które miało miejsce przed wieloma laty... i to w życiu nie jej samej, ale zgoła innej dziewczynki.

Wszystkie ślady uroczystości zatarto doszczętnie; ze ścian sali szkolnej pozdejmowano girlandy, a ławki i pulpity poustawiano z powrotem na dawnych miejscach. Salon miss Minchin wyglądał jak w inne dni — i nic w nim nie zdradzało, że niedawno odbywała się tu uczta. Miss Minchin przebrała się w codzienną suknię, a uczennice otrzymały rozkaz pochowania swych odświętnych sukienek. Spełniwszy ten rozkaz, powróciły do sali szkolnej i skupiły się gromadkami, szepcząc i gwarząc z ożywieniem.

— Powiedz Sarze, żeby przyszła do mojego pokoju — oznajmiła miss Minchin swej siostrze. — A zapowiedz jej przy tym, że nie życzę sobie żadnych beków ani awantur.

— Siostro — odpowiedziała miss Amelia. — Tak dziwnego dziecka nie widziałam jeszcze w moim życiu. Pamiętaj, że nie krzyczała wcale, kiedy kapitan Crewe odjeżdżał do Indii? Tak samo zachowała się i teraz. Gdy opowiadałam jej, co się stało, stała najspokojniej w świecie i wpatrywała się we mnie, nie mówiąc ani słówka, tylko pobladła jak ściana i otworzyła oczy szeroko. Gdy skończyłam mówić, stała jeszcze przez parę sekund, wlepiając we mnie oczy, potem począł się jej trząść podbródek, odwróciła się, wybiegła z pokoju i udała się na górę. Kilka jej koleżanek zaczęło płakać, ale ona jakby ich nie słyszała ani nie zwracała uwagi na nic poza tym, co do niej mówiłam. Najbardziej mnie to uderzyło, że nie odpowiedziała ani słowa... a przecież gdy się komuś oznajmia jakąś nagłą i niespodziewaną wiadomość, należy się spodziewać, że posłyszemy choćby

jakieś zapytanie... jakiś wyraz bólu...

Nikt prócz Sary nie wiedział — i nie dowiedział się nigdy, co działo się w jej pokoju, gdy wbiegła na górę i zamknęła na klucz drzwi za sobą. Prawdę mówiąc, to i ona sama niewiele mogła sobie przypomnieć ponad to, że chodziła przez czas dłuższy tam i z powrotem po pokoju, powtarzając ustawicznie głosem, który się jej wydawał jakby obcym:

— Mój tatuś nie żyje!... tatuś nie żyje!

W pewnym momencie zatrzymała się przed Emilką, spoglądającą na nią ze swego fotelu, i zawołała rozpaczliwie:

— Emilko! Czy słyszysz? Czy słyszysz, że mój tatuś nie żyje?... Umarł w Indiach... o tysiące mil od nas!...

Gdy, posłuszna wezwaniu, weszła do pokoju przełożonej, miała twarz bladą i ciemne obwódki dokoła oczu. Usta zacisnęła, jak gdyby pragnęła nie zdradzać się z tym, jak cierpi i co już wycierpiała. Nie była ani trochę podobna do tego różowego motylka, co niedawno w przystrojonej sali fruwał od jednej zabawki do drugiej; przeobraziła się w niedołązną, opuszczoną, prawie niezgrabną dziewczuszkę. Bez pomocy Marietty przebrała się w porzuconą od dawna, czarną welwetową sukienkę, przyciasną już i krótką, tak, iż smukłe nóżki, nazbyt wystając spod kusego [\[50\]](#) rąbka, wydawały się i chude i zbyt długie, jak u bociana. Ponieważ nie mogła nigdzie znaleźć ani skrawka czarnej wstążki, przeto krótkie i gęste czarne włoski rozsypały się beładnie dokoła twarzy, tworząc silny kontrast z jej bladością. W rękach tuliła Emilkę, osłoniętą kawałkiem czarnego materiału.

— Połóż tę lalkę — odezwała się miss Minchin. — Po coś ją tu przyniosła?

— Nie, nie położę — odpowiedziała Sara. — Ona jest wszystkim, co posiadam na ziemi. Dostałam ją od tatusia.

Jej odpowiedzi stale wywoływały ciche zakłopotanie w duszy miss Minchin. Tak też było i w tej chwili. Sara nie odezwała się bynajmniej niegrzecznie, ale w głosie jej dźwięczała chłodna stanowczość, na jaką miss Minchin w tej chwili nie umiała się zdobyć...

— Odtąd już nie będziesz miała czasu na bawienie się lalkami — zapowiedziała. — Będziesz musiała pracować, wyzbyć się złych nawyków i być pożyteczną.

Sara utkwiała w niej wielkie, dziwnego wyrazu pełne oczy i nie powiedziała ani słowa.

— Teraz wszystko się zmieni — mówiła dalej miss Minchin. — Przypuszczam, że miss Amelia wyjaśniła ci całą sprawę.

— Tak jest — odpowiedziała Sara. — Mój tatuś umarł i nie zostawił mi ani szeląga. Jestem w nędzy...

— Tak, jesteś żebraczką! — podkreśliła miss Minchin, jątrząc się świadomością tego, co kryło się w

znaczeniu tego wyrazu. — Okazuje się, że nie masz rodziny ani krewnych i nie ma kto zaopiekować się tobą.

Sara znowu nic nie odpowiedziała, ale mała, blada jej twarzyczka drgnęła boleśnie.

— Czemu wytrzeszczasz oczy? — spytała ją ostro miss Minchin. — Czy jesteś tak tępa, że nie rozumiesz, co do ciebie mówię? Powtarzam ci, że jesteś dziś sama w świecie i że nikt nie zatroszczy się o ciebie, o ile ja z litości nie zatrzymam cię w moim domu.

— Rozumiem — odpowiedziała Sara głosem stłumionym, jakby przełykała coś, co ją dławilo w gardle. — Rozumiem...

— A ta lalka... — zawołała miss Minchin, wskazując na leżący w pobliżu wspaniały prezent imieninowy — ta do śmieszności kosztowna lalka, wraz z tymi bezsensownymi, zbyt kownymi fatałaszkami... to ja zapłaciłam za nią cały rachunek!

Sara zwróciła głowę w stronę fotela.

— Ostatnia Lalka... Ostatnia Lalka...! — westchnęła z dziwnym smutkiem w głosie.

— Tak jest, ostatnia lalka! — rzekła miss Minchin. — Ona należy do mnie, nie do ciebie. Wszystko, co posiadasz, do mnie teraz należy!

— A więc proszę ją sobie zabrać — odparła Sara. — Ja jej nie potrzebuję.

Gdyby Sara rozbeczała się, dostała spazmów i okazała wielkie przerażenie, na pewno miss Minchin miałaby względem niej większą cierpliwość. Ta kobieta lubiła rządzić i odczuwać potęgę swej władzy; jednak patrząc w bladą, ale nieugiętą twarzyczkę Sary i słysząc jej cichy, ale hardy głosik, miała wrażenie, że moc jej na nic się nie zda wobec tej dziewczyny.

— Nie przybieraj miny tak wyniosłej — upomniała ją. — Minał ten czas, gdy mogłaś pokazywać takie fomy[51]. Nie jesteś już księżniczką. Jutro odeślemy twego kucyka i twój powozik, a pokojówkę odprawimy. Będiesz nosiła sukienki jak najskromniejsze i najbardziej znoszone; te wyszukane stroje nie licują z twym obecnym stanowiskiem. Teraz musisz zarabiać na utrzymanie... jak Becky.

Ku jej zdziwieniu w tejże chwili w oczach Sary zalśnił drobny jakiś odbłysek — niby promyczek pocieszenia.

— Czy będę mogła pracować? — zapytała Sara. — Jeżeli będę mogła pracować, to jeszcze pół biedy... A co będę robiła?

— Będiesz robiła wszystko, co ci każą — brzmiała odpowiedź. — Jesteś dzieckiem pojętym i uczysz się wszystkiego z łatwością. Jeżeli będziesz starała się być pożyteczna, to pozwolę ci tu pozostać. Mówisz dobrze po francusku, więc możesz pomagać w nauce młodszemu dziewczynkom.

— Będzie mi wolno? — zawołała Sara. — Proszę, niech mi pani pozwoli! Wiem, że potrafię je nauczyć! Ja je lubię i one mnie lubią!

— Tylko się nie przechwalaj tym, że cię ktoś lubi! — ofuknęła ją miss Minchin. — Będiesz miała do roboty coś więcej, niż uczenie najmłodszych dziewczynek. Będiesz chodziła za sprawunkami, pomagała w kuchni i sprzątała w sali szkolnej. Jeżeli nie będę z ciebie zadowolona, to cię odprawię. Pamiętaj o tym. A teraz odejdz.

Sara stała jeszcze przez chwilę, wpatrując się w przełożoną, a w jej młodocianej główce ważyły się dziwne, głęboko utajone myśli. Nagle odwróciła się i skierowała kroki ku drzwiom.

— Zatrzymaj się! — upomniała ją miss Minchin. — Czy nie masz ochoty mi podziękować?

Sara stanęła, a wszystkie owe dziwne, głęboko utajone myśli zakipiały nagle falą potężną w jej sercu.

— Za co? — zapytała.

— Za moją łaskawość — odpowiedziała miss Minchin. — Za tę łaskę, że dałam ci dom i opiekę rodzinną.

Sara podeszła kilka kroków w jej stronę, dysząc gwałtownie i odezwała się głosem, jak na dziecko, niezwykle śmiałym:

— Pani nie wyświadcza mi łaski... i nie obdarza mnie opieką rodzinną!

To rzekłszy, odwróciła się i wybiegła z pokoju. Miss Minchin nie zdołała już jej powstrzymać — posłała za nią jedynie jadowite, złowrogie spojrzenie.

Sara szła po schodach powoli, łapiąc z trudnością oddech i przyciskając do serca Emilkę.

— O gdybyż ona umiała mówić! — powtarzała sobie w duchu. — Gdybyż umiała... gdybyż umiała mówić!

Zamierzała udać się do swego pokoju, położyć się na tygrysiej skórze, przytulić policzek do głowy wielkiego zwierza, wpatrzeć się w ogień na kominku i myśleć — myśleć — myśleć... Zanim jednak doszła do półpiętra, z jej pokoju wyszła miss Amelia, zamknęła za sobą drzwi na klucz i stanęła przed nimi, jakaś zakłopotana i nieswoja.

— Tobie... tobie nie wolno tam wchodzić — oznajmiła.

— Nie wolno mi wchodzić? — zawołała Sara, cofając się nieco.

— To już nie twój pokój — odpowiedziała miss Amelia, rumieniąc się z lekka.

Sara poczęła rozumieć sytuację. Pojęła, że jest to początek tej zmiany, o której wspominała miss Minchin.

— A gdzie jest mój pokój? — zapytała, starając się, by głos jej nie zdrzał.

— Masz spać na poddaszu, w sąsiedztwie Becky.

Sara wiedziała, gdzie jest ów apartament, bo słyszała już o nim w opowiadaniach Becky. Odwróciła się przeto i przeszła przez dwa rzędy schodów. Drugi z nich był wąski i wysłany brudnymi strzępami starego kobierca. Miała wrażenie, że idzie w daleką, daleką przestrzeń i że zostawia hen za sobą ów świat, w którym żyła owa druga dziewczynka, coraz mniej mająca wspólnego z nią samą... z tym dzieckiem w kusej i ciasnej sukieneczynie, gramolącym się na schody, wiodące ku poddaszu.

Gdy doszła do drzwi wiodących na strych i otworzyła je, serce głucho zadudniło jej w piersiach. Zamknęła drzwi, oparła się o nie i rozejrzała się wokoło.

Istotnie był to świat zgoła inny. Pokój był bielony i miał sufit pochyły. Tynk był już brudny i poodpadał w wielu miejscach. Koło pordzewiałego piecyka stało stare, żelazne łóżko, na którym leżał twardy siennik, nakryty spłowiałą kołdrą. Poza tym znajdowało się tu parę sprzętów, przyniesionych z dołu, gdzie wskutek zniszczenia nie nadawały się już do użytku. Pod oknem w suficie, przez które nie było widać nic prócz podłużnego skrawka szarego nieba, stał czerwony podnóżek, mocno już wytarty od starości. Sara usiadła na nim. Nie miała zwyczaju płakać, więc i teraz nie płakała, tylko położyła na kolanach Emilkę, objęła ją rękoma, przytuliła do niej policzek i tak siedziała bez słowa — bez szelestu — przez dłuższy czas.

Naraz rozległo się ciche stukanie do drzwi — tak ciche i nieśmiałe, że Sara nie dosłyszała go początkowo i nawet nie podnosiła się z miejsca; w końcu drzwi się uchyliły, z lekka, jakby trwożliwie naciśnięte i ukazała się w nich zmizerowana i zasmolona twarzyczka. Była to twarz Becky. Biedna pomywaczka popłakiwała ukradkiem od paru godzin, a ponieważ ocierała łyż fartuchem kuchennym, więc w końcu jej czoło, powieki i policzki przybrały wygląd zgoła komiczny.

— Ach, panienko — odezwała się szeptem. — Cy mnie będzie wolno... czy panienka da mi pozwolenstwo... zebym wesła do pokoju?

Sara podniosła oczy i spojrzała na przybyłą, starając się uśmiechnąć — co jednak się jej nie udało. Nagle pod wrażeniem tkliwego smutku, bijącego z zapłakanych oczu Becky, twarz jej się zmieniła, przybierając wyraz o wiele bardziej dziecinny. Wyciągnęła rękę i zaszłochała cichutko.

— Ach, Becky! — rzekła w końcu. — Mówiłam ci, że jesteśmy zupełnie sobie równe... że jesteśmy po prostu małymi dziewczynkami... niczym innym, tylko dwiema małymi dziewczynkami. Widzisz, że miałam rację. Teraz między nami nie ma żadnej różnicy. Nie jestem już księżniczką.

Becky przybiegła do niej, uklękła przy niej, pochwyciła jej rękę i przytuliła ją do piersi, łkając z przywiązania i współczucia.

— O nie, panienko! — zawołała, zacinając się w słowach. — Cokolwiek się... cokolwiek się panience przydarzy... panienka zawdy pozostanie księżniczką... i nikiemj [\[52\]](#) nie będzie inna, niżeli była przódy.



# Na poddaszu

Pierwsza noc spędzona na poddaszu była dla Sary niezapomniana. Podczas niej przeżyła chwilę ciężkiej, niedziecięcej boleści, z której nigdy w życiu nie zwierzyła się nikomu, nawet najbliższym osobom; nie było bowiem nikogo, kto by zdołał ją zrozumieć. Bądź co bądź, dobre było choć to, że gdy leżała bezsennie w ciemności, jej smutne myśli rozpraszała od czasu do czasu sama niezwykłość otoczenia. Dobrą, być może, było rzeczą, że jej drobne ciało przypominało jej, iż w świecie istnieją materialne przedmioty; gdyby nie to, zbyt wielką byłaby udręka, którą znieść musiał jej dziecięcy umysł. Jednakże w miarę jak noc upływała, Sara prawie zapomniała o swoich sprawach cielesnych i o wszystkim w świecie, poza tą jedyną myślą:

— Mój tatuś nie żyje! Mój tatuś nie żyje!

Zaczęła bez końca powtarzać szeptem te słowa. Dopiero w dłuższy czas potem uświadomiła sobie, że łóżko tak jest twarde, iż trzeba przewracać się z boku na bok, by znaleźć pozycję dogodną do spoczynku, że ciemność jest jak gdyby gęstsza, niż po inne czasy, i że wiatr pomiędzy kominami na dachu wyje i zawodzi niby jakaś żyjąca, nieszczęśliwa istota. Niebawem dołączyło się do tego wycia coś jeszcze straszniejszego; oto w murze i za deskami biegnącymi u dołu ścian rozległy się jakieś skrobania, szurgania i piski. Sara, pomna opowiadań Becky, wiedziała, co to znaczy. Były to głosy szczurów i myszy, zabawiających się lub walczących z sobą. Kilka razy posłyszała nawet stukot pazurków przebiegających szybko po podłodze; gdy później przypominała sobie te chwile, miała w pamięci i to, że posłyszawszy ten odgłos po raz pierwszy, zerwała się i usiadła na łóżku, a położywszy się z powrotem, zakryła sobie głowę kołdrą.

\*

Zmiana jej trybu życia dokonana się nie stopniowo, ale nagle, za jednym zamachem.

— Ona od samego początku musi się wdroić do wszystkiego — oświadczyła miss Minchin siostrze.  
— Powinna od razu nauczyć się tego, czego od niej wymagamy.

Nazajutrz rano Mariette została zwolniona ze służby. Przechodząc koło otwartych drzwi swego saloniku, Sara spostrzegła, że wygląd jego zmienił się całkowicie. Usunięto wszelkie ozdoby i przedmioty zbytku, a w kącie postawiono łóżko dla nowo przyjętej uczennicy.

Przybywszy na śniadanie, ujrzała, że jej miejsce przy boku miss Minchin było już zajęte przez Lawinię.

— Saro — odezwała się chłodno miss Minchin — swoje nowe obowiązki zaczniesz od tego, że usiądziesz z młodszymi dziewczynkami przy mniejszym stole i będziesz czuwała nad tym, żeby nie hałasowały, nie broiły i nie marnowały jedzenia. Powinnaś wcześniej schodzić na dół. Lottie już wylała herbatę.

Taki był początek, a odtąd z każdym dniem pomnażały się nałożone na nią obowiązki. Uczyła

młodsze dziewczynki francuskiego i przesłuchiwała je z innych lekcji — ale to była jeszcze praca najłżejsza. Przekonano się bowiem, że można z niej mieć wyrękę w niejednym zakresie. Można ją było posyłać po sprawunki o każdej porze dnia i przy każdej pogodzie. Można jej było nakazać, by wykonała robotę, nie wykończoną lub zaniedbaną przez innych. Kucharka i pokojówki podchwyciły ton miss Minchin, rade, że mogą rozkazywać tej *smarkatej*, o którą było tyle hałasu przez czas tak długi.

Przez pierwsze dwa miesiące Sara mniemała, że uległym i w miarę sił najlepszym wypełnianiem swych powinności oraz potulnym znoszeniem wszelkich łajb zdoła zmiękczyć serca tych, którzy obchodzili się z nią tak srogo. W głębi hardej duszyczki życzyła sobie, by nabrali przekonania, że ona nie potrzebuje ich łaski, lecz stara się zapracować na swe utrzymanie. Ale w końcu uświadomiła sobie, że nie zmiękczyła nikogo — owszem im większą okazywała uległość, tym bardziej panoszyły się wobec niej służące i na tym większe grubiaństwa pozwalała sobie kucharka.

Gdyby Sara była o kilka lat starsza, miss Minchin obarczyłaby ją pomaganiem w nauce starszym dziewczynkom i zaoszczędziłaby nieco grosza, dając odprawę korepetytorce; ponieważ jednak była tylko dzieckiem i wyglądała jak dziecko, więc uważano, że większy z niej będzie pożytek, gdy zostanie *dziewczyną do wszystkiego*, nade wszystko zaś generalną wykonawczynią wszelkich zakupów i posyłek. Sprawiała się w tym zakresie lepiej niż zawodowy posłaniec. Można jej było powierzać najtrudniejsze zlecenia i posyłki. Umiała nawet płacić rachunki na mieście, z czym łączyła wyborną umiejętność sprzątanania i porządkowania pokojów.

Własne jej lekcje należały już do przeszłości. Nie uczono jej już niczego i dopiero po wielu żmudnych dniach spędzonych na bieganiu tu i tam za byle czyim rozkazem, pozwolono jej (acz z niechęcią) chodzić późnym wieczorem do opustoszałej sali szkolnej i ślęczeć w samotności nad stosem starych książek.

— Jeżeli nie będę sobie przypominała tego, czego się nauczyłam, to wkrótce zapomnę wszystko — mówiła sama do siebie. — Jestem już niemal dziewczyną kuchenną, a jeżeli ponadto będę niewykształcona, to stanę się zupełnie podobna do Becky. Ciekawe, czy potrafiłabym zapomnieć wszystko... i nie wiedzieć, kiedy się w wyrazach francuskich pisze *h* lub ile żon miał Henryk VIII.

Jedną z najosobliwszych stron nowego trybu życia Sary była zmiana jej stanowiska wśród uczennic. Nie dość, że przestała odgrywać wśród nich rolę jakby małej władczyni, ale zdawała się wręcz nie należeć już do ich grona. Była do tego stopnia zajęta ciągłą robotą, że ledwo miała sposobność rozmawiać z którąś z koleżanek; zresztą zauważyła, iż miss Minchin nierada była temu, żeby się z nimi zadawała.

— Nie życzę sobie, by ta dziewczyna poufaliła się i rozmawiała z innymi dziewczynkami — oświadczyła raz przełożona. — Dziewczęta lubią słuchać utyskiwań, a gdy ona zacznie opowiadać im o sobie różne romantyczne historie, zaraz w ich oczach wyrośnie na nieszczęśliwą bohaterkę i rodzice zrażą się do mojego zakładu. Lepiej, żeby żyła zupełnie na uboczu... zgodnie ze swoją pozycją. Ja daję jej dach nad głową... a więcej nie ma prawa wymagać ode mnie.

Sara nie wymagała wiele i zbyt była dumna, by nadal poufalić się z dziewczynkami, które najwidoczniej zaczęły się krępować i czuć się niepewnie w jej towarzystwie. Uczennice miss

Minchin były w przeważnej części stadem głupiutkich, młodych gąsek. Przywykły do wygod i dostatków, więc gdy sukienki Sary stawały się coraz krótsze i brudniejsze, gdy w jej bucikach pokazały się dziury i gdy poczęła na każde zawołanie kucharki chodzić z koszykiem do miasta po zakupy, nauczyły się przemawiać do niej takim tonem, jakim się mówi do służącej.

— Pomyśl sobie, że ta dziewczyna była właścicielką kopalni diamentów — drwiła Lawinia. — Wygląda jak garkotłuk, a dziwaczeje z każdym dniem...! Nigdy nie lubiłam jej zbytnio, ale teraz to już ścierpieć nie mogę, gdy ona przygląda się ludziom, nie mówiąc ani słowa... zupełnie jakby chciała zgłębić ich myśli.

— Bo też chcę ich zgłębić — odpowiedziała Sara bez wahania, usłyszawszy to. — Dlatego przyglądam się niektórym ludziom. Lubię wiedzieć, co się w nich dzieje... i rozmyślać nad tym.

Trzeba nadmienić, że Sara kilkakrotnie uniknęła różnych przykrości, przyglądając się uważnie Lawinii, która zawsze rada była komuś dokuczyć, szczególnie zaś lubiła dawać się we znaki swej dawnej rywalce.

Sara nigdy nikomu nie dokuczała ani też nie wtrącała się do niczyich spraw. Pracowała jak najemnica; dreptała po mokrych ulicach, dźwigając koszyki i paczki; przełamywała dziecięce roztrzepanie małych dziewczynek, którym pomagała w nauce francuskiego. Ponieważ ubranie jej stawało się z każdym dniem brudniejsze, a wygląd coraz bardziej zaniedbany, uznano, iż powinna stołować się w suterenie<sup>[53]</sup>. Słowem obchodzono się jak z podrzutkiem lub oberwańcem. W sercu jej z każdym dniem narastał ból i hardość — ale nikomu nie zwierzała się ze swych uczuć.

— Żołnierze się nie skarżą, gdy ich coś boli — powtarzała, zaciskając zęby. — I ja też nie będę się skarżyła; będę sobie wyobrażała, że jestem na wojnie.

Ale bywały chwile, że jej dziecięce serduszko pękłoby z bólu, gdyby nie miało oparcia w trzech życliwych jej osobach.

Pierwszą z nich, trzeba przyznać, była Becky — tak, właśnie ona. Przez całą pierwszą noc spędzoną na poddaszu Sara doznawała niejakiej pociechy na myśl, że po drugiej stronie muru, w którym roiły się i piszczaly szczury, znajdowała się przecie jakaś ludzka istota. W ciągu nocy następnych owo uczucie pociechy znacznie wzrosło. Za dnia obie sąsiadki mało miały sposobności do rozmowy z sobą; każda z nich bowiem miała własną robotę, a wszelka próba pogawędki byłaby poczytana za próżniactwo i marnotrawienie czasu.

— Prose sie ta na mnie nie gniwać, panienko — szepnęła Becky pierwszego dnia — jeśli nie będę grzecznie mówiła. Jescebym za usy od kogo oberwała, kiejbym zacęna rozmawiać. Tera to ni mamy caszu ani na *przeprasom*, ani na *dziękuję*, ani na *prose*...

Mimo to każdego ranka wkradała się do pokoiku Sary, ażeby pozapinać jej ubranie i pomóc, w czym tylko mogła, zanim zbiegła do kuchni rozpalać ognisko. A gdy zapadła noc, Sara zawsze słyszała nieśmiałe stukanie do drzwi, oznaczające, że jej służebnica znów gotowa pomagać jej we wszystkim. Przez pierwsze tygodnie swej niedoli Sara czuła się jakby ogłuszona, zdarzało się więc, że czas dłuższy mijał, zanim się z sobą spotkały lub zaszły w odwiedziny jedna do drugiej. Instynkt trafnie

podszepnął Becky, że gdy człowiek dozna smutku, najlepiej zostawić go w samotności.

Drugą pocieszycielką była Ermengarda. Zanim jednak objęła swoją rolę, zdarzyło się wiele dziwnych rzeczy.

Gdy umysł Sary zaczął znów jakby nawiązywać łączność ze światem, uświadomiła sobie, że w chwili nieszczęścia zapomniała zupełnie o istnieniu Ermengardy. Obie zawsze były przyjaciółkami, lecz Sara, choć jej rówieśniczka, uważała się za osobę starszą. Albowiem Ermengarda, przy całej dobroci swego serduszka, była zawsze osobką mało roztępiłą. Do Sary przyłgnęła całą swą nieporadnością i prostotą; przychodziła do niej z prośbą o pomoc w odrabianiu lekcji, przysłuchiwała się każdemu jej słowu i nagabywała ją o coraz nowe opowieści; sama jednak nie umiała powiedzieć nic ciekawego i brzydziła się wszelkimi książkami. Nie była to więc osoba, o której można by pamiętać, gdy się na czyjaś głowę zvaliła burza nieszczęść. Nic dziwnego, że Sara o niej zapomniała.

Zapomnieć o niej można było tym łatwiej, że niespodziewanie wyjechała na kilka tygodni do domu. Gdy powróciła, przez parę dni pierwszych nie widziała się z Sarą, aż dopiero pewnego razu spotkała ją przechodzącą przez korytarz i niosącą na rękach cały tobołek odzieży, przeznaczonej do naprawy... bo Sara już zdążyła nauczyć się łatania i cerowania odzieży. Twarz miała bladą i mocno zmienioną, a ubrana była w starą i dziwnie skrojoną sukienkę, spod której kusego rąbka wystawały jej chude i zblócone nóżka.

Ermengarda zbyt wielką była ciamajdą, by mogła znaleźć się odpowiednio w takiej sytuacji; nie pomyślała nawet o tym, by jakoś zagadnąć przyjaciółkę. Wiedziała wprawdzie, co się stało, jednakże nigdy nawet sobie nie wyobrażała, by Sara mogła tak wyglądać — by mogła stać się tak opuszczona, znędzniała, biedna, tak podobna do służebnej dziewczyny. Rozzaliło ją to do tego stopnia, iż nie zdobyła się na nic więcej, jak tylko na to, by wybuchnąć zdławionym histerycznym śmiechem i wykrzyknąć — bezmyślnie i niemal bez sensu:

— Ach, Saro! To ty jesteś?

— Tak! — odpowiedziała Sara i nagle oblała się pąsem na myśl, która przeszła jej przez głowę. W jej oczach, które patrzyły wprost przed siebie, było coś takiego, że Ermengarda zmieszła się jeszcze bardziej, mając wrażenie, jakby Sara zmieniła się w jakąś inną, dotąd jej jeszcze nieznaną dziewczynkę; wzięło się to może stąd, iż Sara tak nagle zbiedniała i musiała pracować ciężko jak Becky.

— Ach... — zająknęła się. — Jak... jak się masz?

— Sama nie wiem — odpowiedziała Sara. — A jak ty się miewasz?

— Ja... ja... dobrze — odrzekła Ermengarda, ogarnięta zakłopotaniem, i bezradnie poczęła przemyśliwać nad tym, by powiedzieć coś takiego, co by tchnęło większą serdecznością. — Czy... czy jesteś bardzo nieszczęśliwa? — wykrztusiła z siebie.

Wówczas Sara dopuściła się postępuku niesprawiedliwego: zbolełe jej serce nabrzmiało wielkim

gniewem i podszeptęło jej, że najlepiej będzie nie wdawać się w rozmowę z tak głupią istotą.

— Cóż ty sobie myślisz? — ofuknęła ją. — Może ci się zdaje, że jestem szczęśliwa? — I odeszła, nie mówiąc już ani słowa.

Z biegiem czasu uświadomiła sobie, że gdyby nieszczęście nie kazało jej zapomnieć o wielu rzeczach, wiedziałaby o tym, iż biedna, tępa Ermengarda nie zasługiwała na naganę za swą niezręczność i zahukanie. Jednakże owa nagła myśl, która nagle przemknęła przez głowę Sary, obudziła w niej nadmierną wrażliwość:

— Wszystkie one jednakowe — pomyślała sobie. — Ona nawet nie chce ze mną rozmawiać... bo wie, że inne ode mnie stronią[54].

Przez kilka tygodni coś jakby odgradzało je od siebie. Gdy przypadkiem spotkały się z sobą, Sara odwracała oczy w inną stronę, a Ermengarda czuła się zbyt skrępowana i zakłopotana, by mogła ją zagadnąć. Czasami mijając się, skinęły sobie wzajem głową, a zdarzało się, że zaniedbały nawet i tego powitania.

— Jeżeli ona woli ze mną nie rozmawiać — myślała Sara — to i ja będę jej unikała. Miss Minchin nam to ułatwi...

Miss Minchin ułatwiała im to tak wybornie, że w końcu prawie nie spotykały się z sobą. W owym to czasie zauważono, że Ermengarda jeszcze bardziej zgłupiała i że miała minę osowiałą i nieszczęśliwą. Całymi dniami siadywała na parapecie okna i spoglądała na dwór, nie mówiąc ani słowa. Pewnego razu Jessie, przechodząc koło okna, zatrzymała się i spojrzała na nią zdumiona.

— Czemu płaczesz, Ermengardo? — zapytała.

— Ja... nie płaczę — odpowiedziała Ermengarda zdławionym, niepewnym głosem.

— Ależ płaczesz! — zapewniła ją Jessie. — Właśnie ogromna łza spłynęła ci z koniuszka nosa... a za nią płynie druga...

— A niech sobie płynie! — zachnęła się Ermengarda. — Jestem nieszczęśliwa... więc niech nikt do mnie się nie wtrąca!

To rzekłszy, odwróciła od niej krępe plecy i zakryła sobie twarz chusteczką.

Tego wieczoru Sara później niż zwykle wróciła na poddasze. Zatrzymano ją przy robocie aż do tej godziny, o której dziewczynki kładły się spać, po czym udała się do pustej sali szkolnej, by odrabiać lekcje. Gdy wyszła na schody, wiodące na strych, zdumiała się ogromnie, widząc jakieś światelko, dobywające się ze szpary pod drzwiami jej pokoiku.

— Ktoś zapalił świecę — pomyślała. — Ale kto? Oprócz mnie nikt tam nie wchodzi.

Istotnie ktoś zapalił świecę; paliła się ona jednak nie w kuchennym lichtarzyku, którego Sara zwykła używać, lecz w takim, jakie znajdowały się w sypialnych pokojach dziewczynek. Ten ktoś siedział na

zszarganym podnóżku, a ubrany był w szlafroczek i otulony czerwonym szalem. Sara poznała przybyłą. Była to Ermengarda.

— Ermengarda! — krzyknęła Sara w zdumieniu, graniczącym niemal z przerażeniem. — Ależ narażasz się na nieprzyjemności!

Ermengarda stoczyła się z podnóżka i podreptała przez pokój, szurając zbyt wielkimi na nią pantoflami. Jej oczy i nosek były czerwone od płaczu.

— Wiem, że się narażam... gdyby mnie przyłapano... — odpowiedziała Ermengarda. — Ale ja o to nie dbam... nie dbam wcale... Ach... Saro, powiedz mi... co to się stało? Czemu przestałaś mnie kochać?

W głosie jej była jakaś dziwna nuta, że Sarę znów coś zaczęło dławić w gardle. Ten ton prostoduszny i serdeczny przypomniawszy jej dawną Ermengardę, która pragnęła zostać jej *najlepszą przyjaciółką*, i wyraził zgoła co innego, niż zdawało się wyrażać jej zachowanie w ciągu ostatnich kilku tygodni.

— Ja cię kocham — odparła Sara. — Ale widzisz... teraz wszystko się zmieniło... Myślałam... myślałam... że i tyś się zmieniła.

Ermengarda szeroko otworzyła zapłakane oczy.

— Ależ... to tyś się zmieniła! — zawołała. — Nawet nie chciałaś rozmawiać ze mną... sama nie wiedziałam, co mam zrobić. Tak, to tyś się zmieniła od czasu mojego powrotu!

Sara zamyśliła się. Spozstrzegła, że popełniła omyłkę.

— Tak, ja się zmieniłam — odpowiedziała — ale w inny sposób, niż ci się wydaje. Miss Minchin nie życzy sobie, żebym rozmawiała z dziewczynkami... i prawie żadna ze mną nie rozmawia. Myślałam... że i ty może nie chcesz ze mną mówić; dlatego starałam się schodzić ci z drogi.

— Och, Saro! — odrzekła Ermengarda z wyrzutem, niemal płacząc, po czym obie spojrzały sobie w oczy i rzuciły się wzajem w objęcia. Przez kilka minut czarna główka Sary spoczywała na ramieniu spowitym w czerwony szal. Bo też tak się czuła osamotniona w owym czasie, gdy Ermengarda zdawała się od niej stronić!

Następnie usiadły razem na podłodze. Sara objęła ramieniem kolano, a Ermengarda otuliła ją swoim szalem, patrząc z uwielbieniem w jej przedziwne, duże oczy.

— Już nie mogłam dłużej tego znosić — zwierzała się. — Może ty byś mogła żyć beze mnie, Saro, ale ja bym bez ciebie żyć nie mogła. Dlatego to dziś wieczorem, gdym płakała pod kołdrą, przyszło mi nagle na myśl, by po cichu wejść do ciebie na górę i prosić cię, żebyśmy znów mogły być przyjaciółkami.

— Postąpiłaś o wiele piękniej niż ja — wyznała Sara. — Ja byłam zbyt dumna, by starać się o twoją przyjaźń. Widzisz, teraz, gdy los mnie doświadczył, okazało się, że nie jestem dobrym dzieckiem.

Bałam się zawsze, że przyjdą na mnie takie ciężkie chwile... Może dlatego zostały zesłane, żeby mnie wypróbować!

Ermengarda rozejrzała się po pokoiku, a na jej twarzyczce malowała się jednocześnie ciekawość i bojaźń.

— Saro — odezwała się — jak ty tu możesz mieszkać?

Sara również rozejrzała się wokoło.

— Owszem, mogę... o ile sobie wyobrazę, że ten pokoik inaczej wygląda... albo też, że jest to jedno z miejsc, o których mowa w powieściach.

Mówiła powoli, a wyobraźnia jej poczęła się ożywiać i pracować, jak nie pracowała od czasu, gdy na Sarę spadło nieszczęście. Toteż Sara miała wrażenie, że ta władza jej duszy uległa niejakiemu stopieniu.

— Inni ludzie w gorszych jeszcze żyli warunkach. Przypomnij sobie hrabiego Monte Christo, gdy znajdował się w kazamatach[55] *Château d'If*[56]. A pomyśl o więźniach Bastylli!

— Bastylli... — szeptem powtórzyła Ermengarda, wpatrując się w przyjaciółkę i ulegając już jej urokowi. Miała żywo w pamięci dzieje rewolucji francuskiej, które Sara za pomocą intrygujących opowiadań utrwaliła w jej umyśle. Prócz Sary, nikt nie zdołałby tego dokonać.

— Tak jest — mówiła dalej Sara, oplatając kolana dłońmi, a w oczach jej zajaśniał błysk, znany tak dobrze Ermengardzie.

— W tym miejscu można doskonale wszystko sobie wyobrażać. Jestem oto więźniem Bastylli. Spędziłam tu wiele, wiele lat... i wszyscy o mnie zapomnieli, Miss Minchin jest dozorcą więzienia... a Becky... — tu w jej oczach rozjarzył się promień jeszcze silniejszy — Becky jest więźniem, znajdującym się w sąsiedniej celi!

Zwróciła się twarzą ku Ermengardzie. W tej chwili była znowu całkiem podobna do dawnej Sary.

— Będę to sobie wyobrażała — rzekła. — Przyniesie mi to wielką ulgę.

Ermengarda była jednocześnie zachwycona i onieśmielona.

— A czy będziesz mi o tym opowiadała? — zapytała. — Czy będę mogła tu przychodzić nocą, kiedy jest najbezpieczniej, i słuchać tych opowieści, które sobie ułożysz za dnia? W ten sposób staniemy się jeszcze serdeczniejszymi przyjaciółkami, niż byłyśmy przedtem...

— Dobrze — zgodziła się Sara. — W nieszczęściu poznaje się ludzi; ja w moim nieszczęściu poznałam twoje dobre serce.

# Melchizedech

Trzecią sojuszniczką Sary była Lottie. To małeństwo jeszcze nie rozumiało, co znaczy nieszczęście; toteż przerażała ją i niepokoiła zmiana, jaką zauważyła w trybie życia swej przybranej matki. Z pogłosek słyszała, że Sarze przydarzyło się coś niezwykłego, ale nie mogła pojąć, czemu Sara wygląda inaczej — czemu ubiera się w starą czarną sukienkę i przychodzi tylko po to do sali szkolnej, żeby uczyć dziewczynki, zamiast siedzieć po dawnemu na honorowym miejscu i sama się uczyć. Wiele szeptów było pomiędzy dziećmi, gdy wyszło na jaw, że Sara już nie mieszka w swych pokojach, w których tak długo królowała Emilka. W największe zakłopotanie wprowadziło małą Lottie to, że Sara tak mało mówiła, gdy ją ktoś o coś zapytał... a pytać trzeba wiele, gdy się chce dociec znaczenia wielu tajemnic.

— Czy ty jesteś teraz bardzo biedna, Saro? — zapytała ją poufale zaraz pierwszego dnia, gdy Sara objęła nadzór nad małą *szkółką* języka francuskiego. — Tak biedna, jak żebrak?

Ścisnęła tłustą łapką smukłą dłoń Sary i wybałuszyła okrągłe, łzami zalane oczęta.

— Ja nie chcę, żebyś ty była biedna jak żebrak!

Widząc, że Lottie gotowa rozbeczeć się za chwilę, Sara pospieszyła ją pocieszać.

— Żebracy nie mają gdzie mieszkać — rzekła odważnie — a ja przecież mam mieszkanie.

— A gdzie ty mieszkasz? — nalegała Lottie. — W twoim pokoju śpi nowa uczennica... i nie jest on już taki ładny, jak dawniej.

— Ja teraz mieszkam w innym pokoju — odpowiedziała Sara.

— A czy to ładny pokój? — dopytywała się Lottie. — Chcę pójść i obejrzeć.

— Nie rozmawiaj — upomniała ją Sara. — Miss Minchin na nas patrzy i jeszcze się będzie gniewała, że pozwalam ci szeptać.

Zdążyła już się przekonać, że musi ponosić odpowiedzialność za wszelkie nieporządki i złamania karności, jakie tylko zdarzyły się w tym domu. Jeżeli dzieci były nieuważne, jeżeli rozmawiały lub hałasowały, ona za to odbierała naganę.

Ale Lottie była osobką upartą. Widząc, że Sara nie chce jej wyjawić miejsca swego zamieszkania, postanowiła odkryć je sama jakimkolwiek sposobem. Zagadywała więc młodsze koleżanki i podsłuchiwała rozmowy starszych dziewczynek, aż w końcu opierając się na jakiejś informacji, rzuconej przez kogoś mimochodem, wybrała się pewnego wieczoru na poszukiwanie i wdrapując się na schody, o których istnieniu dotąd nawet nie wiedziała, dotarła na sam strych. Znalazła tu dwoje drzwi, jedno przy drugim, a otwarłszy pierwsze z nich, ujrzała Sarę stojącą na starym stoliku i wyglądającą przez okno.

— Saro! Mamusiu moja! — zawołała w przerażeniu; tak brzydki i pusty wydał jej się ten pokój, tak



od całego świata odległy. Małe nóżka tak były zmęczone, jakby przebyły co najmniej kilkaset schodów.

Na dźwięk jej głosu Sara obejrzała się i struchlała. Co teraz będzie? Jeżeli Lottie zacznie płakać, a ktoś usłyszy, obie będą zgubione! Zeskoczyła ze stołu i podbiegła do małej.

— Tylko nie płacz i nie rób hałasu — zaczęła ją błagać. — Dostałabym za to burę, a już dość tego, że przez cały dzień wciąż mnie łajano. Ten pokój... ten pokój nie jest najgorszy...

— Nie najgorszy? — szepnęła Lottie i zacisnęła usta, rozglądając się wokoło. Była wprawdzie rozpieszczonym dzieckiem, ale tak kochała swą przybraną matkę, że dla niej zdobyła się na ten wielki wysiłek i zapanowała nad sobą; zresztą wiedziała, że każde miejsce, w którym mieszkała Sara, mogło przemienić się w przybytek piękna i szczęścia.

— Naprawdę nie najgorszy? — szepnęła. — Jak to?

Sara przytuliła ją do siebie i starała się uśmiechnąć.

— Bo widać stąd różne rzeczy, jakich nie ogląda się nigdy tam na dole — odpowiedziała.

— Cóż to za rzeczy? — zapytała Lottie z zaciekawieniem, jakie Sara umiała obudzić nawet w starszych dziewczynkach.

— Kominy na dachu... tak bliskie, że niemal ręką można ich dosięgnąć... i dym, który się wije smugami i kłębami wzbija się w niebo... i wróble, co skaczą dokoła i gwarzą<sup>[57]</sup> z sobą zupełnie jak ludzie... i okna innych poddaszy, z których co chwilę wychylają się jakieś głowy... Tak miło jest myśleć o tych ludziach, kim oni są i co porabiają... I tak tu wysoko, wysoko... jakbym się znajdowała w jakimś innym świecie!

— Oj, chciałabym to zobaczyć! — zawołała Lottie. — Podsadź mnie w górę!

Sara podniosła ją i postawiła na starym stoliku, po czym obie oparły się o krawędź skośnego okna i wyjrzały na świat.

Kto nie spoglądał z takiej wysokości, ten nawet nie pojmuje, jak niezwykły widok roztoczył się przed oczyma obu dziewczynek. Oto zewsząd rozpościerały się płaszczyzny dachówek, zbiegając ukośnie ku rynnom. Wróble, które miały tu swe siedliska, ćwierkały i skakały wokoło, nie okazując najmniejszej trwogi. Dwa z nich usiadły na szczycie najbliższego komina i kłóciły się z sobą, póki jeden nie podziobał i nie wypędził swego towarzysza. Pobliskie okno strychove było zamknięte, gdyż sąsiednia kamienica była niezamieszкана.

— Szkoda, że tam nikt nie mieszka — westchnęła Sara. — To okno jest tak blisko, że gdyby tam na poddaszu mieszkała mała dziewczynka, mogłybyśmy z sobą rozmawiać, a nawet przełazić do siebie w odwiedziny... jeżelibyśmy się tylko nie bały, że spadniemy z dachu.

Niebo wydawało się tu znacznie bliższe, niż gdy się patrzyło na nie z ulicy. Lottie była oczarowana. Z wysokości okna strychovego pomiędzy kominami wszystko to, co działo się w dole, wydawało się

niemal czymś nierzeczywistym. Ledwie się tu wierzyło w istnienie miss Minchin, miss Amelii i sali szkolnej, a turkot kół na ulicy poczytać można było za dźwięk, pochodzący z innego świata.

— Ach, Saro! — zawołała Lottie, przytulając się do jej opiekuńczego ramienia. — Jakże mi się podoba tu na poddaszu! Tu o wiele ładniej, niż tam u nas na dole!

— Popatrz na tego wróbelka — szepnęła Sara. — Szkoda, że nie mam okruszynek, to bym mu rzuciła.

— Ja mam! — półgłosem wykrzyknęła Lottie. — Wczoraj kupiłam sobie ciastko i jeszcze mi został w kieszeni kawałek.

Gdy rzuciły kilka okruszynek, wróbel zerwał się i odleciał na jeden z sąsiednich kominów; widocznie nie był przyzwyczajony do serdeczności ze strony mieszkańców poddasza i zląkł się rzuconych niespodzianie okruszyn. Ale gdy Lottie nie ruszała się, a Sara poczęła cichuśko ćwierkać — jak gdyby sama była wróbelkiem — ptaszek poznał, że to, co go tak przestraszyło, było jedynie objawem gościnności. Przechylił więc główkę i z wysokości komina spoglądał na okruszyny, mrugając przy tym oczkami. Lottie ledwie potrafiła ustać spokojnie.

— Czy on się zbliży? Czy się zbliży? — szepnęła.

— Ze spojrzenia jego widać, że się zbliży — odpowiedziała Sara szeptem. — Teraz przemyśla nad tym, czy to bezpieczne. Tak! Przyleci! O, już się zbliża!

Wróbelek sfrunął w dół i skoczył ku okruszynom, ale zatrzymał się w pewnej odległości i znów przechylił główkę na bok, jakby rozmyślając nad tym, czy Sara i Lottie nie zmienią się przypadkiem w dwa duże kociska i nie rzucą się na niego. W końcu doszedł do wniosku, że dziewczynki nie są takie straszne, jak mu się wydawało, więc w kilku podrygach podbiegł bliżej, porwał lśniącym dziobkiem największą z okruszynek i zaniósł ją hen poza komin.

— Teraz już nas zna — rzekła Sara. — Zaraz przyleci po resztę okruszynek.

Wrócił, ale nie sam, bo przyprowadził z sobą kolegę, a ten kolega za chwilę odleciał i przywiódł jakiegoś swego kuzyna; rozpoczęły we trzech wesołą ucztę, pełną krzyku, gwaru i świergotu, co czas pewien jednak odrywały się od jadła i przechylały łebki w bok, obserwując zachowanie się Lottie i Sary. Lottie tak była tym zachwycona, iż zapomniała o pierwszym, przykrym wrażeniu, jakiego doznała przy wejściu na poddasze. Zresztą, gdy zeszła ze stołu i powróciła niejako do spraw ziemskich, Sara pokazała jej różne zalety i powaby pokoju, których istnienia nigdy by się nawet nie domyśliła.

— To moje mieszkanie takie jest maluchne i położone tak wysoko, że niemal wydaje się gniazdkiem na wierzchołku drzewa. A ten pochyły sufit tak jest zabawny! Patrz, w tym końcu pokoju zaledwie można stanąć prosto, a gdy świta poranek, mogę leżeć w łóżku i patrzeć wprost w niebo przez to okno w dachu. Wygląda ono zupełnie jak kwadratowy skrawek światła. Gdy słońce zaczyna świecić, przepływają nade mną małe różowe obłoczki, a mnie się zdaje, że mogłabym ich dotknąć. A jeżeli deszcz pada, to krople szemrzą i szemrzą, jak gdyby gwarzyły ze mną o czymś miłym. Kiedy indziej znowu, gdy świecą gwiazdy, można położyć się na łóżku i liczyć, ile ich widać przez okno. A

przypatrz się temu zardzewiałemu piecykowi w kącie. Gdyby był wyczyszczony i gdyby zapalono w nim ogień, byłoby tu prześlicznie. Widzisz teraz, że mam naprawdę miły pokoik!

Mówiąc to, trzymała Lottie za rękę i obchodząc wraz z nią całe swe szczupłe mieszkanko, unaoczniała gestami wszystkie te rzekome piękności. Lottie, która zawsze wierzyła słowom Sary, również zaczęła sobie wyobrażać, że dostrzega to wszystko.

— Widzisz — mówiła dalej Sara — tu na podłodze mógłby leżeć gruby, puszysty kobierzec [58] indyjski; w tym zaś kącie mogłaby stać mała, miękka sofa, pełna poduszek; tam dalej stałaby półka pełna książek; przed piecykiem mogłaby leżeć tygrysia skóra, a na ścianie wisiałyby obrazy i dywaniki, które by zasłoniły odrapany tynk. Tam mogłaby wisieć lampka z różowym kloszykiem; na środku pokoju postawiłabym stolik z przyborami do herbaty, a koło ogniska szumiałby mały, pękaty imbryczek [59]. Łóżko też mogłoby być inne zupełnie: ładne, wygodne, zasłane miłą jedwabną kołderką. A może udałoby się nam oswoić wróbelki, żeby przylatywały do okna, stukwały w szybę i prosiły, by wpuścić je do pokoju.

— Ach, Saro! — zawołała Lottie. — Ja bym chciała tu mieszkać.

Gdy Sara namówiła ją do odejścia i odprowadziwszy ją przez kawałek drogi, wróciła na poddasze, pokój wydał się jej inny, niż przed chwilą; czar zmyśleń, roztaczanych wobec Lottie, przysnął doszczętnie. Łóżko było twarde i nakryte brudnym kocem. Na białej ścianie widać było odpadły tynk oraz plamy, podłoga była zimna i goła, piec połamany i okryty rdzą, a odrapany podnóżek, kulejący na jedną nogę, był jedynym sprzętem pokoju. Sara usiadła na nim i podparła głowę rękami. Odwiedziny i odejście Lottie spotęgowało w niej wrażenie brzydoty pokoju oraz własnej samotności.

— Tak, to prawdziwa pustelnia! — odezwała się do siebie. — Czasem wydaje mi się, że jest to chyba najbardziej odludne miejsce na świecie.

Siedziała już tak przez parę minut, gdy uwagę jej ściągnął jakiś lekki szelest w pobliżu. Podniosła głowę, chcąc zobaczyć, skąd głos ten pochodzi; to, co ujrzała, było tego rodzaju, że gdyby była bardziej bojaźliwa, natychmiast z wielkim pośpiechem zerwałaby się ze swego stołka. Oto z nory wylazł — zapewne zwabiony zapachem okruszynki, upuszczonej przez Lottie na podłogę — ogromny szczur; przysiadł na tylnych łapach i z lubością węszył na wszystkie strony. Wyglądał tak pociesznie i tak przypominał siwobrodego karzełka czy skrzata, że Sara, zamiast się przestraszyć, ubawiła się jego postacią i minką. Wpatrywał się w nią błyszczącymi ślepkami, jak gdyby chciał ją o coś zapytać; w spojrzeniu tym przebijało takie niedowierzenie, taka niepewność, że Sarze znów przysłydziły dziwne myśli do głowy:

— Tak, rozumiem cię, bratku! Pewnie, że to ciężko być szczurem! Nikt nie żywi dla ciebie sympatii; ludzie na twój widok zrywają się, uciekają i krzyczą: „Fe, brzydkie szczurzyisko!” Mnie też nie byłoby przyjemnie, gdyby ludzie na mój widok zrywali się z miejsca, krzycząc: „Fe, brzydka Sara!”... i zastawiali na mnie pułapki, udając, że mi podają obiad. Zgoła inaczej to być wróbelkiem! Ale nikt nie pytał tego szczura, gdy się urodził, czy chce być szczurem; nikt nie pytał: „Czy wolisz być szczurem, czy wróblem?”

Siedziała tak spokojnie, że szczur zaczął nabierać odwagi. Bał się wprawdzie ogromnie, ale może miał serce takie jak wróbelek, a ono mu mówiło, że ta dziewczynka nie jest kotem i nie skoczy na niego zniecka. Przy tym głodny był ogromnie. W norze miał żonę i liczną rodzinę, której od kilku dni nie dopisywało szczęście w łowach. Odszedł od gorzko płaczącej diatwy i powiedział sobie, że gotów jest narazić skórę, żeby zdobyć parę okruszynek. Toteż, ujrawszy zdobycz, ostrożnie stanął znowu na czterech łapkach.

— Chodź no bliżej — odezwała się Sara — nie bój się, nie jestem pułapką. Możesz sobie zabrać te okruszyny, biedaku! Więźniowie Bastylii przyjaźnili się ze szczurami. Może i my zawrzemy przyjaźń?

Nie wiem, czemu to przypisać, jednakże jest rzeczą pewną, że zwierzęta rozumieją, co się do nich mówi. Może istnieje mowa, która nie składa się z wyrazów, a mimo to jest zrozumiała dla wszystkich w świecie. Może we wszystkim kryje się jakaś dusza, która, nie wydając nawet najlżejszego dźwięku, umie zawsze rozmówić się z inną duszą. Jakakolwiek była przyczyna, szczur wiedział już od owej chwili, że jest bezpieczny — chociaż jest niczym więcej, jak szczurem. Wiedział, że ta młoda ludzka istota, siedząca na czerwonym podnóżku, nie zerwie się i nie nastraszy go dzikim hałasem ani też nie będzie w niego ciskała ciężkimi przedmiotami, które jeżeli go nie zmiażdżą, to w każdym razie mogą go okuliwić, lub zmusić do szybkiej ucieczki i ukrycia się w głębi nory. Był to naprawdę szczur bardzo grzeczny i nie myślał nikomu wyrządzić szkody. Gdy stał na dwóch łapkach i węszył, utkwivszy oczy w Sarze, miał nadzieję, że ona zrozumie jego zamiary i nie odniesie się do niego wrogo. Gdy ów tajemniczy głos, który przemawia bez słów, powiedział mu, że nie ma czego się obawiać, podszedł cicho ku okruszynom i zaczął je zajadać, przy czym od czasu do czasu spoglądał boczkiem na Sarę — zupełnie jak to czyniły wróble — a minkę miał tak potulną i nieśmiałą, że aż wzruszył serduszko dziewczynki. Jedna z okruszyn była większa od innych — tak, iż prawie nie zasługiwała na nazwę okruszyny. Widać było, że szczur miał wielką chrapkę na ten kasek — jednakże bał się podejść do podnóżka, przy którym leżała ta smakowita rzecz.

— Pewno chce ją zanieść do nory swej rodzinie — pomyślała Sara. — Jeżeli nie będę się ruszała, może on nabierze odwagi i złapie tę okruszynę.

Była tak zaciekawiona jego zachowaniem, że ledwo śmiała oddychać. Szczur podpełznął nieco bliżej i schrupał jeszcze kilka okruszyn, po czym zatrzymał się i jął<sup>[60]</sup> węszyć ostrożnie, rzucając ukradkowe spojrzenia w stronę osoby siedzącej na podnóżku; naraz<sup>[61]</sup> skoczył i z nagłą śmiałością, przypominającą poprzednie zachowanie się wróbla, dopadł ciastka, a ledwo je zagarnął w swe pazurki, natychmiast dał drapakę ku ścianie, zapadł się w jakiejś szczelinie pod podłogą i zniknął.

— Wiedziałam, że chciał tę okruszynę zanieść swoim dzieciom — rzekła Sara. — Jestem przekonana, że wkrótce zawrzemy przyjaźń.

W jaki tydzień później, w jeden z tych nielicznych wieczorów, gdy Ermengarda miała sposobność do wymknięcia się na górę, na próżno stukała przez parę minut koniuszkami palców w drzwi pokoiku Sary. W głębi pokoiku panowała taka cisza, że Ermengarda początkowo myślała, że Sara już śpi. Naraz ku wielkiemu swojemu zdziwieniu usłyszała jej cichy śmiech oraz następujące słowa, wypowiedziane do kogoś pieszczotliwym głosem.

— No, no! Weź to sobie, Melchizedechu i wracaj do domu! Już tam żona czeka na ciebie!

Wnet potem Sara otworzyła drzwi — i ujrzała Ermengardę, stojącą na progu i wpatrującą się w nią przerażonym wzrokiem.

— Z kim... z kim rozmawiałaś, Saro? — spytała ją cicho Ermengarda.

Sara wciągnęła ją ostrożnie do pokoju, ale twarz miała jakby uradowaną i rozbawioną.

— Musisz mi przyrzec, że się nie przestraszysz... ani krzykniesz... bo inaczej ci nie opowiem — odpowiedziała.

Ermengarda już na wstępie miała ochotę wydać przeraźliwy okrzyk, zdołała jednak zapanować nad sobą. Rozejrzała się wokoło po pokoju — i nie zobaczyła nikogo! A przecież Sara najwyraźniej z kimś rozmawiała! Ermengardzie przyszedł na myśl duchy.

— Czy to coś takiego... co by mnie mogło przestraszyć? — zapytała lękliwie.

— Niektórzy ludzie się ich boją — odpowiedziała Sara. — Ja też bałam się początkowo... ale teraz się nie boję.

— Czy to był... duch? — pisnęła Ermengarda.

— Nie — odparła Sara, śmiejąc się. — To był mój szcur...

Ermengarda skoczyła jak oparzona i jednym susem znalazła się na środku brudnego łóżeczka; tu podwinęła nogi pod siebie, otulając się szlafrokiem i czerwonym szalem. Nie krzyczała, ale dyszała ciężko z przerażenia.

— Och! Och! — kwiliła po cichu. — Szcur! Szcur!

— Przypuszczałam, że się złękiesz — rzekła Sara. — Ale nie masz czego się obawiać. Ja go oswoiłam; on mnie już zna i przychodzi na każde moje wezwanie. Czy chciałabyś go zobaczyć?

Ermengarda początkowo tak była przerażona, że skuliła się w kłębek na łóżku i nie śmiała się ruszyć; jednakże niebawem uspokoił ją pogodny wyraz twarzy przyjaciółki, a opowiadanie o pierwszym pojawieniu się Melchizedecha zaostrzyło w końcu jej ciekawość, tak iż odważyła się spojrzeć przez poręcz łóżka; Sara podeszła do otworu pod murem i uklękała przy nim.

— Czy on... czy on nie wypadnie nagle i nie skoczy na łóżko? — zapytała.

— Nie — odpowiedziała Sara. — On jest tak dobrze wychowany, jak i my. Zachowuje się zupełnie jak człowiek. No, popatrz!

Zagwizdała tak cicho i przymilnie, że jedynie w zupełnej ciszy można było głos ten dosłyszeć. Powtórzyła to kilkakrotnie, całkowicie pochłonięta tą czynnością. Ermengardzie przyszedł na myśl, że przyjaciółka jej wygląda na wróżkę, odprawiającą czary. W końcu — widocznie w odpowiedzi na owo zaklęcie — z nory wysunął się łupek o szarych wąsach i błyszczących ślepkach. Sara rozsypała kilka okruszyn, trzymany w dłoni, a Melchizedech wylazł spokojnie z nory i zaczął je zajadać;

jeden kawałek, większy od innych, zachował sobie na ostatek — aż uporawszy się z tamtymi, porwał go i uniósł pospiesznie do swego mieszkanka.

— Ta porcja jest przeznaczona dla jego żony i dzieci — wyjaśniła Sara towarzyszce. — To bardzo pocziwy szczurek; sam zadowala się mniejszymi okruszkami. Za każdym razem, gdy wraca do nory, cała jego rodzina aż piszczy z uciechy. Już potrafię odróżnić trzy rodzaje pisków; innym głosem piszczą szczurzęta, innym pani Melchizedechowa, a jeszcze innym sam Melchizedech.

Ermengarda zaczęła się śmiać.

— Ej Saro! — zawołała. — Jakaś ty zabawna... ale i dobra!

— Wiem, że jestem zabawna — potwierdziła Sara, śmiejąc się wesoło — a staram się być dobra.

Przetarła czoło małą, brunatną rączką, a na twarzy pojawił się wyraz smutku i rozrzewnienia.

— Tatuś zawsze śmiał się ze mnie, nazywał mnie dziwaczką, ale bardzo mu się podobały moje wymysły i urojenia. Trudno, nie poradzę nic na to, że mam żyłkę do różnych pomysłów. Gdybym jej nie miała, na pewno bym nie potrafiła żyć... przynajmniej nie potrafiłabym żyć tutaj — dodała sciszonym głosem, rozglądając się po pokoju.

Ermengarda, jak zwykle, nie mogła się oprzeć ciekawości.

— Gdy ty mi opowiadasz o jakiejś rzeczy, zawsze mi się wydaje, jak gdyby ona nabierała rzeczywistości. Na przykład o Melchizedechu tak mówisz, jakby to była jakaś osoba.

— Bo też on jest osobą — odpowiedziała Sara. — Bywa głodny i przerażony, zupełnie jak człowiek; ma żonę i dzieci. Skąd wiesz, że on nie myśli o wszystkim tak, jak my? Jego spojrzenia niczym się nie różnią od spojrzenia istoty rozumnej. Dlatego to nadałam mu imię ludzkie.

Usiadła w zwykłej pozycji na podłodze, obejmując kolana rękami.

— Zresztą — dodała — jest to szczur zesłany mi na przyjaciela w mej Bastylii. Codziennie przynoszę mu kawałek chleba, niedojedzony przez kucharkę, a to mu w zupełności wystarcza na wyżywienie całej rodziny.

— A więc to jest twoja Bastylia? — zapytała Ermengarda z zaciekawieniem. — Wciąż jeszcze wyobrażasz sobie, że to Bastylia?

— Prawie zawsze — odpowiedziała Sara. — Czasami staram się sobie wyobrazić, że jestem w innym jakimś miejscu, ale z Bastylią idzie mi najłatwiej, zwłaszcza gdy jest zimno.

W tejże chwili Ermengarda o mało nie zeskoczyła z łóżka, przerażona odgłosem, który nagle rozległ się koło niej; było to jakby dwukrotne stuknięcie w ścianę.

— Co to takiego? — zawołała.

Sara powstała i odpowiedziała głosem dramatycznym.

— To więzień z sąsiedniej celi!

— Becky! — zawołała Ermengarda, uniesiona zachwytem.

— Tak jest — odparła Sara. — Słuchaj! Dwukrotne stukanie oznaczało: „Więżniu, czy jesteś w celi?”

To rzekłszy, zastukała w ścianę trzykrotnie jakby w odpowiedzi.

— To oznacza: „Tak, jestem w celi i wszystko w porządku”...

Z tamtej strony ściany odpowiedziało czterokrotne stuknięcie.

— A to oznacza: „Więc, towarzyszu niedoli, będziemy spali spokojnie. Dobranoc”.

Ermengarda aż promieniała z zachwytu.

— Ach, Saro! — szepnęła. - To brzmi jak bajka.

— Bo też jest to bajka — odpowiedziała Sara. — Wszystko jest bajką... i ty... i ja... i miss Minchin.

Usiadła znowu na ziemi i gwarzyły z sobą tak długo, aż Ermengarda zapomniała, że jest niejako zbiegiem z więzienia i dopiero na rozkaz Sary uświadomiła sobie, że nie może przez noc całą siedzieć w Bastylji, lecz powinna wymknąć się cichaczem na dół i wślizgnąć się z powrotem do opuszczonego łóżka.

# Przybysz z Indii

Urządzanie wycieczek na poddasze było zarówno dla Lottie, jak i Ermengardy rzeczą niebezpieczną. Żadna z nich dwóch nigdy nie była pewna, czy zastanie Sarę, albo też czy miss Amelii nie przyjdzie do głowy, by obejść wszystkie sypialnie w tym czasie, gdy już wszystkie dziewczynki powinny dawno leżeć w łóżkach. Do rzadkości więc należały ich odwiedziny — i czas płynął Sarze przeważnie w przykrych warunkach i w samotności. W każdym razie bardziej czuła się osamotniona, gdy przebywała na dole, niż gdy wracała na swoje poddasze. Bywało, że nie miała do kogo się odezwać. Gdy wysyłano ją po sprawunki i gdy mała, niepozorna jej figurka kroczyła przez wielkie ulice, dźwigając z trudem koszyk lub paczkę, przytrzymując kapelusz targany wiatrem i czując, jak woda deszczowa przesiąka przez jej buciki — miała wrażenie, jakby tłumy przechodniów, mijających ją pospiesznie, zwiększały jeszcze jej samotność. Dawniej, kiedy jeszcze była *księżniczką* i jeździła powozikiem przez ulice lub szła w towarzystwie Marietty, widok jej jasnej i żywej twarzyczki oraz malowniczych kostiumów i kapeluszy nieraz sprawiał, że ludzie wodzili za nią oczyma. Bogata, wytwornie odziana i opieką staranną otoczona dziewczynka zawsze bywa, rzecz prosta, przedmiotem powszechnej uwagi; brudno i ubogo odziane dziewczynki nie są ani tak rzadkim ani pięknym zjawiskiem, by przechodnie mieli się oglądać za nimi i darzyć je uśmiechem. Teraz już nikt nie przyglądał się Sarze; ba, nawet nikt nie zdawał się jej dostrzegać, gdy szła z pośpiechem wśród ciżby ludzi na chodniku. Ostatnimi czasy zaczęła rosnać szybko, a ponieważ ubierała się tylko w te skromne sukienki, jakie jej pozostawiono z dawnej garderoby, wyglądała coraz pocieszniej. Wszystkie kosztowne stroje pozabierano, a te, którymi jeszcze rozporządzała, miała nosić tak długo, póki się całkiem nie zedrą. Czasami, gdy przechodziła koło lustra na wystawie sklepowej, o mało nie wybuchała śmiechem na widok własnej postaci; czasami znowu rumieniła się, zaciskała usta i oddalała się czym prędzej.

Ilekcio wieczorami zdarzało się jej przechodzić koło oświetlonych okien kamienic, zaglądała ukradkiem do wnętrza ciepłych pokojów i bawiła się myślą o ludziach, którzy siedzieli przed kominkiem lub dokoła stołów. Koło placu, przy którym stał dom miss Minchin, mieszkało kilka rodzin, z którymi Sara zawarła na swój sposób bliższą znajomość, podpatrując ich życie przez niedomknięte okiennice i snując na jego temat różne domysły. Jedną, którą szczególnie polubiła, przezwała *Dużą Rodziną* — nie dlatego, jakoby składała się z samych dużych ludzi (owszem, większość jej stanowiły małe dzieci), ale dlatego, że liczyła dużo osób. Było tam ośmioro dzieci, duży rumiany tatuś, duża rumiana mamusia, duża rumiana babcia oraz znaczna liczba służących. Dzieci te często chodziły na spacer lub jeździły w wózkach pod opieką nianie albo wyjeżdżały z mamusią powozem, albo też wybiegały wieczorem do bramy, by powitać tatusia, ucałować go, skakać wokoło niego i wyciągać mu z kieszeni różne paczki, albo też tłoczyły się do okien dziecinnego pokoju, wyglądały na ulicę, trącały się i śmiały się do rozpuku — słowem, zawsze robiły dużo wesołego gwaru i rwetesu, jak to bywa w takich dużych rodzinach. Sara bardzo je polubiła i ponadawała im imiona zgoła romantyczne, zaczerpnięte z powieści. Tłusty, ładny dzidzius w koronkowym czepeczku zwał się Etelberta Beauchamp Montmorency; drugie niemowlę nosiło miano: Wioleta Cholmondeley Montmorency; mały bobas, który już umiał czołgać się na grubych nóżkach, był to Sydney Cecil Wiwian Montmorency; dalej szły imiona: Liliana Ewangelina Maud Marion, Rozalinda Gladys, Guy Clarence, Weronika Eustachia i Klaudiusz Harold Hektor.

Pewnego wieczoru zdarzyła się rzecz wielce zabawna — choć poniekąd trudno uważać ją za



zabawną. Kilku Montmorency'ch wybierało się na jakiś balik dziecięcy, a właśnie gdy Sara miała mijać bramę ich domu, oni przechodzili przez chodnik w stronę czekającego na nich powozu. Weronika Eustachia i Rozalinda Gladys, ubrane w białe koronkowe sukienki z pięknymi szarfami, właśnie wstępowały na stopnie powozu, a pięcioletni Guy Clarence szedł za nimi. Był to chłopaczek tak ładny, o różowej buzi, niebieskich oczach i miłej, okrągłej główce, obsypanej wijącymi się kędziorkami, że Sara zapomniała o swym koszyku, o brudnym płaszczyku i całej swej biedzie — i zatrzymała się, ażeby mu się przypatrzeć.

Było to w okresie Bożego Narodzenia. Duża Rodzina właśnie nasłuchiwała się opowiadań o biednych dzieciach, niemających ani tatusia, ani mamusi, którzy by obdarzyli je podarkami i pokazali im jasełka<sup>[62]</sup> — o dzieciach zgłodniałych, zziębniętych i źle odzianych. W opowiadaniach tych występowali dobrzy ludzie — czasami małe dziewczynki lub chłopcy o dobrych serduszkach — którzy, widząc te biedne dzieci, obdarzali je pieniędzmi lub sutymi podarkami albo też zabierali je do domu i częstowali smaczną wieczerzą. Guy Clarence właśnie w ów dzień wzruszył się do łez czytaniem jednej z takich opowieści, toteż gorąco pragnął spotkać jakąś biedną dziecinę i podarować jej sześć pensów, stanowiących cały jego majątek w gotówce. Był pewny, że za całe sześć pensów można sobie nakupić mnóstwo żywności. Gdy przechodził przez chodnik, miał właśnie ten pieniądź w kieszonce swych krótkich spodenek marynarskich, a w sam raz w tej chwili, gdy Rozalinda Gladys weszła do powozu i wskoczyła z rozpędem na poduszki siedzenia, chcąc odbić się na sprężynach, chłopak ujrzał Sarę stojącą na mokrym bruku, odzianą w zszarganą sukienkę i kapelusik, i spoglądającą na niego baczny<sup>[63]</sup>, jakby zgłodniałym wzrokiem.

Przyszło mu na myśl, że ta dziewczynka zapewne od dłuższego czasu nie miała nic w ustach. Nie wiedział, iż ta łapczywość jej spojrzenia pochodziła stąd, że Sara stęskniona była za ciepłym i radosnym życiem rodzinnym jego domu, że miała ochotę wziąć go w objęcia i ucałować. Wiedział tylko, że ta dziewczynka ma duże oczy, zmizerowaną buzię, chude nożyny, lichą odzież, a w rękach zwykły koszyk kuchenny. Sięgnął więc do kieszeni, wydobyl monetę sześciopensową i uprzejmie podał ją Sarze.

— Chodź tu, biedna dziewczynko — odezwał się. — Przyjmij ode mnie sześć pensów.

Sara wzdrygnęła się. W jednej chwili uświadomiła sobie, że wygląda całkiem jak te biedne dzieci, które nieraz wpatrywały się w nią za lepszych dni jej życia, gdy wysiadała z powoziku. Ona również obdarzała je kilkoma pensami... Twarz jej pokraśniała<sup>[64]</sup>, potem pobladła; przez chwilę miała to uczucie, że za nic w świecie nie przyjąłaby tej drobnej monety.

— O, nie! — zachnęła się<sup>[65]</sup>. — O nie, dziękuję... Doprawdy, nie mogę przyjąć!

Głos jej tak różnił się od głosu zwykłego dziecka z ulicy, a jej maniery tak były podobne do manier osoby dobrze wychowanej, że Weronika Eustachia (której prawdziwe imię było Janet) i Rozalinda Gladys (która w rzeczywistości zwała się Nora) wychyliły się z powozu, by przysłuchać się rozmowie. Guy Clarence nie dał się pohamować w swej szczodrobliwości i wcisnął pieniądź przemocą w dłoń Sary.

— Owszem, musisz przyjąć, biedna dziewczynko! — nalegał. — Możesz sobie za to kupić dużo do jedzenia. Przecież to całe sześć pensów.

W jego twarzyczce było coś tak szlachetnego i ujmującego, iż Sara zrozumiała, że nie może odmówić jego prośbie, gdyż taka odmowa sprawiłaby mu niewymowną przykrość; wszelka hardość byłaby tu okrucieństwem. Przeto (prawda, że rumieniąc się), zdecydowała się w końcu włożyć do kieszonki ofiarowaną monetę.

— Dziękuję ci — rzekła. — Jesteś bardzo miłym i dobrym dzieckiem.

A gdy on z radością gramolił się do powozu, Sara oddaliła się z uśmiechem, oddychała jednak nierówno, a w oczach tlił się dziwny ogień. Że jest obdarta i zaniedbana, o tym wiedziała już dawniej, nie wiedziała jednak dotychczas, że ktoś mógł wziąć ją za żebraczkę.

Powóz Dużej Rodziny potoczył się po bruku, a siedzące w nim dzieci zaczęły gwarzyć z ożywieniem.

— Ach, Donaldzie! (takie było imię Guya Clarence’a) — zawołała Janet niespokojnie — czemu to ofiarowałeś sześć pensów tej dziewczynce? Jestem przekonana, że ona nie jest żebraczką.

— Ona nie przemawiała żebraczym głosem! — zawołała Nora. — A z twarzy też nie wyglądała na żebraczkę!

— Zresztą ona wcale nie żebrała — zauważyła Janet. — Bałam się, że się rozgniewa na ciebie. Wiesz chyba, że ludzie gniewają się za to, jeżeli ktoś ich niesłusznie uważa za żebraków.

— Ona się nie gniewała wcale — odparł Donald, nieco zbity z tropu, ale jeszcze pewny siebie. — Zaśmiała się tylko i powiedziała, że jestem dobrym i miłym dzieckiem. I powiedziała prawdę! — dodał z dumą. — Przecież to było moje sześć pensów!

Janet i Nora wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

— Żebraczka nigdy by takich słów nie powiedziała — oświadczyła Janet. — Powiedziałyby na pewno: „Bóg zapłać paniczowi... pięknie dziękuję!”, a może by się jeszcze ukloniła nisko.

Sara nawet się nie domyślała, że od tego czasu *Duża Rodzina* zaczęła się tak żywo interesować jej losem i osobą, jak ona w pierw interesowała się jej życiem. Ilekroć przechodziła przez ulicę, w oknie dziecinnego pokoju ukazywały się zaciekawione twarze, a przy ognisku kominka toczyło się wiele rozmów na jej temat.

— Ona jest podobno służącą w tej szkole — mówiła Janet. — Zdaje mi się, że to sierota pozbawiona opieki; jednakże, choć tak zaniedbana i obszarpana, nie jest na pewno żebraczką.

Odtąd przezwano Sarę jednogłośnie *dziewczynką, która nie jest żebraczką*. Miano to było, co prawda, przydługie i brzmiało niekiedy dość zabawnie, zwłaszcza w ustach młodszej dziatwy.

Sara wywierciła dziurkę w pieniążku sześciopensowym i zawiesiła go sobie na wąskiej tasiemce dokoła szyi. Jej sympatia dla *Dużej Rodziny* wzrastała z każdym dniem — podobnie zresztą, jak wzrastały jej sympatie do wszelkich osób, które polubiła. Tak więc coraz bardziej przywiązywała się do Becky, a zawsze z wielką niecierpliwością wyczekiwała tych dwóch dni w tygodniu, kiedy zachodziła do sali szkolnej, by udzielać lekcji francuskiego najmłodszym dziewczynom. Małe

uczenniczki bardzo ją kochały i biły się o ten przywilej, by móc stać jak najbliżej przy niej i ścisnąć ją za rękę. Z wróblami tak się zaprzyjaźniła, że ilekroć stanęła na stole swego pokoju i wytknąwszy głowę przez okno, zaćwierkała ich głosem, w tejże niemal chwili rozlegał się chór poćwierkiwań i trzepot skrzydełek, po czym pojawiała się gromadka szarych miejskich ptaszków-włóczęgów i obsiadała dachówki, by dziobać sypane przez nią okruszyny i gwarzyć ze swą chleבודawczynią. Melchizedech tak się z nią spoufalił, że niekiedy przyprawdzał z sobą panią Melchizedechową, a nieraz i parę Melchizedesiątek; ona często z nim rozmawiała, a on zdawał się rozumieć jej słowa.

Z czasem rozbudziło się w jej duszy jakieś dziwne uczucie względem Emilki, która stale siedziała i przyglądała się wszystkiemu. Obudziło się ono w chwilach wielkiego osamotnienia. Sara lubiła wierzyć — lub wmawiać w siebie, jakoby wierzyła — że Emilka ją rozumie i z nią współczuje. Nie miała ochoty wyznać przed sobą, że jej jedyna towarzyszka niczego nie słyszy ani nie czuje. Niekiedy umieszczała ją na krześle, siadała naprzeciw niej na starym czerwonym podnóżku, wpatrywała się w nią i roiła o niej różne niestworzone historie, aż w końcu poddawała się dziwnemu jakiemuś — graniczącemu z lękiem — nastrojowi, rozszerzającemu jeszcze bardziej i tak już wielkie jej oczy. Zdarzało się to zwłaszcza nocą, gdy wokoło panowała głucha cisza, przerywana od czasu do czasu jedynie szmerem i piskiem rodziny Melchizedecha w norze pod ścianą.

Jednym z urojeń, jakimi Sara zwykła się zabawiać, było uważanie Emilki za jakąś dobrą, opiekuńczą wrózkę. Poniesiona fantazją, rozbudzoną dłuższym wpatrywaniem się w ulubioną lalkę, zadawała jej niekiedy różnorakie pytania, żywiąc nadzieję, że ona natychmiast odpowie. Lecz Emilka nigdy nie odpowiadała.

— Co się tyczy odpowiadania — mówiła Sara, aby się pocieszyć — to i ja sama czasem nie odpowiadam, gdy nie potrafię nic mądrego wymyślić. Na przykład, gdy ludzie mi urągają<sup>[66]</sup>, nie ma na nich lepszego środka, jak nie odpowiadać im ani słowa, tylko popatrzeć na nich... i myśleć. Miss Minchin błędnie z wściekłości, ilekroć to uczynię, miss Amelia patrzy na mnie z przestraczem... podobnie i dziewczynki. Gdy ktoś nie wpada w pasję<sup>[67]</sup>, ludzie wiedzą, że jest on od nich silniejszy, bo jest na tyle silny, by zapanować nad swym gniewem, na co oni zdobyć się nie potrafią... Dlatego to mówią różne nedorzeczne słowa, jakich wstydziliby się kiedy indziej. Nie ma rzeczy tak silnej, jak gniew... z wyjątkiem tej siły, która potrafi gniew ujarzmić... Ta jeszcze jest silniejsza od gniewu. Dobrą jest rzeczą nie odpowiadać wrogom — i ja też często to czynię. Być może, że Emilka jest bardziej podobna do mnie, niż ja sama, może nie chce odpowiadać nawet swoim przyjaciółom, ale kryje wszystko w głębi serca.

Takimi to argumentami usiłowała przekonać samą siebie, jednakże przychodziło to jej niełatwo. Gdy po ciężkiej całodzienniej robocie, po bieganiu za sprawunkami do odległych punktów miasta wśród zimna i pluchy, wracała do domu zgłodniała i zmokła, a mimo to posyłano ją ponownie do miasta, bo nikt na to nie zważał, że była tylko dzieckiem, że chude jej nóżki mogły już być strudzone, a drobne ciało zziębnięte, gdy darzono ją jedynie opryskliwymi słowami i jeszcze wymagano od niej wdzięczności; gdy kucharka odzywała się do niej w sposób grubiański<sup>[68]</sup> i przykry, gdy musiała znosić zły humor miss Minchin lub gdy spostrzegła, że dziewczynki natrzęsają się pokątnie<sup>[69]</sup> z dziur w jej odzieży — wówczas nie zawsze potrafiła ukoić rojeniami swe zbolące, harde, opuszczone serduszko, widząc, iż Emilka siedzi nieruchomo na krześle i wpatruje się w nią obojętnie.

Pewnego wieczoru, gdy zziębnięta i głodna, z burzą szalejącą w młodej piersi, wróciła na poddasze,

Emilka wpatrywała się w nią tak jakoś bezmyślnie, a jej trociniaste nogi i ręce wydawały się tak drętwe i nieruchawe, że Sara straciła już panowanie nad sobą. W tej chwili, prócz Emilki, nie miała nikogo — nikogo w całym świecie. A ona sobie siedziała spokojnie... jakby nic!

— Ja już umrę wkrótce... — odezwała się do niej Sara.

Emilka nic nie odpowiedziała, tylko patrzyła wciąż przed siebie.

— Już tego znosić dłużej nie mogę! — drżąc, mówiło do niej zziębnięte dziecko. — Wiem, że już niedługo umrę. Jestem przemoczona do suchej nitki... przeziębiona... i głodna śmiertelnie. Przeszłam dziś setki mil, a za to wszystko wynagrodzono mnie tylko łajaniem<sup>[70]</sup> i wymyślaniem. Ponieważ sklepy już były zamknięte i nie mogłam dostać tego, po co za ostatnim razem wysłała mnie kucharka, więc dziś nie dano mi kolacji. Jacyś ludzie śmiali się ze mnie, że z winy mych starych bucików poślizgnęłam się i upadłam w błoto. Jestem teraz cała zavalana błotem... a oni się śmiali ze mnie. Czy ty słyszysz, Emilko?

Spojrzała w rozwarte szeroko szklane jej oczy i zadowoloną, uśmiechniętą buzię — i nagle ogarnął ją gniew i przeszywający ból.

Podniosła rękę i strąciła Emilkę z krzesła, wybuchając spazmatycznym płaczem — ta Sara, która nigdy dotąd nie płakała.

— Ty niczym innym nie jesteś, tylko lalką! — krzyknęła. — Tylko lalką... lalką... lalką! Ciebie nie obchodzi nic na świecie. Napchana jesteś trocinami... nigdy nie miałaś serca! Nic nie wzbudza w tobie współczucia! Jesteś lalką, niczym więcej!

Emilka leżała na podłodze, zadarłszy haniebnie nogi ponad głowę, a na koniuszku jej nosa widniała płaska plamka — jednak twarz jej była spokojna, owszem nawet pełna godności. Sara zasłoniła twarz rękoma. Szczury w norze poczęły bić się i gryźć z sobą wśród szurgania i pisków. Melchizedech wymierzał sprawiedliwość któremuś ze swych dzieci.

Sara z wolna zaczęła uspokajać się w płaczu. Sama dziwiła się tej odporności, z jaką umiała przełamywać wszelkie nawiedzające ją strapienia. Po chwili podniosła głowę i patrzyła na Emilkę, która zdawała się spoglądać na nią spod oka — ale tym razem w jej szklanych oczach lśniła jakby iskra serdeczności. Sara schyliła się i podniosła z ziemi lalkę. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia — a nawet uśmiechnęła się blado na myśl o niedorzeczności własnego postępku:

— I cóż ty na to poradzisz, jesteś lalką! — rzekła z westchnieniem rezygnacji. — Tak samo Lawinia i Jessie nic na to nie poradzą, że mają pustkę w głowach. Nie wszyscy jesteśmy ulepieni z jednej gliny. Ty napchana jesteś trocinami — i może ci z tym dobrze.

To rzekłszy, pocałowała ją, otrzepała, wygładziła jej sukienkę i posadziła ją z powrotem na krześle.

Jednym z najgorętszych życzeń Sary było, żeby ktoś się wprowadził do sąsiedniej pustej kamienicy, której poddasze znajdowało się tak blisko jej pokoiku. Nieraz sobie myślała, jakby to było przyjemnie, gdyby pewnego dnia ktoś otworzył tanto okno i wytknął z niego głowę.

— Gdyby to był jakiś miły człowiek — mówiła sobie w duchu — powitałabym go słowami *Dzień dobry*, a potem jakoś potoczyłaby się rozmowa. Ale nie bardzo mi się wydaje prawdopodobne, by mógł tu spać kto inny, prócz służby.

Pewnego ranka, gdy po odwiedzeniu sklepikarza, rzeźnika i piekarza mijała róg placu, ku wielkiej swej radości zobaczyła, że podczas jej dość długiej bytności w mieście zdarzyło się coś niezwykłego. Oto przed ową pustą kamienicą zatrzymał się wielki wóz, pełen mebli, a koło otwartej bramy krzatali się ludzie, raz po raz wnosząc do wnętrza ciężkie paki i sprzęty.

— Aha! Ktoś się wprowadza! — domyśliła się Sara. — Naprawdę ktoś się wprowadza! Aha! Teraz z pewnością jakaś miła twarz wychyli się z okna na poddaszu!

Miała wielką ochotę przyłączyć się do gromadki gapiów, którzy zatrzymali się na chodniku, by przyjrzeć się wnoszeniu rzeczy. Myślała, że ujrzawszy choćby jeden ze sprzętów, zdołałaby odgadnąć, skąd przybyli i kim są ich właściciele.

— Meble miss Minchin są do niej zupełnie podobne — myślała. — Pamiętam, iż przyszło mi to na myśl w pierwszej chwili, gdym ją ujrzała, pomimo że byłam wtedy jeszcze taka mała. Powiedziałam to później tatusiowi, a on się roześmiał i przyznał mi rację. Jestem pewna, że Duża Rodzina ma wygodne, obszerne sofy i fotele; różowe tapety, które widziałam u nich na ścianach, są zupełnie takie, jak oni... ciepłe, wesołe, łagodne i jasne.

W parę godzin później wysłano ją do zieleniarki po pietruszkę; gdy doszła do schodków, wiodących na ulicę, naraz serce jej poczęło bić szybko. Z wozu meblowego wyjęto właśnie parę mebli i ustawiono na chodniku. Był tam piękny stół starannie odrobiony z drzewa tekowego[71], parę krzeseł i szafa suto ozdobiona wschodnią inkrustacją[72]. Ich widok wzbudził w sercu Sary dręczące, tęskne uczucie. Podobne przedmioty widywała przed laty w Indiach. Pomiędzy rzeczami, zabranymi jej przez miss Minchin, było też i biurko z teku, przesłane przez ojca.

— Ładne to sprzęty! — pomyślała Sara. — Powinny być własnością jakiegoś dobrego człowieka. Jakie to wszystko wspaniałe i piękne! Pewno jakaś bogata rodzina zamieszka w tym domu!

Przez cały dzień nadjeżdżały jedne za drugimi wozy pełne mebli. Kilkakrotnie Sarze udało się zobaczyć niektóre z przedmiotów wnoszonych do domu; okazało się, że miała rację, przypuszczając, iż nowi lokatorzy są ludźmi zamożnymi. Wszystkie meble były kosztowne i piękne, a znaczna ich część pochodziła ze Wschodu. Były tam cudowne kobierce, makaty i ozdoby, przy tym wiele obrazów i stosy książek, mogących zapełnić całą bibliotekę. Wśród innych osobliwości zwrócił uwagę Sary okazały posąg Buddy w ozdobnej kapliczce.

— Ktoś z tej rodziny musiał kiedyś przebywać w Indiach — zawyrokowała Sara. — Widzę bowiem, że nawykli[73] do różnych indyjskich przedmiotów i znajdują w nich upodobanie. Bardzo jestem temu rada[74]. Będę ich uważała za przyjaciół, nawet gdyby żadna głowa nie wychyliła się z okna na poddaszu.

Gdy wieczorem szła po mleko dla kucharki (nie było takiej roboty, do której by jej nie zaprzęmano), ujrzała coś takiego, dzięki czemu sytuacja stała się jeszcze bardziej interesująca. Przystojny, rumiany

mężczyzna, w którym rozpoznała ojca Dużej Rodziny, przeszedł rączym[75] krokiem przez ulicę i wbiegł na schodki nowo zamieszkaney kamienicy — a uczynił to tak śmiało, jakby czuł się tu zgoła u siebie w domu i zamierzał jeszcze niejednokrotnie tu przychodzić. Pobył dość długo w jej wnętrzu, kilkakrotnie tylko pojawiając się na progu i wydając rozkazy robotnikom, jak gdyby był do tego najzupełniej uprawniony. Było tedy[76] rzeczą całkiem pewną, że pozostawał w zażyłych stosunkach z nowymi lokatorami i że działał w ich imieniu.

— Jeżeli ci nowi państwo mają dzieci — cieszyła się w duchu Sara — to dzieci Dużej Rodziny pewno będą bawiły się z nimi, a wtedy może kiedy dla zabawy zajdą i na poddasze...

Wieczorem, po ukończeniu całodzienney roboty, przybyła Becky, by odwiedzić towarzyszkę niedoli i przynieść jej nowiny.

— Wi panienka, do sąsiedniej kamienicy sprowadził się pon jeden, co to przyjechał az z Indyj — zaczęła opowiadać. — Nie wiem, cy on ta je corny cy bioły, ale mówili, że je Indyjon. Cłek to bardzo bogaty, ale ciągiem[77] chory, a ten pon, co ma te duzom famieliją, jest jego adukatem. Ten Indyj on miał wiela różnych utrapień, az się z tego rozchorował i zmarkotniał. A wi panienka, że on je taki niechrzcony pogan, co to sie kłania bałwanom[78] i modli się do nich. Sama widziałam takiego bałwanka.

Sara roześmiała się.

— Nie wierzę, by on się do niego modlił — odpowiedziała. — Niektórzy ludzie trzymają w domu takie posągi, bo lubią się im przypatrywać. Mój tatuś miał też ładny posążek Buddy, a nigdy się do niego nie modlił.

Jednakże Becky wolała wierzyć, że nowy sąsiad był *poganinem*; snuła z tego różne domysły, jak wyglądać może on sam i jego żona (o ile jest żonaty) i jego dzieci (o ile ma dzieci). Sara w końcu przekonała się, że nie wybije jej z głowy mniemania, iż są to ludzie czarni, noszący turbany na głowach i — co najważniejsza — wszyscy za przykładem ojca są *poganami*.

— Jescem nikiej nie somsiadowała z poganami, panienko — a chciałabym uźrzeć, jakie ta oni majom obycaje.

Ciekawość jej została zaspokojona dopiero w kilka tygodni później — a wtedy okazało się, że nowy lokator nie miał ani żony, ani dzieci. Był to samotnik, nieposiadający wcale rodziny, a z twarzy jego można było poznać, że czuł się źle na zdrowiu i był załamany jakimś nieszczęściem.

Pewnego dnia przed ową kamienicą zatrzymał się powóz. Gdy lokaj zeskoczył z kozła i otworzył drzwiczki, z powozu wysiadł najpierw ojciec Dużej Rodziny, za nim wyszła pielęgniarka, a w chwilę potem ku schodkom podeszli dwaj służący. Przybyli, aby pomóc w wysiadaniu swojemu panu. Gdy wyniesiono go z powozu, okazało się, że jest to mężczyzna o wyschniętej, znekanej twarzy, którego chude ciało otulały grube futra. Wniesiono go na schody, a ojciec Dużej Rodziny postępował tuż za nim, mając na twarzy wyraz wielkiego zaniepokojenia. Wkrótce potem nadjechała karetka pogotowia; wysiadł z niej lekarz i wszedł do kamienicy — widocznie by czuwać nad przybyłym.

— Wiesz co, Saro, w drugiej kamienicy od nas mieszka człowiek zupełnie żółty — szepnęła Lottie podczas lekcji francuskiego. — Czy to nie Chińczyk? Na lekcji geografii mówiono nam, że Chińczycy są żółci.

— Nie, to nie Chińczyk — odpowiedziała Sara szeptem. — To człowiek bardzo chory. Pisz dalej ćwiczenie. *Non, monsieur. Je n'ai pas le canif de mon oncle*[\[79\]](#).

Taki był początek opowieści o przybyszu z Indii.

# Ram Dass

Nawet na miejskim placu można było niekiedy oglądać ładne zachody słońca. Co prawda, widziało się zawsze tylko ich niewielki skrawek pomiędzy kominami i nad dachami kamienic. Z okien kuchennych nie widać ich było wcale, można było tylko odgadnąć porę zachodu po tym, że cegły jakby nagrzewały się na chwilę, w powietrzu zaigrał przelotny blask żółty lub różowy, a czasami jakaś szyba w oddali zapłonęła oślepiającym światłem. Było jednak miejsce, skąd można było napatrzeć się całej wspaniałości złotych i rumianych zórz, purpurowych chmurkach bramowanych[80] rąbkami świetlanym oraz lotnych, drobnych, pierzastych obłoczków, oblanych różową poświatą i podobnych do stadka różowych gołąbków, mknących w zawody z wiatrem po błękitnie. Miejscem tym, skąd ujrzyć można było te cuda i jakby oddychać czystszym powietrzem, było oczywiście okno poddasza. Gdy plac zaczynał nagle lśnić jak zaczarowany i przybierał wygląd przepiękny pomimo zadymionych drzew i balkonów, Sara wiedziała, że coś wyrabia się na niebie; gdy zaś tylko mogła opuścić kuchnię, wiedząc, że nie będzie przywołana z powrotem ani potrzebna przy robocie, natychmiast wymykała się po cichu, biegła po schodach na poddasze i stanąwszy na starym stole, wychylała się z okna jak tylko mogła najdalej. Dokonawszy tego, nabierała tchu pełną piersią i rozglądała się wokoło. Zdawało jej się wtedy, że całe niebo i świat cały do niej tylko należy. Z innych poddaszy nikt wtedy nie wychylał głowy. Zazwyczaj okna były przymknięte; ale nawet jeżeli stały otworem, przepuszczając powietrze do wnętrza, nikt do nich nie podchodził. Sara stała i stała, to zwracając twarz ku błękitowi niebios, który wydawał się jej taki przyjazny i bliski — całkiem podobny do pięknie sklepionego sufitu — to obserwując te cuda, które się działy na zachodzie. Obłoczki rozpływały się, mieszały z sobą, żeglowały po niebie lub dumały z cicha, mieniając się barwą to różową, to karmazynową, to śnieżno-białą, to purpurową, to popielatą. Czasami kształtowały się w wyspy lub łańcuchy górskie, wśród których tały się jeziora bądź turkusowo-błękitne, bądź bursztynowe, bądź zielone, jak chryzoprazy[81]; czasami znowu tworzyły się z nich olbrzymie, ciemne pustynie, opasane bezmiarem dzikich, bezludnych oceanów; kiedy indziej zaś wysnuwały się z nich długie i wąskie pasemka przedziwnych lądów, powiązanych z sobą. Były też takie miejsca, gdzie — jak się Sarze wydawało — można było stać, chodzić, biegać, wdrapywać się... a może i płynąć hen w bezbrzeżną dal. Słowem, Sara nigdy nie przyglądała się takim cudom i dziwom, jak wtedy, gdy stała na stole, na wpół wychylając się przez okno i wsłuchując się w ciche, przedzachodnie ćwierkanie wróbelków.

Taki właśnie zachód słońca — pełen blasków, barw cudnych i cichego, stłumionego ćwierkania wróbelków — trafił się wkrótce po wprowadzeniu się przybysza z Indii; los szczęśliwy zrządził, że Sara tego dnia uporała się prędko z zajęciami w kuchni i że nikt nie wysyłał jej ani po zakupy, ani do żadnej roboty, przeto łatwiej niż kiedykolwiek przyszło jej wymknąć się niepostrzeżenie na górę.

Wdrapała się na stół i wyjrzała przez okno. Chwila była czarowna. Strugi roztopionego złota zalewały zachodnią połąć nieba — jakby jakaś powódź blasków szerzyła się nad światem. Soczysta, suta[82] światłość nasyciała przestworze; ptaki, latające ponad dachami domów, wydawały się na jej tle całkiem czarne.

— Wspaniały zachód — odezwała się Sara cicho do siebie. — Jego widok przejmuje mnie niemal lękiem.. jakimś przecuciem bojaźliwym, jakby teraz miało dokonać się coś dziwnego. Zawsze w takiej chwili miewam podobne uczucie.



Nagle odwróciła głowę, słysząc jakiś głos w pobliżu. Był to głos dziwny, podobny do rozmowy, prowadzonej piskliwie w nieznanym języku. Dochodził z okna na sąsiednim poddaszu! Widocznie kogoś skusiło, jak i ją, by wyrzeć tędy na świat i przypatrzeć się zachodowi słońca.

Z okna istotnie wychylała się czyjaś głowa i ramiona; nie była to jednak głowa małej dziewczynki ani służącej.

— Laskar[83]! — wyrwało się z ust Sary.

W rzeczy samej był to laskar — krajowiec indyjski — o ciemnej twarzy i błyszczących oczach, w malowniczym białym zawoju na głowie; dźwięk zaś, który Sara słyszała, był głosem małpki, która siedziała na rękach Hindusa i odwzajemniając się za pieszczoty, gwarzyła z nim pociesznie.

Pociągnięty spojrzeniem Sary, laskar zwrócił oczy w jej stronę. Na ciemnej jego twarzy dostrzegła wyraźny smutek i tęsknotę. Sara odgadła, co go tu sprowadziło na górę: chciał popatrzeć na słońce, które w Anglii widywał tak rzadko, że stęsknił się za jego widokiem. Przyglądała mu się przez chwilę, a następnie uśmiechnęła się do niego. Z własnego doświadczenia wiedziała, ile pocieszenia mieści w sobie uśmiech — choćby uśmiech osoby obcej.

Nie omyliła się. Jej uśmiech sprawił cudzoziemcowi widoczną przyjemność. Laskar poweselał i wyszczerzył w uśmiechu zęby tak lśniące, iż wydały się jakby promieniem światła na tle jego ciemnej twarzy. Ukłon, przez niego złożony, był zapewne powodem, że małpka wyzwoliła się z jego objęcia. Była to małpka bardzo psotna i zawsze skora do psikusów, a możliwe, że podrażnił ją widok małej dziewczynki. Wyrwawszy się więc na wolność, skoczyła na dachówki, przebiegła przez nie wśród gwaru i pisku, dała susa na ramię Sary, stąd zaś wpadła pędem do jej pokoju. Sara była ubawiona i zachwycona, jednakże zdawała sobie sprawę z tego, że musi oddać zwierzątko właścicielowi — o ile laskar był właścicielem — i zastanawiała się, jak tego dokonać. Czy małpka pozwoli się złapać, czy też okaże się na tyle krnąbrna, że jej schwytanie stanie się rzeczą niemożliwą? A nuż wymknie się, pobiegnie na dachy innych kamienic i przepadnie? Byłaby to przykra sprawa! Kto wie, może małpka należy do tego pana, co przyjechał z Indii i biedak jest do niej bardzo przywiązany?

Zwróciła się do laskara, przypomniawszy sobie z radością, że przecie pamięta jeszcze to i owo z języka hinduskiego, którego nauczyła się, gdy mieszkała z ojcem w Indiach, przeto będzie mogła porozumieć się z tym człowiekiem. Zapytała go więc znajomą mową:

— Czy małpka pozwoli mi się schwytać?

Nigdy chyba Sara nie widziała większego zdumienia i zachwytu, jak te, które odmalowały się na ciemnej twarzy laskara na dźwięk znanej mu mowy. Biedak miał wrażenie, że to sami bogowie wdali się w tę sprawę, a uprzejmy głosik spływa ku niemu wprost z niebios. Sara od razu poznała, że miewał już do czynienia z dziećmi Europejczyków. Z ust jego w jednej chwili popłynęła struga pełnych szacunku podziękowań.

— Jestem unizonym sługą misse sahib[84]. Małpka jest dobrym stworzeniem i nie kąsa, ale niestety trudno ją złapać. Będzie uciekała z jednego miejsca na drugie, chyżo[85] jak błyskawica, nie jest ona bowiem zła, aleniepłoszna. Ram Dass zna ją jak rodzone dziecko, więc ona czasem słucha Ram

Dassa, ale nie zawsze. Jeżeli misse sahib pozwoli, Ram Dass sam pójdzie po dachu do pokoju misse sahib, wejdzie przez okno i schwyta niegodziwe zwierzątko!

Tak mniej więcej przemawiał Ram Dass; z twarzy jego można było poznać, że się boi, żeby Sara nie pomyślała, iż on sobie za wiele pozwala i żeby nie wzbronila mu przyjść do jej pokoju. Jednakże Sara zgodziła się bez trudności.

— Czy potrafisz tu przejść? — zapytała.

— W mig przejdę — odpowiedział Ram Dass.

— A więc proszę tu przyjść — rzekła Sara. — Małpka lata po wszystkich kątach pokoju, jakby się czegoś przestraszyła.

Ram Dass przelazł przez okno swego poddasza i podszedł do niej tak zręcznie i z taką pewnością, jak gdyby przez całe życie nic innego nie robił, tylko łaził po dachach. Stanąwszy przed Sarą, oddał jej głęboki ukłon. Małpka, ujrawszy go, wrzasnęła z cicha. Ram Dass czym prędzej przymknął okno, by nie mogła uciec przez nie, po czym puścił się za nią w pościg. Pościg ten nie trwał długo. Małpka uciekała jeszcze przez parę minut, ale czyniła to najwidoczniej tylko z figłów, gdyż naraz skoczyła z piskiem na ramię Ram Dassa i usiadła na nim, wrzeszcząc i obejmując go chudą, zwinną rączką za szyję.

Ram Dass dziękował Sarze uniżenie. Zauważyła wprawdzie, że jego bystre oko ogarnęło jednym spojrzeniem całą nędzę i zaniedbanie jej pokoju; udawał jednak, że nie widzi niczego i przemawiał do niej tonem, jak gdyby była co najmniej córką indyjskiego radży<sup>[86]</sup>. Złapawszy małpkę, nie miał już zamiaru pozostawać dłużej jak parę chwil w cudzym mieszkaniu, a chwile te zbiegły na nowych ukłonach i podziękowaniach za udzielone mu pozwolenie.

— To małe lichy nie jest tak złe, jak się wydaje — mówił, głaszcząc małpkę. — Mój pan, który ciężko choruje, bardzo jest do niej przywiązany, więc zmartwiłby się bardzo, gdyby jego faworytka uciekła i przepadła.

To rzekłszy, oddał Sarze znowu głęboki ukłon i wylazłszy przez okno, przebiegł po dachu tak szybko i sprawnie, że i małpa nie wykonałaby tego lepiej.

Po jego odejściu Sara stała przez czas długi na środku swego pokoiku, rozmyślając o wielu rzeczach, które jej przypomniła ciemna twarz laskara oraz jego zachowanie, pełne objawów czci i szacunku. Dziwne jej się teraz wydawało, że ona — to popychadło<sup>[87]</sup>, które przed godziną było przedmiotem urągań i obelg ze strony kucharki — była parę lat temu otoczona ludźmi, którzy do niej odnosili się tak, jak Ram Dass, którzy kłaniali się jej nisko, gdy przechodziła, bili czołem przed nią, gdy się do nich odezwała — którzy byli jej sługami i niewolnikami. Był to jakby sen, który przeminął i już nie wróci... w każdym razie wydawało jej się niepodobieństwem<sup>[88]</sup>, by w obecnym trybie życia miała zajść jakakolwiek zmiana. Sara wiedziała, jakie zamiary miała miss Minchin w sprawie jej przyszłości. Póki była za młoda na to, by mogła pełnić funkcje stałej nauczycielki, miano posługiwać się nią jako dziewczyną od posyłek i służącą, a mimo to wymagać, by pamiętała to, czego się nauczyła, a nawet w jakiś tajemniczy sposób douczała się reszty. Urobiło się o niej mniemanie,

jakoby większość wieczorów spędzała na nauce, toteż w różnych, niezbyt określonych odstępach czasu poddawano ją najrozmaitszym egzaminom, a wiedziała, że otrzyma surową nagane, jeżeli nie wykaże takich postępów, jakich się po niej spodziewano. Miss Minchin wiedziała, że Sara tak jest żądna nauki, iż nie potrzeba jej dawać nauczycieli. Wystarczyło dawać jej książki, a pożerała je z taką usilnością, że niebawem znała je na wylot. Można było być pewnym, że za kilka lat podołałaby powierzonym jej obowiązkom nauczycielskim. Ale oto co ją czekało: liczone na to, że gdy dorośnie, będzie takim samym popychadłem w sali szkolnej, jakim była obecnie w innych częściach domu. Będą musieli dać jej wtedy przyzwoitsze suknie, niewątpliwie jednak tak skromne i brzydkie, że wygląd jej zawsze będzie nieco przypominał służącą...

Takie to myśli snuły się po głowie Sary, gdy stała w cichej zadumie na środku pokoju. Naraz zbudziła się w niej myśl, pod której wpływem na twarz jej wystąpił rumieniec, a oczy się zaiskrzyły. Wyprostowała się i podniosła głowę.

— Cokolwiek się zdarzy — powiedziała sobie — jedna rzecz wszakże się nie zmieni. Choćbym była księżniczką w łachmanach, jednakże i wtedy potrafię zachować swą godność księżęcą. Łatwo być księżniczką, gdy jest się odzianą w złociste szaty, ale znacznie większy triumf — pozostać nią nawet wtedy, gdy nikt o tym nie wie. Maria Antonina [\[89\]](#), utraciwszy tron i znalazłszy się w więzieniu, odziana była w czarną suknię i włosy miała siwe ze zgrzyoty; szydono z niej i przezywano ją *wdową Kapet*. Jednakże w tym nieszczęściu bardziej była królową, niż wtedy, gdy żyła na wesołym i wspaniałym dworze. Ona mi się najbardziej podoba w tej właśnie chwili, gdy nie trwożyła się dzikimi wrzaskami rozpętanego tłumu. Okazała się silniejszą od swych wrogów... nawet wtedy, gdy prowadzono ją na ścięcie.

Nie była to myśl nowa. Pojawiała się ona w głowie Sary nieraz dawniejszymi czasy, przynosząc jej pociechę w najcięższych chwilach. Jej to Sara zawdzięczała ów wyraz twarzy, którego zrozumieć i ścierpieć nie mogła miss Minchin, wyczuwając, jakby to dziecko żyło jakimś wyższym życiem duchowym, wznoszącym je ponad resztę otoczenia. Albowiem nieraz miało się wrażenie, że Sara nie słyszy szorstkich i przykrych słów, jakie do niej mówiono — a nawet jeżeli słyszy, to nie przejmuje się nimi. Nierzadko się zdarzało, że miss Minchin, przemawiając do niej tonem cierpkim i nakazującym, widziała jej spokojne, niedzięciące oczy wpatrujące się w nią jakby z hardym uśmiechem. Nie wiedziała, iż w takich chwilach Sara mówiła sobie w duchu:

— Pani nie wie, że przemawia do księżniczki i że dość byłoby mego skinienia ręki, by panią oddać w ręce sprawiedliwości. Lituję się jednak nad panią, bo jestem prawdziwą księżniczką.

Takie myśli bawiły ją ogromnie, a choć były dziwaczne i fantastyczne, przynosiły jej prawdziwą ulgę i pocieszenie. W takich chwilach nie można jej było przywieść do tego, by miała złośliwością i szorstkością odpłacać się za złośliwość i grubiaństwa, jakie ją spotykały.

— Księżniczka musi być dobrze wychowana.

A gdy służba, biorąc przykład z pani, była względem Sary brutalna i zaczynała jej dokuczać, ona trzymała głowę prosto i odpowiadała wszystkim grzecznie, ku ich wielkiemu nieraz zdumieniu.

— Ta smarkuła ma taką minę i sposób obejścia się z ludźmi, jak gdyby była rodem co najmniej z

pałacu Buckingham<sup>[90]</sup> — mawiała czasem kucharka, śmiejąc się. — Nieraz tracę z nią cierpliwość, ale to jej przyznać muszę, że nigdy nie zapomina o manierach. Zawsze mówi do mnie: „Przepraszam, pani kucharko”. „Czy mogę panią pofatygować?” „Czy pani nie byłaby łaskawa?” I tak ciągle.

Na drugi dzień po rozmowie z Ram Dassem i jego małpką Sara przebywała ze swymi uczennicami w sali szkolnej. Ukończywszy lekcję z nimi, zajęła się zbieraniem czytanek francuskich, rozmyślając przy tym, wedle swego zwyczaju, o różnych zajęciach, jakimi nieraz parać się musieli królowie i książęta, występując incognito<sup>[91]</sup>. Na przykład taki Alfred Wielki wypiekał placki i pozwolił się targać za uszy żonie pastucha. Jak przerażona musiała być ta baba, gdy dowiedziała się całej prawdy! A gdyby tak miss Minchin przekonała się kiedyś, że ona — ta Sara, której końce palców wyłażą z bucików — jest księżniczką, prawdziwą księżniczką!

I gdy tak Sara rozmyślała, oczy jej przybrały właśnie ten wyraz, którego miss Minchin tak nie lubiła. A właśnie miss Minchin znajdowała się tuż obok — i tak ją rozgniewało to spojrzenie Sary, iż przyskoczyła do niej i wytargała ją za uszy, zupełnie jak żona pastucha targająca za uszy Alfreda Wielkiego. Sara wzdrygnęła się, jakby przebudzona ze snu. Przez chwilę stała spokojnie, nabierając tchu, po czym, nie zdając sobie sprawy z tego co robi, wybuchnęła cichym śmiechem.

— Z czego się śmiejesz, bezwstydna, zarozumiała dziewczyno? — krzyknęła miss Minchin.

Parę chwil upłynęło, nim Sara zdołała się opanować i przypomnieć sobie, że jest księżniczką.

— Ja tak sobie myślałam... — odpowiedziała.

— Przepróż mnie natychmiast — rzekła miss Minchin.

Sara zawahała się przez chwilę, zanim odpowiedziała.

— Przepraszę panią za mój śmiech, o ile było w nim coś niewłaściwego... ale nie będę pani przepraszała za to, że myślałam.

— O czym myślałaś? — jęła ją nagabywać miss Minchin. — Jak śmiałaś myśleć? O czym myślałaś?

Jessie zachichotała i zaczęła łokciem trącać Lawinię. Wszystkie dziewczynki zaczęły spoglądać znad książek i nasłuchiwać. Wiedziały, że Sara ma na każdy atak miss Minchin odpowiedź gotową a nieoczekiwaną. Tak było i teraz — mimo że natarte jej uszy były porządnie czerwone, a oczy lśniły jak dwie gwiazdy.

— Myślałam — odpowiedziała dostojnie i uprzejmie — że pani sama nie wie, co robi.

— Że nie wiem, co robię? — krzyknęła miss Minchin.

— Tak jest — odparła Sara. — I rozmyślałam nad tym, jakbym postąpiła wobec pani, gdybym była księżniczką i gdyby mnie ze strony pani spotkało to, co przed chwilą. I o tym też myślałam, jak pani zdumiałaby się i przerażiła, gdyby się pani nagle dowiedziała...

Obraz tej urojonej przyszłości stanął jej tak wyraziście przed oczyma, iż przemówiła tonem, który

wywarł wrażenie nawet na miss Minchin.

— Co takiego? — krzyknęła, czując jakby jakąś istotną siłę, kryjącą się w śmiałej postawie Sary. — Czego bym się dowiedziała?

— Że jestem naprawdę księżniczką — odpowiedziała Sara — i mogę uczynić wszystko... wszystko, co mi się podoba.

Oczy wszystkich osób, znajdujących się na sali, otworzyły się szeroko. Lawinia pochyliła się na krzesło, by widzieć lepiej, co się dzieje.

— Marsz natychmiast do swego pokoju! — krzyknęła miss Minchin ostatkiem tchu. — Wyjdź z sali! Zajmijcie się lekcjami, panienki!

Sara ukloniła się lekko.

— Proszę mi wybaczyć mój śmiech, jeżeli było w nim coś niegrzecznego — rzekła na odchodnym i wyszła z sali.

Miss Minchin kipiała od gniewu, a dziewczynki jęły<sup>[92]</sup> coś szeptać spoza książek.

— Czy widziałaś? Widziałaś, jaką miała minę? — baknęła Jessie półgłosem. — Nie będę zdziwiona, jeżeli z tej dziewczyny naprawdę coś wyrośnie!

## Po drugiej stronie ściany

Gdy mieszka się w mieście, gdzie kamienice przytykają jedna do drugiej, ciekawą nieraz jest rzeczą myśleć o tym, co porabiają i o czym rozmawiają ludzie po drugiej stronie ściany naszego mieszkania. Toteż Sara lubiła zabawiać się wyobrażaniem sobie tego wszystkiego, co kryło się za ścianą oddzielającą pensjonat miss Minchin od mieszkania *pana z Indii*. Wiedziała, że sala szkolna znajduje się tuż obok jego gabinetu, a przypuszczała, że ściana jest dostatecznie gruba, by nie przepuszczać do niego dziecinnych hałasów, które mogłyby źle wpływać na jego zdrowie.

— Ja nabieram dla niego coraz większej sympatii — zwierzała się Ermengardzie. — Nie chciałabym więc, żeby ktoś zakłócał mu ciszę. Uważam go już za swego przyjaciela, chociaż nie zamieniłam z nim nigdy ani jednego słowa. Bo w ten sposób można zawierać z ludźmi przyjaźń. Wystarczy przyglądać się im, myśleć o nich i współczuć z nimi, a wnet staną się nam bliscy, niby krewni. Ja o niego czasem bardzo się niepokoję, gdy widzę, że lekarz odwiedza go dwa razy dziennie.

— Ja mam bardzo niewiele krewnych — rzekła Ermengarda z namysłem — i wielce temu jestem rada, bo niezbyt lubię nawet tych, których znam. Moje dwie ciotki zawsze mówią: „Ależ, moja Ermengardo! Jesteś taka gruba! Nie powinnaś jadać słodczy!” A wujaszek zawsze mnie pyta o takie na przykład rzeczy: „Kiedy wstąpił na tron Edward III?” albo też: „Kto umarł z przejedzenia się minogami?”.

Sara roześmiała się.

— Ludzie, z którymi nigdy nie rozmawiasz, nie mogą ci zadawać takich pytań — odrzekła — a jestem przekonana, że ten pan, co przyjechał z Indii, nie pytałby cię o takie sprawy, nawet gdyby się bardzo z tobą spoufalił. Ja lubię go bardzo.

Poprzednio polubiła Dużą Rodzinę za to, że wszyscy w niej byli tacy szczęśliwi; teraz natomiast polubiła *pana z Indii* za to właśnie, że wydawał jej się tak nieszczęśliwy. Widać było, że przebył jakąś ciężką chorobę i że jeszcze nie zdołał przyjść do siebie. W kuchni — gdzie służące jakimiś tajemniczymi sposobami wiedziały oczywiście wszystko — toczyło się wiele rozmów na temat jego losów. Okazało się, że ów pan nie był rodowitym krajowcem indyjskim, ale Anglikiem, który swojego czasu przebywał w Indiach. Spotkały go tam wielkie niepowodzenia, które w tak poważny sposób zagroziły jego majątkowi, iż przez czas pewien uważał się za zrujnowanego i pogrzebanego w ludzkiej opinii. Pod wrażeniem doznanego ciosu rozchorował się i o mało co nie umarł na zapalenie mózgu; odtąd już zawsze niedomagał na zdrowiu, mimo że ze zmianą losu udało mu się odzyskać całe dawne mienie. Jego zmartwienie oraz niebezpieczeństwo, które mu niegdyś zagrażało, miało podobno łączność z jakimiś kopalniami.

— I to pewno kopalniami diamentów! — dodawała kucharka. — Nigdy bym swego ciężko zapracowanego grosza nie pchała w kopalnię... zwłaszcza kopalnię diamentów. My już ta wiemy co nieco o tym! — Tu rzuciła spod oka spojrzenie na Sarę.

— On przeżył to samo, co mój tatuś — pomyślała Sara. — I on tak chorował, jak mój tatuś... tylko, że nie umarł.

Odtąd jej serce przylgnęło do niego jeszcze mocniej niż poprzednio. Ilekroć posyłano ją wieczorem do miasta, czuła jakąś wielką radość, bo nieraz zdarzało się, że rolety w sąsiedniej kamienicy nie były jeszcze spuszczone, tak iż mogła zajrzeć w głąb ciepłego pokoju i popatrzeć na swego *przyjaciela*. Gdy na ulicy nie było nikogo, zatrzymywała się i trzymając się żelaznej poręczy, życzyła mu dobrej nocy — jak gdyby on mógł usłyszeć jej życzenie.

— Choćby pan nawet nie słyszał tego życzenia, to może pan je odczuje — mówiła w duchu. — Kto wie, może życzliwe myśli trafiają do ludzi nawet przez drzwi, okna i ściany. Może więc i pan odczuje jakieś ciepło i ukojenie, gdy ja tu stoję na dworze i życzę panu polepszenia zdrowia. Bo mnie pana tak żal, tak żal! — szeptała wyrazistym głosem. — O, gdyby też pan mógł mieć swoją *małą jejmość*, która by mogła pana pogłaskać i pocieszyć, jak ja głaskałam i pocieszałam tatusia, gdy go bolała głowa! I sama chciałabym być pańską *małą jejmością*... Mój ty biedaku! Dobranoc, dobranoc! Niech Bóg ma pana w swej opiece.

I odchodziła, czując sama jakby jakąś radość i ciepło w sercu. Miała wrażenie, iż jej współczucie musi go jakimś sposobem dosięgnąć. Gdy tak siedział samotny w wielkim fotelu przed kominkiem, prawie zawsze jakoś beznadziejnie wpatrując się w ogień i podpierając dłonią czoło, wydawało się Sarze, że ten człowiek nie tylko przeżył wiele zgryzot w przeszłości, ale obecnie jeszcze miał jakąś ciężką zgryzotę.

— Przecież on już odzyskał swoje mienie i zaczyna odzyskiwać siły po chorobie; nie powinien więc tak się martwić. Ale może jeszcze coś poza tym mu dolega?

Jeżeli istotnie było tam *coś jeszcze* — coś takiego, o czym nawet wszechwiedząca służba nie wiedziała — to wiedzieć musiał o tym niewątpliwie ojciec Dużej Rodziny — ten pan, którego Sara nazywała panem Montmorency. Pan ten bowiem często zachodził do chorego; czasami — choć nie tak już często — przychodziła tu i pani Montmorency oraz wszystkie jej dzieci. Chory lubił szczególnie dwie starsze dziewczynki: Janet i Norę — tę, która tak się zaniepokoiła, gdy jej braciszek Donald dał Sarze sześć pensów. One również bardzo lubiły tego pana i zawsze z wielką radością oczekiwały pory popołudniowej, gdy pozwalano im wybrać się do niego na niedługą wizytę. Wizyty były krótkie i niehałaśliwe, gdyż liczone się ze stanem zdrowia gospodarza.

Janet była wśród nich najstarsza, więc uważała za swój obowiązek utrzymywać karność<sup>[93]</sup> w rodzeństwie. Ona decydowała, kiedy wolno było prosić gospodarza, by zechciał opowiadać o Indiach; ona też zawsze pierwsza wyczuwała, kiedy już bywa zmęczony — wtedy dawała hasło, by odejść cicho z pokoju i przywołać Ram Dassa. Do tego czarnego sługi miały dzieci szczerą sympatię. Pewnie i on umiałby opowiedzieć im wiele ciekawych rzeczy, gdyby władał biegle innym językiem prócz hinduskiego.

Janet opowiedziała panu Carrisfordowi — bo takie było nazwisko *pana z Indii* — o spotkaniu z dziewczynką, co nie była żebraczką. Pan Carrisford bardzo się zainteresował tą opowieścią, zwłaszcza gdy z ust Ram Dassa dowiedział się o przygodzie małpki na poddaszu. Ram Dass opisał mu nader dokładnie pokój na poddaszu — jego nagą podłogę, obdrapane ściany, zardzewiały i pusty piecyk oraz twarde i wąskie łóżko.

— Panie Carmichael — rzekł pan Carrisford do ojca Dużej Rodziny, posłyszawszy to opowiadanie.

— Ileż to poddaszy na tym placu ma podobny wygląd! Ileż to biednych posługaczek sypia na takich łózkach, gdy ja przewracam się na materacach i poduszkach, otoczony skarbami, których znaczna część... nie jest moją własnością.

— Drogi przyjacielu — odpowiedział pogodnie pan Carmichael. — Im prędzej przestaniesz się trapić, tym lepiej dla twego zdrowia. Gdybyś posiadał wszystkie skarby całych Indii, nie potrafiłbyś usunąć wszystkich bied i niewygód tego świata, a gdybyś zaczął meblować wszystkie poddasza na tym placu, jeszcze by pozostało dużo nie umeblowanych na innych placach i ulicach...

Pan Carrisford siedział i gryzł palce, wpatrując się w węgle płonące na kominku.

— Czy sądzisz... — zaczął mówić z wolna po chwili milczenia — czy sądzisz, iż to jest możliwe, by inne dziecko... to, o którym nigdy nie przestanę myśleć... mogło... mogło, dajmy na to, znaleźć się w takiej nędzy, jak ta dziewczynka w sąsiedniej kamienicy?

Pan Carmichael spojrzał na niego z niepokojem. Wiedział, że najgorszą rzeczą dla zdrowia i umysłu tego człowieka były rozmyślenia na ten właśnie temat.

— O ile dziewczynka, przebywająca w szkole madame Pascal w Paryżu, jest tą właśnie, której szukamy — odpowiedział tonem pocieszającym — to zdaje mi się, że znalazła się w rękach ludzi, którzy potrafią dać jej należyłą opiekę. Oni ją adoptowali, ponieważ była najserdeczniejszą przyjaciółką ich zmarłej córeczki, a sami byli bezdzietni. Pani Pascal doniosła, że są to Rosjanie, bogaci i z dobrej rodziny.

— A ta nieszczęsna kobieta nawet nie wie, dokąd oni ją wywieźli — wybuchnął pan Carrisford.

Pan Carmichael wzruszył ramionami.

— E, to sprytna i wyrachowana Francuzica! Jej tylko w to graj, że tak łatwym sposobem pozbyła się dziewczynki, pozostawionej bez żadnych środków do życia po śmierci ojca. Kobiety tego rodzaju nie troszczą się losem dzieci, które mogłyby im być ciężarem. Przybrani rodzice prawdopodobnie wyjechali nagle, nie zostawiając śladów za sobą.

— Ale ty się wyrażasz: „o ile to dziecko jest tym, którego szukamy”. To „o ile” świadczy, że nie mamy zupełnej pewności. Zresztą w nazwisku była jakaś różnica.

— Madame Pascal wymawiała je Carew, a nie Crewe... ale to może tylko sprawa wymowy. Inne okoliczności były dziwnie zgodne. Oficer angielski, przebywający w Indiach, umieścił w szkole swą córeczkę, której matka już nie żyła i umarł nagle, straciwszy cały majątek...

Tu pan Carmichael zatrzymał się na chwilę, jak gdyby jakaś nowa myśl przyszła mu do głowy.

— Czy jesteś pewny, że dziecko było oddane do szkoły w Paryżu? Czy masz tę pewność?

— Mój przyjacielu — odrzekł Carrisford z goryczą w głosie — nie mam i nie mogę mieć żadnej pewności. Nigdy w życiu nie widziałem ani tego dziecka, ani jego matki. Byłem przyjacielem Ralfa Crewe jeszcze za lat chłopięcych, ale od czasu ukończenia szkoły średniej nie zdarzyło się nam



spotkać z sobą, aż dopiero ostatnimi laty w Indiach. Byłem zajęty wówczas bardzo obiecującym projektem, dotyczącym kopalni diamentów. On dał się wciągnąć do tego projektu i również zapalił się do niego. Był to bowiem projekt tak imponujący i wspaniały, że potraciliśmy głowy i nie mówiliśmy z sobą o niczym innym, jak tylko o tych kopalniach. O córce Ralfa wiedziałem tylko, że oddana była gdzieś do jakiejś szkoły. Nawet przypomnieć sobie nie mogę, skąd o tym się dowiedziałem.

Pan Carmichael przyglądał mu się z niepokojem. Wprawdzie miał jeszcze na języku kilka pytań, ale bał się je zadawać, widząc rozdrażnienie przyjaciela. W końcu jednak spytał:

— A czy masz jaką podstawę do przypuszczeń, że ta szkoła znajdowała się w Paryżu?

— Tak jest — brzmiała odpowiedź. — Jej matka była Francuzką, a słyszałem, że Ralf pragnął, by córka kształciła się w Paryżu. Jest więc rzeczą wielce prawdopodobną, że ona tam przebywała.

— Tak, tak — potwierdził Carmichael. — Wydaje się to aż nadto prawdopodobne.

Pan Carrisford pochylił się i zaczął stukać w stół długą, wychudłą ręką.

— Wiesz, Carmichael — odezwał się. — Ja muszę ją znaleźć! Jeżeli ona została bez grosza i bez opieki, to ja ponoszę za to winę! Jak można żyć spokojnie, jeżeli kogoś dręczy taka myśl? Nagła zmiana losu przyniosła nam możliwość ziszczenia się najbardziej nieprawdopodobnych marzeń... a córka biednego Ralfa może gdzieś żebrze na ulicy!

— Nie, nie! — pocieszał go Carmichael. — Staraj się odzyskać spokój... i pociesz się tym, że gdy odnajdziesz tę dziewczynkę, będziesz mógł jej przekazać cały majątek!

— I czemuż to brakło mi sił wtedy, gdy sprawy przedstawiały się tak czarno? — jęczał Carrisford. — Może bym okazał większą siłę ducha, gdybym nie był odpowiedzialny za cudze pieniądze w równej mierze, jak za swoje własne. Biedny Crewe wpakował w ów projekt wszystkie pieniądze, jakie tylko posiadał. Zawierzył mi... bo był mi przyjacielem... A umarł, sądząc, że go zrujnowałem... Za jakiego łotra musiał mnie poczytywać<sup>[94]</sup>!...

Pocziwy ojciec Dużej Rodziny złożył mu rękę na ramieniu i rzekł tonem pocieszenia:

— Nie czyn sobie tak gorzkich wyrzutów. Twoja ucieczka spowodowana została zapaleniem mózgu, wynikłym z duchowego naprężenia i udręki. Byłeś w gorączce, zgoła nieprzytomny. Gdyby nie to, na pewno byś pozostał i zwalczył wszystkie przeciwności. Pamiętaj, że w dwa dni po wyjeździe znalazłeś się w szpitalu, gdzie majaczyłeś w chorobie...

Carrisford podparł głowę rękoma.

— Mocny Boże! Ach, tak... O mało nie zwariowałem ze strachu i zgrozy. Całymi tygodniami nie spałem. Gonіły mnie jakieś widziadła. W ową noc, gdy wywlokłem się, jak pijany, z domu, wydawało mi się, że powietrze roi się od jakichś potworów, szydzących ze mnie w żywe oczy.

— To właśnie cię tłumaczy — odpowiedział pan Carmichael. — Jakże człowiek, znajdujący się w

najwyższym stadium gorączki, mógł zdrowo sądzić o wszystkim?

Carrisford potrząsnął głową.

— Gdy odzyskałem przytomność, biedny Crewe już nie żył. Już było po jego pogrzebie. A ja wtedy jakbym pamięć utracił... Przez wiele miesięcy nie pamiętałem nawet, że on pozostawił córkę... A nawet gdy zacząłem sobie przypominać o jej istnieniu, jeszcze jakaś mgła przesłaniała mój umysł...

Umilkł na chwilę, przecierając czoło.

— Czasem, gdy staram się sobie przypomnieć... to mi się zdaje... że on chyba wspominał o szkole, do której ją posłano. Co o tym sądzisz?

— Zapewne nigdy nie mówił o tym wyraźnie. Zdaje mi się, że nie słyszałeś nigdy nawet jej imienia.

— Owszem... pamiętam, że dawał jej dziwne, przez siebie wymyślone przezwisko; nazywał ją *swoją małą jejmością*. Ale te nieszczęsne kopalnie wyгнаły nam z głowy inne sprawy. O niczym innym nie mówiliśmy. Czy o tej szkole kiedy mówił, nie pamiętam... i nigdy już pewno sobie nie przypomnę.

— No, no, znajdziesz ją jeszcze — pocieszał go Carmichael. — Trzeba poszukać tych pocziwych Rosjan; pani Pascal miała wrażenie, że oni byli rodem z Moskwy. Nie ma co! Pojadę do Moskwy!

— Gdybym czuł się na siłach, pojechałbym z tobą — rzekł pan Carrisford. — Niestety mogę jedynie siedzieć tu, zakutany<sup>[95]</sup> w futra, i wpatrywać się w ogień na kominku. A nieraz, gdy się tak zapatrzę, wydaje mi się, że z płomyków spoglądała ku mnie twarz Ralfa... jakby pytając mnie o coś. Czasem pojawia mi się on we śnie... i pyta mnie, już wyraźnie, zawsze o to samo... A czy wiesz, o co mnie pyta?

— Nie bardzo — odpowiedział pan Carmichael głosem cichym i jakby niechętnym.

— Pyta mnie zawsze: „Tomaszu... Tomaszu, gdzie jest mała jejmość?”.

Chwycił rękę Carmichaela i ścisnął ją mocno:

— Muszę... muszę ją znaleźć — powtarzał. — Muszę mu odpowiedzieć na to pytanie. Pomóż... pomóż mi ją znaleźć!...

\*

Po drugiej stronie muru siedziała na poddaszu Sara, rozmawiając z Melchizedechem, który właśnie przybył na kolację.

— Ciężka dla mnie dziś była rola księżniczki — mówiła. — Cięższa niż kiedykolwiek. Coraz to bywa ciężiej, gdy robi się zimniej na dworze, a na ulicach przybywa błota i wilgoci. Dziś Lawinia śmiała się z mejzabłoconej spódniczki; chciałam powiedzieć jej parę przykrych słów... ale w porę

zdołałam się powstrzymać. Gdy się jest księżniczką, nie wolno odpowiadać drwinami na drwiny; trzeba ugryźć się w język i pohamować się w gniewie. No i ugryzłam się w język. Dziś po południu tak było chłodno, Melchizedechu. A teraz noc taka chłodna!...

Nagle zasłoniła rękami czarną główkę, co nieraz czyniła, gdy była sama w pokoju.

— Ach, tatusiu — szepnęła. — Jakże dawne wydają mi się te czasy, gdy nazywałeś mnie swą *małą jejmością*.

Takie to rzeczy działy się w ową noc po obu stronach tej samej ściany.

## „Jedna z szarego tłumu”

Ciężka była zima. Bywały dni, w których Sara, idąc na zakupy, brnęła po kostki w śniegu. Bywały i gorsze dni, gdy nadchodziła odwilż, tworząc kałuże błota. Bywały i takie dni, gdy mgła była tak gęsta, że latarnie uliczne paliły się przez dzień cały, a Londyn wyglądał, jak w ową porę popołudniową przed kilkoma laty, kiedy Sara wsparta na ramieniu ojca jechała dorożką przez główne ulice miasta. W takie dni okna domu Dużej Rodziny błyszczały przytulnie i nęcąco, a gabinet *pana z Indii* jarzył się ciepłem i bogactwem kolorów. Na poddaszu jednak było nad wyraz smutno. Nie widywało się już ani wschodów, ani zachodów słońca, a nader rzadko pojawiały się gwiazdy. Ponad oknem nisko zwisały chmury, a były bądź szare, bądź brudno-rdzawe, bądź nabrzmięte ciężką ulewą. O godzinie czwartej po południu, choćby nawet mgły nie było, ściemniało się zupełnie, toteż Sara musiała zapalać świecę, ilekroć udawała się na poddasze. Służące w kuchni pomarkotniały i stały się jeszcze bardziej złośliwe. Biedną Becky pędzono wciąż to tu, to tam, jak niewolnicę.

— Kiejby<sup>[96]</sup> nie panienka, nie ta Bastyllo i nie to, że jezdem niby ten więzień w drugiej celi, to bym już dawno pomarła — zwierzała się Sarze głosem zachrypłym, wślizgnąwszy się w jeden wieczór do jej pokoju. — Bo może to wsyćko nie wygląda jak prowadziwe? Naso pani to z kozdym dniem staje się podobniejszo do dozorcego więzienia... nawet mo takie kluce, o jakich panienka opowiadała. Kucharka to tyz wygląda, kiejby taki klucnik... ale mniejsy, co to słucho rozkazów. A niechze mi tez panienka z łaski swej opowie jesce cej nieco o tym podziemnym lochu, cośmy se go wykopały pod ścianą.

— Opowiem ci o czymś cieplejszym — odpowiedziała Sara, trzęsąc się z zimna. — Przynieś tu swój koc i owiń się nim porządnie; ja się owinę swoim i przytulimy się mocno do siebie na łóżku, a ja ci opowiem o lesie podzwrotnikowym, gdzie przebywała niegdyś małpka naszego sąsiada. Ilekroć ją widzę, jak siedzi na stole pod oknem i spogląda tak smutno na ulicę, zawsze jestem przekonana, że ona rozmyśla o swych lasach podzwrotnikowych, gdzie zawieszała się ogonkiem na gałęziach palm i zrywała orzechy kokosowe. Ciekawa jestem, kto ją schwytał i czy ona zostawiła rodzinę, która była na jej utrzymaniu?...

— Prawda, że to cieplejszo historyja — rzekła Becky z wdzięcznością — ale nawet i ta Bastyllo jakosik mnie tak rozgrzywo, kiej mi panienka o niej opowieda.

— A to dlatego, że wtedy myślisz o czym innym, a nie o tym, co się koło ciebie dzieje — odpowiedziała Sara, owijając się kocem tak szczelnie, że ledwo twarz jej widać było. — Gdy ciała coś dolega, wtedy najlepiej myśleć o innej zgoła rzeczy.

— A panienka to potrafi? — spytała Becky z podziwem.

Sara zmarszczyła brew na chwilę.

— Czasem potrafię, czasem nie... Ale dużo tu znaczy praktyka. Ja już wypraktykowałam to od dość dawna. Gdy jest mi bardzo, bardzo ciężko... to wmawiam w siebie, że jestem księżniczką. Powtarzam sobie wtedy: „Jestem księżniczką... i to księżniczką zaklętą... więc nikt nie zdoła mnie skrzywdzić ani nawet urazić”.

Sposobność do tego, by *myśleć o czym innym*, zdarzała się Sarze często, a nie brakło też sposobności do tego, by mogła stwierdzić, czy jest naprawdę księżniczką. Ale jedna z najcięższych prób, na jakie kiedykolwiek była wystawiona, nadeszła pewnego strasznego dnia, którego Sara nie miała zapomnieć do końca życia.

Od kilku dni lało bez przerwy. Ulice były wilgotne, błotniste, śliskie, przysłonięte zimną a posepną mgłą. Wszędzie było błoto — kleiste, grząskie błotko londyńskie — a nad tym błotem zwieszały się plachty mgły i mżystego deszczu. Oczywiście w takie dni bywało wiele spraw do załatwienia, często w odległych punktach miasta; na takie dalekie i uciążliwe wyprawy posyłało Sarę nawet kilka razy dziennie, toteż zdarzało się, że jej kusa<sup>[97]</sup> i znoszona już odzież przemokła do suchej nitki. Stare, niemodne i wystrzępione pióra na jej zszarganym kapelusiku wystrzępiły się jeszcze bardziej i nabrały wprost pociesznego wyglądu, a jej wydeptane buciki tak nasiąkły wodą, że więcej już jej chyba pomieścić nie mogły. Na dobitkę Sara w tym dniu nie dostała obiadu, gdyż miss Minchin uznała za stosowne za coś ją ukarać. Była więc tak głodna, zziębnięta i zmęczona, że znękana jej twarzyczka nieraz ściągała na siebie litościwe spojrzenia przechodniów. Ona jednak nie dbała o to. Szła z pośpiechem, starając się myśleć o czymś innym. Tym razem jednak trudno jej to przychodziło... a niekiedy nawet przynosiło skutek wręcz przeciwny, niż było w jej zamierzeniu: zamiast zapomnieć o głodzie i zimnie, odczuwała je w większym jeszcze stopniu. Jednakowoż szła wytrwale i gdy brudna woda wlewała się w jej dziurawe buciki, a wiatr nieomal zdierał chudy żakiecik z jej ramion, ona tak gwarzyła z sobą — nie wydając głosu, a nawet nie ruszając wargami:

— Wyobraźmy sobie, że mam na sobie suche odzienie, całe buciki, długi, gruby płaszcz i wełniane pończochy, a w rękach trzymam porządną parasolkę. I przypuśćmy... przypuśćmy, że przechodząc koło piekarni, gdzie sprzedają ciepłe ciastka... znajdę sześć pensów... które nie należą do nikogo... Przypuśćmy, że tak się stanie... Poszłabym do sklepu i kupiłabym sześć ciepłych ciastek i zjadłabym je na poczekaniu...

Niekiedy dzieją się dziwne rzeczy na tym świecie. Rzecz taka zdarzyła się Sarze.

Właśnie gdy powtarzała te słowa, wypadło jej przechodzić przez ulicę. Błoto było okropne — tak, iż niemal brnąć w nim musiała. Wprawdzie starała się iść jak najostrożniej, jednakże suchą nogą przejść nie potrafiła. Szukając przejścia, musiała wciąż patrzeć pod nogi, a gdy tak patrzyła — właśnie w chwili dojścia do chodnika — dostrzegła jakiś błyszczący przedmiot, leżący w rynsztoku<sup>[98]</sup>. Była to drobna moneta srebrna — zdeptana wprawdzie niejedną stopą, mimo to mająca w sobie jeszcze tyle blasku, że można było ją dostrzec. Nie była to wprawdzie sztuka sześciopensowa, ale najbliższa jej swą wartością — bo czteropensowa.

Za chwilę pieniążek spoczywał już w skostniałej czerwonej rączce Sary.

— A więc to prawda! To prawda! — szepnęła uradowana dziewczynka, po czym spojrzała na sklep, znajdujący się tuż przed nią.

I czy mi uwierzycie? Była to właśnie piekarnia, a w oknie wystawowym widać było pogodną, dostojną, po matczynemu dobrotliwą kobietę o różowych policzkach, która ustawiała tackę pełną rozkosznych, świeżo upieczonych ciastek — wielkich, pękatych, błyszczących, nadziejących rodzynekami!

Sarze aż słabo zrobiło się przez chwilę — tak na nią podziałało nagle zdumienie, widok ciastek oraz rozkoszny zapach ciepłego chleba, płynący z suterren piekarni.

Wiedziała, że nie potrzebuje się wahać, co zrobi ze znalezionym pieniędzem. Przeleżał się on niewątpliwie przez czas dłuższy w błocie, a właściciel jego zatracił się zupełnie w tłumie przechodniów, tłoczących się ulicą przez dzień cały.

— Jednak pójdę do właścicielki sklepu i zapytam ją, czy czego nie zgubiła — rzekła do siebie, prawda, że głosem niezbyt mocnym. Przeszła więc przez chodnik i stanęła na stopniu wiodącym do sklepu. W tej chwili ujrzała jednak coś takiego, co ją powstrzymało.

Była to mała istotka, obdarta i zaniedbana jeszcze bardziej od niej samej — istny kłębek łachmanów, spod którego wyzierały drobne, bose, zsiniałe i zbłocone nożyny, niezdolne już ukryć się pod odzieżą. Sponad łachmanów wystawała strzecha rozczochranych włosów oraz umorusana twarzyczka o dużych, wpadniętych, wygłodniałych oczach. Sara od razu poznała, iż dziewczynka jest głodna i poczuła dla niej wielkie współczucie.

— Oto jedna z istot szarego tłumu — rzekła do siebie z westchnieniem. — Ona jest głodniejsza ode mnie.

Dziewczynka — *jedna z szarego tłumu* — wlepiła oczy w Sarę i usunęła się nieco w bok, by dać jej przejście. Nawykła usuwać się z drogi wszystkim; wiedziała, że gdyby ją ujrzał policjant, kazałby jej natychmiast stąd się wynosić. Sara ścisnęła w ręce pieniądze i zawahała się na chwilę, po czym zapytała dziewczynkę:

— Czy jesteś głodna?

Dziewczynka posunęła się jeszcze nieco w bok.

— Cym nie jest głodno? — odpowiedziała głosem ochrypniętym. — Albow to nie jest głodno?

— Czy nie jadłaś obiadu? — dopytywała się Sara.

— Obiadu?... A dyć [\[99\]](#) nie jadłam — odpowiedziała dziewczynka, posuwając się jeszcze dalej. — Ani śniadanie nie jadłam... ani wczora kolacyi... Nic-zem nie jadła...

— Jak dawno? — zapytała Sara.

— Albow to wim? Dzisiaj nic mi nie dali... nikaj [\[100\]](#)... choćem prosiła i prosiła.

Sam jej widok przypomniawszy Sarze o własnym głodzie. Jednakże w głowie znów jej zaświtały zwykłe rojenia.

— Jeżeli jestem księżniczką — mówiła do siebie — to powinnam pamiętać, że księżniczki... gdy cierpiały biedę i były pozbawione tronu... zawsze dzieliły się kęsem chleba z każdym człowiekiem biedniejszym od nich i bardziej głodnym. Ciastka są po pensie sztuka. Gdybym znalazła sześć pensow, mogłabym zjeść sześć ciastek... Nie wystarczyłoby dla żadnej z nas dwóch... ale lepsze coś

niż nic.

— Zaczekaj chwilkę — odezwała się do małej żebraczki, po czym weszła do sklepu. Ciepło tu było i zewsząd płynęły rozkoszne zapachy. Sklepiarka właśnie zamierzała położyć nową porcję ciastek na oknie wystawy.

— Proszę pani — rzekła Sara — czy to pani zgubiła ten pieniądz... srebrne cztery pensy?

Kobieta spojrzała najpierw na pieniądz, a następnie na przybyłą — dziwiąc się jej rozumnej twarzyczce i zniszczonej, choć widocznie niegdyś wytwornej odzieży.

— Nie, nie, moja pocziwoto! — odpowiedziała. — Czyś ty je znalazła?

— Tak jest — rzekła Sara. — Znalazłam w rynsztoku.

— Zatrzymaj więc sobie ten pieniążek, moje dziecko — rzekła sklepiarka. — On tam leżał może i cały tydzień, a Bóg tylko jeden wie, czyja to zguba. Ty tego na pewno nie wykryjesz; szkoda zachodu!

— Tak i mnie się zdawało — odpowiedziała Sara — myślałam jednak, że wypada panią zapytać.

— Nie każdy by to zrobił — zauważyła kobieta, spoglądając na nią wzrokiem dobrotliwym, a jednocześnie zaciekawionym i jakby zażenowanym. — A może byś chciała coś kupić? — dodała, widząc, jak Sara spogląda na pieczywo.

Cztery ciastka drożdżowe, proszę pani — odpowiedziała Sara. — Takie po pensie sztuka.

Kobieta podeszła do okna i włożyła kilka ciastek do papierowej torby. Sara spostrzegła, że było ich sześć.

— Prosiłam o cztery, za pozwoleniem pani — wyjaśniła. — Mam tylko cztery pensy.

— Dorzuciłam dwa... dla lepszej wagi — odpowiedziała dobrodusznie sklepiarka. — Zjesz je sobie przy sposobności. Czy nie jesteś głodna?

Sarze aż zaćmiło się w oczach.

— Tak — odpowiedziała — jestem bardzo głodna i bardzo pani dziękuję za jej łaskawość... ale...

Tu chciała dodać: „ale na ulicy jest dziewczynka jeszcze głodniejsza ode mnie”.

W tejże jednak chwili weszło do sklepu naraz kilku bardzo spieszących się klientów, więc nie pozostało jej nic innego, jak podziękować sklepiarce i oddalić się.

Mała żebraczka siedziała jeszcze wciąż skulona w kącie pod drzwiami, patrząc przed siebie tępym, zbolałym wzrokiem, a od czasu do czasu przecierając szorstką ręką oczy, nabiegające tamowanymi dotąd łzami.

Sara otworzyła torebkę i wyjęła jedno z ciastek, które swym ciepłem nieco już ogrzały jej własne, zziębnięte dłonie.

— Weź to — rzekła, wręczając ciastko dziewczynce. — To dobre i ciepłe. Zjedz, a trochę się pożywisz... nie będziesz tak głodna...

Dziewczynka wzdrygnęła się i utkwiała w niej przerażone oczy, jakby niedowierzając tak nagłemu i zdumiewającemu szczęściu; naraz pochwyciła ciastko i poczęła chciwie jeść.

— O mój Boże, mój Boże! — wzdychała przy tym w wielkim zachwycie. — O mój Boże!

Sara wydobyła jeszcze trzy ciastka i podała je dziewczynce. Ochryply, brzęmiący żarłocznością głos małej żebraczki miał w sobie coś przerażającego.

— Ona jest głodniejsza ode mnie... ona przymiera głodem... — rzekła sobie Sara w duchu, ale jej ręka drżała, gdy wydobywała czwarte ciastko. — Ja nie przymieram głodem — zauważyła, dokładając piąte.

Wygłodzone dziecko londyńskiej ulicy zbyt łapczywie pożerało dane mu przysmaki, by miało czas podziękować — choćby nawet znało się na zasadach grzeczności, których nikt nigdy nie wpajał tej małej dzikusce.

— Do widzenia! — rzekła Sara, odchodząc.

Doszedłszy na drugą stronę ulicy, obejrzała się za siebie. Dziewczynka trzymała po ciastku w obu rękach i zatrzymała się w pół kęsa, ażeby się jej przyjrzeć. Sara skinęła głową — a dziecko, po chwili wpatrywania się w nią, odpowiedziało wstrząśnięciem zwichrzonej czupryny i nie wzięło do ust ani kęsa, póki Sara nie zniknęła na zakręcie ulicy.

W tejże chwili przez szybę wystawową wyjrzała sklepikarka.

— No, czegoś takiego tom jeszcze nie widziała! — zawołała. — To ta mała podarowała swoje ciastka żebraczce? A przecież sama miała na nie chętkę... a wyglądała mi na bardzo głodną! Dużo bym dała za to, by wiedzieć, czemu to ona uczyniła.

Stała przez chwilę za oknem i rozmyślała, po czym zdjęta ciekawością podeszła ku drzwiom i zapytała żebraczkę:

— Kto ci dał te ciastka?

Dziecko skinęło głową w stronę, gdzie odeszła Sara.

— A co ci ona mówiła? — dopytywała się kobieta.

— Pytała mnie, cym nie głodno — odpowiedziała dziewczynka chrapliwym głosem.

— A coś ty odpowiedziała?



— Pedziałam, że jezdem głodno.

— A ona wtedy weszła do sklepu, kupiła ciastka i dała je tobie?

Dziecko kiwnęło głową.

— A ile?

— Pięć.

Kobieta zamyśliła się i rzekła półgłosem:

— Sobie tylko jedno zostawiła! A widziałam z jej oczu, że mogła zjeść wszystkie sześć... i więcej!

Powiodła wzrokiem za małą, niknącą już w dali figurką Sary i poczuła wyrzuty, jakich nie doświadczała dotąd nigdy w życiu.

— Szkoda, że odeszła tak prędko — pomyślała sobie. — Powinnam była dać ich co najmniej dwanaście.

Po czym zwróciła się do małej żebraczki:

— I cóż? Jesteś jeszcze głodna?

— Juści — odpowiedziała dziewczynka — jezdem jesce ciągiem głodna, ale nie tak strasznie, jak przódziej.

— Chodź za mną — rzekła sklepikarka, trzymając drzwi uchylone.

Dziecko wstało i wtoczyło się do wnętrza sklepu, ledwie wierząc, iż zapraszają je do tak ciepłej izby, pełnej chleba. Nie wiedziało — ale i nie troszczyło się o to — jaki je odtąd los spotka.

— Ogrzej się — odezwała się sklepikarka, wskazując piec w przyległym pokoiku. — A gdyby ci kiedy było trudno dostać kawałek chleba, możesz tu zajść i poprosić, to ci go dam, mając w pamięci tamtą dziewczynkę.

\*

Ciastko — jedyne, jakie pozostało — nie zaspokoilo wprawdzie głodu Sary, jednakże przyniosło jej pewne pocieszenie. Bądź co bądź, było ciepłe i smaczne... i zawsze było lepsze niż nic. Idąc ulicą, odłamywała z niego po kawałtuku i zjadała je powoli, ażeby smak trwał w ustach dłużej.

— Przypuśćmy, że jest to ciastko czarodziejskie, którego każdy kęs starczy za cały obiad. Gdybym je zjadła całe od razu, mogłabym się przejeść.

Ciemno już było, gdy doszła do placu, przy którym znajdował się pensjonat miss Minchin. We

wszystkich domach pozapalano już światła, ale w oknach, gdzie Sara widywała Dużą Rodzinę, jeszcze nie pozamykano okiennic. O tej porze zazwyczaj widać było *pana Montmorency* siedzącego w dużym fotelu i otoczonego gwarną i roześmianą gromadką swych dzieci, to siadających na jego kolanach lub na poręczy fotela, to przytulających się do niego. Również i tego wieczora zebrała się przy nim ta gromadka, on jednak nie siedział w fotelu. Widać było, że czyniono gorączkowe przygotowania do podróży; miał pan Montmorency odjechać. Przed bramą stał powóz, do którego przytroczono olbrzymią walizę. Dzieci tańczyły wokoło, gwarząc z ojcem i wieszając mu się u ramion. Tuż obok niego stała miła, rumiana mamusia, dopytując się jakby o ostatnie rozporządzenia. Sara zatrzymała się na chwilę, chcąc przyjrzeć się, jak mniejsze dzieci wspinały się na paluszki, a starsze schylały się, by pocałować ojca w rękę.

— Ciekawe, czy on na długo wyjeżdża — pomyślała Sara. — Waliza jest wcale [\[101\]](#) potężna! Jakże te dzieci będą za nim tęskniły! Ja sama będę za nim tęskniła... choć on nawet może nie wie o moim istnieniu!

Gdy brama się otworzyła, Sara usunęła się na bok — pamiętając o sześciu pensach, które tu kiedyś otrzymała — ale i tak widziała, jak podróżny stanął na tle rzęście oświetlonego hallu, mając jeszcze przy sobie starsze z dzieci.

— Czy Moskwa jest teraz zasypana śniegiem? — zapytała mała Janet. — Czy tam ładna ślizgawka?

— Czy będziesz, tatusiu, jeździł *trojką*[\[102\]](#)? — zawołało drugie z dzieci. — A czy zobaczysz cara?

— Będę do was pisał i o wszystkim wam doniosę — odpowiedział ojciec, śmiejąc się. — Przyślę wam mnóstwo pocztówek z *muzykami*[\[103\]](#) i różnymi widokami. A teraz wracajcie do domu, bo zimno na dworze. Obrzydliwa noc! Wolałbym zostać z wami, niż jechać do Moskwy. Dobranoc, dobranoc, dzieciaki! Zostańcie z Bogiem!

Zbiegł ze schodów i wskoczył do powozu.

— A jak odnajdziesz małą dziewczynkę, powiedz jej, że ją bardzo kochamy — zawołał Guy Clarence, skacząc po wycieracze, po czym dzieci weszły z powrotem do domu, zamykając drzwi za sobą.

— Czy widziałaś? — mówiła Janet do Nory, gdy obie znalazły się w pokoju. — Ta dziewczynka, co nie żebrze, przechodziła przed naszą bramą, cała zmoknięta i zziębnięta i odwracała się, by się nam przyjrzeć. Mamusia mówi, że sukienki tej dziewczynki tak wyglądają, jak gdyby dostała je od jakiejś bogatej osoby, która nie chciała już ich nosić, bo były zbyt zniszczone. Ludzie, którzy mieszkają w tej szkole, wysyłają ją po sprawunki nawet w najgorszą nieporogodę... nawet w nocy.

Sara podeszła ku schodom szkoły, trzęsąc się i ledwo trzymając się na nogach.

— Ciekawe kim jest ta mała dziewczynka, której on szuka... — rozmyślała.

W chwili, gdy tuląc do siebie wielki i ciężki koszyk wchodziła na schodki kuchenne, ojciec Dużej Rodziny jechał szybko na dworzec, by zdążyć do pociągu, który miał go zawieźć do Moskwy na

poszukiwanie zaginionej córeczki kapitana Crewe.

# Co słyszał i widział Melchizedech

Tego samego popołudnia, podczas nieobecności Sary, dziwne jakieś rzeczy działy się na poddaszu. Nikt ich nie widział ani nie słyszał prócz Melchizedecha — ten zaś był tak przerażony i zbity z pantafelku, że szurnął do swej nory i ukrył się w niej, drżąc, popiskując bojaźliwie i z największą ostrożnością wysuwając łebek, by zobaczyć, co się tam wyrabia.

Sara wyszła wczesnym rankiem i na poddaszu panowała cisza, przerywana jedynie dudnieniem kropel deszczowych po oknie i dachówkach. Melchizedechowi zaczęło się po trosze nudzić, więc gdy deszcz przestał bębnić i zapanowało zupełne milczenie, postanowił wyjść na zwiady, chociaż doświadczenie uczyło go, że Sara może wrócić nieprędko. Węsząc i gmerząc wokoło, zgoła niespodziewanie odkrył jakąś okruszynę, ocalałą niewytłumaczonym sposobem z wczorajszej wieczerzy i już się zabrał do jej spożywania, gdy uwagę jego pobudził jakiś dziwny szelest na dachu. Jął<sup>[104]</sup> nasłuchiwać, a szczurze jego serduszko zaczęło bić gwałtownie. Ze szmeru wnosić<sup>[105]</sup> można było, że coś porusza się na dachu, zbliżając się w stronę okna. Nagle okno otworzyło się w sposób jakiś tajemniczy — i jakaś ciemna twarz zajrzała do pokoiku; za nią ukazała się druga twarz i obie zaczęły ostrożnie i z zainteresowaniem przyglądać się wszystkiemu. Na dachu znajdowali się dwaj ludzie i czynili ciche przygotowania, by dostać się do środka. Jednym był Ram Dass, drugim zaś młody sekretarz pana Carrisforda; Melchizedech jednak o tym nie wiedział — wiedział tylko, że ci ludzie naruszyli spokój i nietykalność poddasza. Przeto, gdy człowiek o ciemnej twarzy opuścił się z niesłychaną lekkością i zręcznością na podłogę, nie czyniąc przy tym najłżejszego szelestu, Melchizedech zadarł ogon i czmychnął do nory jak oparzony. Dawno przestał się lękać Sary i wiedział, że ona nie rzuci w niego niczym, jak tylko okruszyną chleba, i nie wyda innego dźwięku prócz cichego, łagodnego i wabiącego świstania. Natomiast obcy ludzie byli dla niego czymś strasznym i wolał trzymać się od nich z dala. Przycupnął więc tuż koło wejścia do swej nory, zaledwie śmiejąc zerknąć błyszczącymi, niespokojnymi ślepkami przez szczelinę. Nie wiem, czy wiele zrozumiał z tej rozmowy, którą usłyszał; lecz gdyby ją nawet zrozumiał, na pewno byłby tym wszystkim doszczętnie zbity z tropu.

Sekretarz, który był młody i zwinny, wśliznął się przez okno równie cicho, jak Ram Dass, i zdołał jeszcze dostrzec znikający koniuszek ogona Melchizedecha.

— Czy to szczur? — szeptem zapytał Ram Dassa.

— Tak jest, szczur, sahibie<sup>[106]</sup> — podobnym szeptem odpowiedział Ram Dass. — Jest tu ich dużo pod tą ścianą.

— O fe! — zawołał sekretarz. — To dziwne, że to dziecko ich się nie boi!

Ram Dass rozłożył ręce i twarz swą okraślił pełnym uszanowania uśmiechem. Uważał się tutaj jakby za powiernika i pełnomocnika Sary, chociaż raz tylko w życiu z nią rozmawiał.

— Ta dziewczyna wszystko wokoło darzy swą przyjaźnią, sahibie — odpowiedział. — Ona nie jest taka, jak inne dzieci. Ja nieraz ją widuję, gdy ona mnie nie widzi. Przełazę przez dach i zaglądam wieczorami do niej, by zobaczyć, czy jej co złego się nie stało. Kiedy indziej znowu przyglądam się jej z mojego okna, gdy ona nie wie, że jestem blisko. Ona tu nieraz staje na tym stole i wpatruje się w

niebo, i jak gdyby z nim rozmawiała. Wróble przychodzą do jej ręki na każde zawołanie. Tego szczura to ona oswoiła i wykarmiła, nie mając z kim się bawić w swej samotności. Czasem przychodzi do niej biedna posługaczka i pociesza ją w smutku; poza tym przychodzi tu do niej po kryjomu jakaś mała dziewczynka, a czasem i druga, która ją uwielbia i rada by przysłuchiwać się bez końca jej opowiadaniom. Poza tym nikt jej nie odwiedza. Właścicielka domu, bardzo zła kobieta, obchodzi się z nią jak z pariasem<sup>[107]</sup>; ale pomimo to jest w tym dziecku coś takiego, jakby płynęła w nim krew książęca!

— Widzę, że dużo wiesz o niej — zauważył sekretarz.

— Wiem, jak spędza każdy dzień — odpowiedział Ram Dass. — Wiem, kiedy wychodzi i kiedy tu powraca. Wiem o jej zmartwieniach, o jej drobnych rozrywkach, o jej głodzie i chłodzie. Wiem, jak siaduje po nocach nad książkami, ucząc się zawzięcie. Wiem, jak się cieszy, gdy przybywają do niej po kryjomu jej przyjaciółki... gdy może się z nimi trochę pośmiać i pogwarzyć szeptem. Gdyby zachorowała, wiedziałbym o tym natychmiast i przybyłbym tu jej usługiwać... o ile by mi na to pozwolono.

— Czy jesteś pewny, że prócz niej nikt tu nie przychodzi i że ona nieprędko tu wróci? Byłaby pewno przerażona, gdyby nas tu zastała, a plan sahiba Carrisforda poszedłby w niwecz.

Ram Dass podszedł cicho ku drzwiom.

— Prócz niej nikt tutaj nie przychodzi, sahibie — odpowiedział. — Ona teraz z koszykiem wyszła na miasto i nie wróci aż za parę godzin. Z tego miejsca będę słyszał każdy jej krok, zanim dojdzie do ostatniego piętra.

Sekretarz wyjął notatnik i ołówek z kieszeni surduta.

— Słuchaj więc uważnie — przykazał Hindusowi, po czym zaczął obchodzić cicho i z wolna cały pokój, przyglądając się kolejno każdej rzeczy i zapisując coś w notatniku.

Najpierw podszedł do łóżeczka Sary. Pomacał ręką siennik i wydał okrzyk zdumienia.

— Twarde to jak kamień! Ale trzeba to będzie kiedyś zamienić, gdy ona wyjdzie z pokoju. Trzeba będzie zrobić specjalną wyprawę w tym celu. Dziś nie można tego wykonać.

Podniósł z pościeli nakrycie i obejrzał chudą poduszeczkę.

— Powłoczka brudna i podarta, kołderka cienka, prześcieradła w strzępach! — mówił. — Takie łóżko i taką pościel dają dziecku w domu, który chce uchodzić za przyzwoity! W tym piecu nie palono już od wielu dni! — dodał, patrząc na zardzewiałe ruszty.

— Nie palono ani razu od czasu, gdy tu jestem — odpowiedział Ram Dass. — Właścicielka tego domu nie ma zwyczaju pamiętać, że komuś jest zimno.

Sekretarz zapisywał coś szybko w swym notesie, po czym wydarł z niego kartkę i schował ją do kieszeni.

— Przyznam się, że nasza robota ma charakter dość niezwykły — zauważył. — Któż był autorem tego pomysłu?

Ram Dass uklonił się nisko, jakby chcąc się usprawiedliwić.

— Żeby tak prawdę powiedzieć, to pierwsza myśl wyszła ode mnie, sahibie — odpowiedział. — Ale początkowo zająłem się tym tylko ot tak, dla zabawy. Lubię to dziecko, bo ono jest podobnie jak ja samotne. Gdy raz nudziło mi się w tej samotności, położyłem się pod jej oknem i przysłuchiwałem się jej rozmowom z przyjaciółkami. Ona ma zwyczaj opowiadać im różne wymyślone historie; tym razem mówiła o tym, jak wyglądałby jej pokój, gdyby miała w nim różne sprzęty i wygody. Wszystko, o czym wspomniała, zdawała się widzieć naocznie, tak iż w miarę opowiadania stawała się bardziej ożywiona i jakby weselsza. Nazajutrz, gdy sahib był chory i strapiony, ja, chcąc go nieco rozerwać, opowiedziałem mu o tym, co podsłuchiwałem. Sahiba bardzo zajęła moja opowieść. Dopytywał się o różne szczegóły, a potem serdecznie uradował się pomysłem, by urzeczywistnić te jej marzenia.

— Czy myślisz, że uda się to uczynić podczas jej snu? A nuż się obudzi? — niby to oponował [\[108\]](#) sekretarz, ale widać było, że plan ten przypadł mu do gustu w równym stopniu, jak sahibowi Carrisfordowi.

— Umiem chodzić tak cicho, jakbym miał stopy z aksamitu — odparł Ram Dass — a dzieci mają sen głęboki... nawet w nieszczęściu. Gdyby ktoś drugi podawał mi rzeczy przez okno, potrafiłbym zrobić resztę, a ona nawet by się nie ruszyła. Gdy się obudzi, pomyśli, że był tu czarnoksiężnik.

Uśmiechnął się, jak gdyby pocziwe serce pod białą odzieżą szepnęło mu coś miłego.

— Wygląda to jak bajka z *Tysiąca i jednej nocy* — odpowiedział, również śmiejąc się, sekretarz. — Tylko mieszkańcom Wschodu przychodzą podobne pomysły, które nigdy by się nie wylęgły z mgły londyńskiej.

Pobył ich nie trwał już długo — na szczęście dla Melchizedecha, który, nie rozumiejąc słów rozmowy, w każdym poruszeniu, w każdym szepcie przybyszów dopatrywał się czegoś groźnego. Młody sekretarz zdawał się wszystkim interesować. W notatniku swym opisał podłogę, piec, złamany podnózek, stary stół — wodził ręką po ścianach i jakby bardzo się ucieszył, gdy znalazł wielką liczbę gwoździ, powbijanych w różne miejsca.

— Będzie można na nich wieszać różne rzeczy — oświadczył.

Ram Dass uśmiechnął się tajemniczo.

— Wczoraj, gdy jej nie było — odrzekł — przyszedłem tu, przynosząc małe, ostre gwoździki, które można wbić w ścianę bez użycia młotka, i rozmieściłem je tam, gdzie będą mi potrzebne.

Sekretarz rozejrzał się jeszcze raz po pokoju i chowając do kieszeni notatnik, rzekł:

— Zdaje mi się, że już dość zanotowałem. Możemy odejść. Sahib Carrisford ma dobre serce. Szkoda wielka, że nie udało mu się odnaleźć zaginionego dziecka.

— Gdy ją odnajdzie, na pewno odzyska siły — przytaknął Ram Dass. — Oby Bóg mu ją przywrócił!

Wysunęli się przez okno tak cicho, jak weszli. Przekonawszy się, że już nareszcie odeszli, Melchizedech doznał wielkiej ulgi, a po upływie paru minut uznał za rzecz bezpieczną wyleźć znowu z nory i rozpocząć myszkowanie po pokoju. Miał bowiem nadzieję, że nawet tak groźne istoty ludzkie, jak dwaj niedawni goście, mogły mieć w kieszeniach okruszynki chleba i upuścić ich kilka na podłogę.

# Czarnoksiężnik

Gdy Sara mijała sąsiedni dom, spostrzegła Ram Dassa zamykającego okiennice i zdołała w przelocie zobaczyć wnętrze gabinetu. Na kominku płonął, jak zwykle, suty ogień, a *Pan z Indii* siedział w fotelu przed nim. Głowę podpierał dłonią, a na twarzy widać było, jak zawsze, ból i znużenie.

— Biedak! — pomyślała Sara. — Ciekawe, co on sobie teraz w myśli wyobraża.

A oto co on sobie *wyobrażał* w tej chwili:

— Wyobraźmy sobie... Wyobraźmy sobie... że jeżeli nawet Carmichael odzuka tych ludzi w Moskwie... to okaże się, iż dziewczynka zabrana przez nich z pensji Madame Pascal nie jest tą, której poszukujemy. Przypuśćmy, iż będzie to goła inna dziewczynka. Cóż wówczas pocznę?

Gdy Sara weszła do domu, natknęła się na miss Minchin, która zeszła na dół, by wyłajać kucharkę.

— Gdzieżeś się włóczyła tak długo? — brzmiało ostre zapytanie. — Nie było cię tu od kilku godzin.

— Było tak mokro i takie błoto — odpowiedziała Sara — więc trudno mi było iść, bo buciki mam zdarte i potykałam się ciągle.

— Nie wykręcaj się i nie kłam! — upomniała ją miss Minchin.

Sara weszła do kuchni. Kucharka właśnie dostała surową burę, była więc w jak najgorszym humorze, przeto ujrawszy Sarę, rada była wyładować na niej całą złość.

— Myślałam, że całą noc przesiedzisz w mieście! — warknęła.

Sara położyła na stole sprawunki. Kucharka spojrzała na nie, mruczając coś pod nosem. Była naprawdę wściekła.

— Czy mogę dostać coś do jedzenia? — zapytała Sara słabym głosem.

— Kolacja już zjedzona i sprzątnięta — brzmiała odpowiedź. — Coś ty sobie myślała, że będę ją grzała dla ciebie?

Sara milczała przez chwilę.

— Nie miałam dziś obiadu — odezwała się cicho; nie podnosiła głosu, bojąc się by nie zadrzał.

— Jest tam trochę chleba na kredensie — burknęła kucharka. — O tej porze nic innego już nie dostaniesz.

Sara poszła do kredensu. Znalazła tam parę kawałków zeschniętego i twardego chleba. Kucharka w nazbyt złym była humorze, by dać jej choć odrobinę masła lub powideł; owszem, miło jej było, że może na Sarze wyrzucić swój gniew, zostawiając ją o suchym chlebie.



Przebycie trzech długich przęseł schodów, wiodących[109] na poddasze, okazało się dla dziecka rzeczą trudną. Schody te nieraz Sarze wydawały się długie i strome, gdy była zmęczona. Tego wieczora jednak miała wrażenie, że nigdy nie dojdzie do ich końca. Kilka razy musiała się zatrzymać, by wypocząć. Gdy wreszcie dotarła do najwyższego podestu, ujrzała smugę światła dochodzącą z jej pokoiku. Domyśliła się, że Ermengarda przyszła znów do niej z wizytą. Myśl ta przyniosła Sarze pewną pociechę. Sama obecność nieporadnej i grubej Ermengardy, opatulonej w czerwony szal, zdolna była ją nieco rozgrzać.

Istotnie, otworzywszy drzwi, ujrzała Ermengardę, która siedziała pośrodku łóżka, podwinąwszy nogi pod siebie. Ermengarda nigdy nie spoufaliła się z Melchizedechem i jego rodziną, mimo że czuła dla nich wielką sympatię. Ilekroć znalazła się sama na poddaszu, zawsze wołała siedzieć na łóżku, póki Sara nie nadeszła. Tym razem miała czas i sposobność nieco się zdenerwować, bo Melchizedech wylazł już z nory i węszył wokoło przez czas dłuższy, a raz nawet wydał stłumiony pisk, przysiadłszy na tylnych łapkach i patrząc wyraźnie w jej stronę.

— O Saro, jakże się cieszę, żeś przyszła! — zawołała na widok wchodzącej. — Melchizedech tak wciąż węszy wokoło! Staralam się go namówić, by wrócił do nory, ale on nie chce długo w niej siedzieć. Wiesz, że go lubię... ale boję się, gdy on węszy w moją stronę. Jak myślisz? Czy on kiedy nie skoczy na mnie?

— Nie — odpowiedziała Sara.

Ermengarda przysunęła się na skraj łóżka i spojrzała na przyjaciółkę.

— Wydajesz mi się bardzo zmęczona, Saro — rzekła. — Jesteś blada jak ściana.

— Tak, jestem zmęczona — odpowiedziała Sara, siadając na kulawym podnóżku. — Aha, jest tu i Melchizedech... przylaźł biedaczek, by poprosić o kolację.

Melchizedech wylazł przed chwilą z nory, jakby postłyszał jej kroki na schodach, i podszedł ku niej z wyrazem serdeczności i oczekiwania. Sara włożyła rękę do kieszeni i wywróciła na zewnątrz podszewkę, potrząsając głową.

— Przykro mi bardzo — odezwała się. — Nie zostawiłam ci ani okruszynki. Wracaj do nory, Melchizedechu, i powiedz swej żonie, że nie miałam dziś nic w kieszeni. Kucharka i miss Minchin tak się na mnie gniewały!

Melchizedech, jakby zrozumiał, szmyrnął z rezygnacją, ale i z niezadowoleniem, do swej nory.

— Nie spodziewałam się zobaczyć cię dziś o tej porze, Ermengardo — rzekła Sara.

Ermengarda owinęła się czerwonym szalem i odpowiedziała:

— Miss Amelia będzie dziś nocowała u swej ciotki. Nikt inny nie zagląda do naszych sypialni. Jeżelibym chciała, mogłabym tu zostać nawet do rana.

Wskazała na stolik, stojący pod oknem. Piętrzył się na nim stos książek, którego Sara nie zauważyła,

wchodząc.

— Tatuś znów mi przysłał paczkę książek — rzekła Ermengarda z miną wzgardliwą. — Oto one.

Sara wstała, podbiegła do stołu i porwawszy tom leżący na górze, zaczęła przewracać jego kartki. Przez chwilę zapomniała o wszystkich swoich przykrościach.

— Och, jakaż to piękna książka! — zawołała. — *Rewolucja francuska* Carlyle'a<sup>[110]</sup>. Tak chciałam to przeczytać!

— Ja bynajmniej nie mam na to ochoty — odpowiedziała Ermengarda. — Ale tatuś będzie się na mnie gniewał, jeżeli nie przeczytam. On się spodziewa, że gdy przyjadę na wakacje, będę wiedziała wszystko, co jest w tych książkach. Cóż ja doprawdy pocznę!

Sara zaniechała przewracania kartek i spojrzała na nią z rumieńcem podniecenia na twarzy.

— Wiesz co? — zawołała. — Jeżeli zostawisz u mnie na pewien czas te książki, to ja je przeczytam... a potem tak ci opowiem ich treść, że sama też ją zapamiętasz.

— O, jakaś ty dobra! — zawołała Ermengarda. — A czy myślisz, że... potrafisz?

— Potrafię z pewnością — odpowiedziała Sara. — Małe dziewczynki pamiętają, co im opowiadam. I ty pewno pamiętasz, co opowiadałam ci o Robespierze<sup>[111]</sup>?

— Pamiętam, ale nie wszystko — przyznała się szczerze Ermengarda.

— Dobrze, poczekaj chwilkę — rzekła Sara. — Zdejmę z siebie przemoczone ubranie, otulę się kocem, a potem opowiem ci wszystko raz jeszcze.

Zdjęła kapelusz i płaszcz i powiesiła je na gwoździu, a zamiast przemokniętych bucików włożyła stare pantofle, po czym skoczyła na łóżko, osłoniła kocem ramiona i siadła, oplatając kolana rękoma.

— A teraz słuchaj.

Pogrążyła się w krwawych dziejach rewolucji francuskiej i opowiadała takie straszne rzeczy, że Ermengarda rozwarła oczy szeroko i wstrzymała dech w piersiach. Jednakże pomimo całego strachu wsłuchiwała się z zachwytem w słowa Sary, tak iż nie zanosilo się na to, by miała znów zapomnieć o Robespierze lub mieć jakieś wątpliwości co do księżniczki de Lamballe.

— I wiesz... oni wbili jej głowę na ostrze włóczni i tańczyli wokoło — wykrzyknęła Sara. — A ona miała długie, piękne, jasne włosy. Gdy sobie o niej myślę, wyobrażam ją sobie zawsze jako tę ściętą głowę na włóczni, dokoła której tańczy i wyje rozwścieczone pospólstwo... A teraz pomówmy już o czymś miłszym. Jak ci idą lekcje francuskiego?

— Coraz lepiej... od czasu, gdy przyszedłam do ciebie i ty mi objaśniłaś koniugacje<sup>[112]</sup>. Miss Minchin nie mogła zrozumieć, czemu na drugi dzień tak dobrze odrobiłam ćwiczenia.

Sara zaśmiała się nieznacznie.

— Ona i tego nie rozumie, czemu Lottie tak dobrze wykonuje cztery działania — dodała. — Ta mała też tu nieraz przychodzi po kryjomu i ja jej pomagam.

Rozejrzała się po pokoju.

— To poddasze nie jest takie straszne, jakby się zdawać mogło — rzekła, śmiejąc się. — Tu można wybornie udawać wiele rzeczy!

Ermengarda nie wiedziała zgoła o przykrych — czasami wprost nieznośnych — warunkach życia na poddaszu, a nie miała dość żywej wyobraźni, by w myśli je sobie przedstawić. W te rzadkie chwile, gdy udało się jej tu zawitać, widziała to życie tylko ze strony *udawanych* rzeczy oraz słyszanych opowiadań. Sara, choć straciła rumieńce i wychudła, była na tyle harda, iż nie skarżyła się nigdy na swą dolę. Nigdy nie przyznała się do tego, że czasami — jak właśnie w ów wieczór — dręczył ją straszliwy głód. Rosła prędko, a ciągłe chodzenie i bieganie za sprawunkami mogłoby zaostrzyć jej apetyt nawet wtedy, gdyby otrzymała obfitsze i pożywniejsze jadło od tych ochłapów, jakie spożywała o najrozmaitszych porach, a zawsze dopiero po zakończeniu swych spraw kuchennych. Z czasem przywykła do skurczu, boleśnie dającego się we znaki żołądkowi.

— Takie uczucia muszą mieć żołnierze podczas długiego i uciążliwego marszu — powtarzała sobie często, znajdując upodobanie w tym wyrażeniu.

Także i swoją rezydencję na poddaszu pojmowała w sposób szczególny:

— Gdybym mieszkała w zamku, a Ermengarda była panią zamku sąsiedniego i przyjechałaby do mnie w odwiedziny z orszakami rycerzy, lenników, wasali i wśród lasu proporców, wówczas na głos trąb, grających za zwodzonym mostem, wyszłabym na jej powitanie, po czym wydałabym ucztę w sali biesiadnej i przywołałabym minstreli<sup>[113]</sup>, by śpiewali, grali i opowiadali rycerskie dzieje. Gdy ona przychodzi na poddasze, nie mogę urządzać biesiady, ale za to mogę opowiadać różne historie i ukryć przed nią wszystkie niedomagania i złe strony mej siedziby. Tak musieli postępować w czasach głodowych zubożali właściciele zamków, gdy złupiono i splądrowano ich majątności.

Darzyła więc swego gościa, czym chata bogata: marzeniami, które snuła — widzeniami, jakie się jej jawiły — urojeniami, które były jej radością i pociechą.

— Chciałabym być tak chudą jak ty, Saro — rzekła nagle Ermengarda. — Zdaje mi się, że wychudłaś jeszcze bardziej ostatnimi czasy. Oczy zrobiły ci się takie duże, a przypatrz się, jak wystają ci kości w łokciach!

Sara poprawiła rękaw, który się jej zsunął.

— Zawsze byłam chuda — odpowiedziała — i zawsze miałam duże oczy.

— Bardzo lubię twoje oczy — rzekła Ermengarda, patrząc w nie z wyrazem serdeczności. — Wyglądają tak, jak gdyby umiały wzrokiem sięgać daleko. Lubię je i za to, że są zielone, choć często wpadają jakby w czarną barwę.

— Mam kocie oczy — zaśmiała się Sara — ale nie widzę nic w ciemności. Próbowałam czasami coś dostrzec, ale mi się nie udawało, pomimo że pragnęłam tego gorąco.

W tejże chwili za oknem zdarzyło się coś niezwykłego, czego nie zauważyła ani Sara, ani Ermengarda. Gdyby choć jedna z nich odwróciła się i popatrzyła w ową stronę, niechybnie przeraziłaby się widokiem czarnej twarzy, która zajrzała ostrożnie do pokoju i znikła równie szybko, jak się pojawiła — niestety nie tak cicho. Sara, która miała słuch bystry, obejrzała się i rzuciła okiem w stronę sufitu.

— To chyba nie był Melchizedech — rzekła. — Nie było słychać skrobania pazurkami.

— Co takiego? — spytała Ermengarda, nieco zaniepokojona.

— Czy nie słyszałaś żadnego szmeru?

— N-nie — wyjąkała Ermengarda. — A ty?

— Może to było tylko złudzenie... ale zdawało mi się, że coś się przesuwało cichutko po dachówkach.

— Co to mogło być? — zapytała Ermengarda. — Czyżby złodzieje?

— Nie — zaśmiała się Sara. — Tu nie ma co kraść.

Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale słowa uwięzły jej w gardle. Tym razem już obie posłyszały dźwięk, który przeszkodził jej mówić. Rozległ się nie na dachu, ale na jednym z dolnych pięter; był to gniewny głos miss Minchin! Sara wyskoczyła z łóżka i zgasiła świecę.

— Ona łaje Becky — szepnęła, stojąc w ciemności. — Biedna Becky aż płacze...

— Czy ona tu przyjdzie? — szepnęła Ermengarda, przejęta śmiertelną trwogą na myśl o spotkaniu z przełożoną.

— Nie. Ona myśli, że już śpię. Nie ruszaj się.

Rzadko się zdarzało, by miss Minchin weszła na ostatni rząd schodów; Sara sobie przypomniwała zaledwie jeden taki wypadek. Teraz jednak przełożona zbyt była rozgniewana, by wdzierać się sama na górę, tylko — jak z hałasu można było wnosić — gnała Becky przed sobą.

— Ty bezwstydnico, nieuczciwa dziewczyno! — krzyczała. — Kucharka mi się skarży, że wciąż jej coś ginie!

— To nie ja, proście wielmożny pani — szlochała Becky. — Choć ta i byłam głodno, ale to nie ja robiłam... nikiem[114] tego nie robiłam!

— Zaslugujesz na to, by cię wtrącono do więzienia — słychać znów było głos miss Minchin. —

Wciąż coś porywa i kradnie! Połowę pasztetu zjadła!

— To nie ja! — popłakiwała Becky. — Poradziłabym zjeść i cały paśtet... ale nawet nie tknęłam go palcem!

Miss Minchin aż zdyszała się od gniewu i od wspinania się na schody. Ów paszet miał stanowić jej drugą — własną tylko kolację! Toteż oburzenie jej nie miało granic.

— Nie kłam! — krzyknęła. — Ruszaj mi natychmiast do swego pokoju!

Sara i Ermengarda posłyszały jeszcze jedno zdarzenie, a potem odgłos zdeptanych trzewików, biegnących i potykających się na schodach. Posłyszały, jak Becky wbiegła do pokoju, jak zamykała drzwi za sobą — i odgadły, że rzuciła się na łóżko.

— Mogłabym zjeść i dwa takie paštety, a dyc nie wzięnam ani kawałeczka — łkała do poduszki. — To kucharka dała ten paśtet swojemu policyjnowi.

Sara stała w ciemności pośrodku pokoju, zaciskając zęby, na przemian otwierając i kurcząc rozpostarte dłonie. Ledwo mogła ustać na miejscu — jednakże nie odważyła się poruszyć, póki miss Minchin nie zeszała na dół i wszystko nie ucichło.

— Ależ to niedobra, okrutna kobieta! — wybuchnęła. — Kucharka sama przywłaszcza sobie różne rzeczy, a potem mówi, że to Becky je kradnie. Ale ona nigdy, nigdy nic nie ukradła... choć nieraz jest tak głodna, że zjada skórki chleba, rzucone do popielnika!

Zakryła twarz obiema rękami i wybuchnęła gwałtownym łkaniem. Ermengarda, słysząc ten płacz, była zdumiona i przerażona. Sara — ta niezwykczona Sara — płakała! To jakby oznaczało coś nowego — jakieś nowe jej usposobienie, którego dotąd Ermengarda u niej nie spotykała. A gdyby... a gdyby...! Nowa, okropna możliwość zarysowała się nagle w poczciwym, ślamazarnym umyśle Ermengardy. Zeszała z łóżka i po omacku w ciemności doszała do stołu, na którym stała świeca. Potarła zapałkę i zapaliła świecę, po czym pochyliła się naprzód i spojrzeła na Sarę oczyma pełnymi lęku, zrodzonego z nowej, nagle rozwiniętej myśli.

— Saro! — zapytała trwożnym głosem — czy ty... czy ty... Tyś mi nigdy tego nie mówiła... nie chciałabym ci zrobić przykrości, ale... ale... czy ty bywasz głodna?

Pytanie to przełamało nagle zaporę uczucia. Sara odjęła ręce od twarzy.

— Tak! — odpowiedziała niespotykanym u niej tonem rozzalonym i bolesnym. — Tak! Jestem teraz tak głodna, że zjadłabym nawet ciebie. Dlatego tym ciężiej jest mi słuchać płaczu biednej Becky. Ona cierpi głód o wiele dotkliwszy.

Ermengarda westchnęła.

— Ach! — krzyknęła płaczkliwym głosem. — Że ja też tego nie wiedziałam!

— Nie chciałam, żebyś wiedzała — odpowiedzała Sara. — Czulałabym się wobec ciebie jak

żebraczka... Wiem, że i tak już wyglądam jak żebraczka!

— Nie! Mylisz się! — przerwała jej Ermengarda. — Wcale tak nie wyglądasz. Wprawdzie twoje sukienki są kuse i podarte, ale mimo to nie wyglądasz na żebraczkę... nie możesz wyglądać. Twoja twarz nie jest twarzą żebraczki.

— Pewnego razu jeden chłopczyk dał mi sześć pensów jako jałmużnę — zaśmiała się Sara mimo woli. — Na pewno by mi ich nie dał, gdybym nie wyglądała na osobę potrzebującą wsparcia. Oto ten pieniążek.

To rzekłszy, wyciągnęła zawieszoną na szyi tasiemeczkę. Widok małego pieniążka nieco je rozweselił i pobudził do lekkiego śmiechu, mimo że miały łzy w oczach.

— Cóż to był za chłopczyk? — zapytała Ermengarda, wpatrując się w pieniążek tak ciekawie, jak gdyby widziała w nim coś więcej nad zwykłą srebrną monetę sześciopensową.

— Był to jeden z Dużej Rodziny, ten malec o tłustych nóżkach, którego ja nazywam Guy Clarence — odpowiedziała Sara. — Było to podczas świąt Bożego Narodzenia. On pewno miał w swym pokoiku pełno podarków, zabawek i ciastek, i widział, że ja tego wszystkiego nie mam... Więc obdarzył mnie otrzymanym na gwiazdkę pieniążkiem.

Ermengarda odskoczyła w tył. Ostatnie zdania przypomniały jej coś, o czym zapomniała w swym smutku i natchnęły ją nagłą myślą.

— Ach, Saro! — zawołała. — Jaka ja jestem głupia, że o tym nie pomyślałam!

— O czym?

— Ach, coś wspaniałego! — odpowiedziała Ermengarda z gorączkową skwapliwością. — Dziś po południu najdroższa moja ciocia przysłała mi paczkę, pełną dobrych rzeczy. Paczki tej nawet nie tknęłam, bo zjadłam dużo leguminy na obiad i byłam bardzo zmartwiona książkami, które mi tatuś przysłał.

Tu słowa zaczęły się sypać z jej ust, jak grad:

— Jest tam piernik i małe paszteciki i ciastka z konfiturami, pączki, pomarańcze, winogrona, rodzyнки, figi i czekolada. Wymknę się do mojego pokoju i przyniosę to wszystko za chwilę, to będziemy jadły we dwie.

Wzmianka o jedzeniu dziwnie oszołamia człowieka osłabionego głodem. Sara omal zatoczyła się jak pijana.

— Myślisz... że ci się uda? — zawołała, chwytając się ramienia Ermengardy.

— Uda mi się na pewno! — odpowiedziała Ermengarda, po czym podbiegła ku drzwiom, otworzyła je po cichu, wytknęła głowę na ciemne schody i zaczęła nadśłuchiwać. — Już wszystkie światła pogaszone. Wszyscy śpią. Mogę iść tak cicho, że nikt mnie nie usłyszy.

Pomysł ten był tak wspaniały, że obie przyjaciółki uściśniły się serdecznie, a w oczach Sary zaświecił błysk nagły.

— Ermio! — zawołała. — Wiesz co? Zabawimy się! Będziemy udawały, że urządzamy balik. Ale czy... czy nie zaprosiłabyś więźnia z sąsiedniej celi?

— Dobrze, dobrze! Zastukajmy w ścianę. Dozorca nie usłyszy.

Sara podeszła ku ścianie, a słysząc znacznie już cichszy płacz Becky, zastukała cztery razy.

— To oznacza: „Przyjdź do mnie przez tajemny loch pod ścianą. Chcę ci coś oznajmić” — wyjaśniła.

Spoza ściany rozległo się pięć uderzeń.

— Zaraz przyjdzie — rzekła Sara.

Istotnie w chwilę potem otworzyły się drzwi pokoiku i stanęła w nich Becky. Oczy miała czerwone, czepek spadał jej z głowy, a gdy spostrzegła Ermengardę, zaczęła pośpiesznie wycierać twarz fartuchem.

— Nie krępuj się mną, Becky! — zawołała Ermengarda.

— Panna Ermengarda zaprosiła cię tutaj, bo za chwilę przyniesie nam paczkę pełną dobrych rzeczy — oznajmiła Sara.

Becky wpadła w takie zdumienie, iż czepek omal zupełnie nie zleciał jej z głowy.

— Do jedzenia, panienko? — szepnęła. — Dobre rzeczy do jedzenia?

— Tak jest — odpowiedziała Sara. — A my zabawimy się w przyjęcie.

— A ja wam przyniosę tyle jedzenia, ile tylko zechcecie — rzekła Ermengarda. — Już idę!

Tak się spieszyła, że wymykając się z pokoiku nawet nie zauważyła, iż czerwony szal zsunął się jej z ramion i upadł na podłogę. Przez dłuższą chwilę nikt tego nie spostrzegł. Becky była wprost ogłuszona szczęściem, które ją spotkało.

— Ach panienko, panienko! — wzdychała. — Wiem ci ja, że to panienka prosiła pannę Ermengardę, żeby mi pozwoliła tu przyść... A że mi się chce płakać, kiej o tem myślę.

Podeszła do Sary i wpatrzyła się w nią z uwielbieniem. A w wymęczonych głodem oczach Sary zaczął się jarzyć dawny blask, nadający światu nową, piękniejszą postać. Tu na tym poddaszu — wobec zimnej, czarnej nocy, panującej wokoło na dworze — wobec popołudnia, spędzonego na zabłoconych i mokrych ulicach — wobec niewygasłego jeszcze wspomnienia o straszliwie patrzących, zgłodniałych oczach małej żebraczki — to drobne, radosne zdarzenie wydało się wręcz czymś czarodziejskim.

— Nie wiem czemu to przypisać — rzekła nabrawszy tchu — ale zawsze, gdy ma mnie spotkać coś najgorszego, zdarza się nagle jakaś odmiana. Zupełnie, jak gdyby jakiś czarodziej wdawał się w tę sprawę.

Pochwyciła Becky i potrząsnęła nią wesoło.

— Nie! Nie! Nie wolno ci płakać! — zawołała. — Musimy się pospieszyć i nakryć stół.

— Nakryć stół, panienko? — zdziwiła się Becky, rozglądając się wokoło po pokoju. — A cemze go nakrywać?

Sara również poczęła się rozglądać.

— Rzeczywiście! — zaśmiała się. — Nie bardzo jest czym nakrywać!

W tej chwili ujrzała czerwony szal Ermengardy, leżący na stole.

— O, mamy szal! — zawołała. — Wiem, że Ermengarda się nie obrazi. Zrobimy sobie z niego prześliczną czerwoną serwetę.

Wysunęły stary stół na środek pokoju i nakryły go szalem. Kolor czerwony bardzo ożywił wnętrze pokoju, uczynił je jakby bardziej przytulnym i powabnym.

— Jak pięknie wyglądałby czerwony dywan na podłodze! — zawołała Sara. — Musimy sobie wyobrazić, że on tu leży.

Oko jej jakby z podziwem przebiegło po nagiej podłodze. Dywan — już był rozesłany.

— Jakież on gruby i miękki! — rzekła Sara ze śmiechem, dobrze znanym jej towarzyszcze; to mówiąc podniosła nóżkę i postawiła ją delikatnie na ziemi, jak gdyby stąpała po czymś miękkim.

— Tak jest, panienko! — odpowiedziała Becky, patrząc na nią z niekłamanym zachwytem. Ona wszystko zwykła była brać serio.

— A co teraz? — rzekła Sara, stojąc w miejscu nieruchomo i przysłaniając dłonią oczy. — Pomyślę chwilę i poczekam, a pewno mi się ziści, co myślę — dodała łagodnym, ufnym głosem. — Czarodziej powie mi, co trzeba.

Jednym z ulubionych jej urojeń było, że *gdzieś na dworze* — jak się wyrażała — przebywają różne myśli, oczekujące ludzkiego wezwania. Becky nieraz widywała ją stojącą w takim oczekiwaniu, wiedziała przeto, że za chwilę ujrzy jej rozpromienione, roześmiane oblicze. Istotnie sprawdziły się jej domysły.

— Już! — zawołała nagle Sara. — Już przyszedł mi pomysł! Wiem, co zrobię! Poszperam w tym starym kufereku, który pozostał mi z czasów, gdy byłam księżniczką.

Pobiegła w kąt pokoju i uklękła. Kuferek ten wstawiono na poddasze nie dla jej przyjemności ani



użytku, lecz dlatego, że gdzie indziej nie było dlań miejsca. Nie zawierał nic prócz rupieci, ale Sara wiedziała, że za sprawą czarodzieja znajdzie tam jakąś rzecz przydatną.

W jednym z rogów kufra leżała paczka tak niepozorna, że na pewno ją tu przeoczono. Sara, znalazłszy niespodziewanie ten przedmiot, wzięła go w ręce ostrożnie jak relikwię. W paczce był tuzin małych chusteczek do nosa. Sara pochwyciła je z radością i podbiegłszy do stołu, zaczęła układać je na czerwonym obrusie, wąskim koronkowym rąbkiem na zewnątrz.

— Oto są talerze — objaśniła. — Mamy złote talerze, a koło nich serwetki, bogato haftowane przez mniszki w klasztorach hiszpańskich.

— To zakonnice je haftowały?... Naprawdę, panienko? — szepnęła Becky, do głębi duszy wzruszona tą wiadomością.

— Trzeba sobie to wyobrazić — odpowiedziała Sara. — Jeżeli będziesz starała się wyobrazać to sobie, na pewno zobaczysz wszystko, co zechcesz.

— Juści, panienko — przytaknęła Becky i poczęła czynić wysiłki, by osiągnąć tak upragniony cel.

Sara tymczasem zajęła się znów kuferkiem. Na samym dnie znalazła stary letni kapelusik, opasany wianuszkiem sztucznych kwiatów.

— Oho! Mamy kwiaty do uczy! — rzekła patetycznie, zdejmując wianuszek. — Napełnią nam zapachem całe powietrze! Becky! Przynieś mi ten dzbanek, co stoi na umywalni... i mydelniczkę. Postawimy ją na środku stołu.

Becky z czcią wielką podała żądane przedmioty.

— A cemze są tero te wsyćkie rzeczy, prose panienki? — zapytała. — Tak mi się widzi, kiejby były zrobione z gliny... ale wiem, że są z cegosik innego.

— Oto jest rzeźbiona waza — odpowiedziała Sara, owijając dzbanek łodygami wianuszka. — Ta zaś druga — dodała, schylając się nad mydelniczką i sypiąc w nią kwiatki róży — jest z najczystszegego alabastru, wysadzonego drogimi kamieniami.

— Rety, jakie tez to piekne! — westchnęła Becky.

— Gdybyśmy tylko miały jakie podstawki do cukierków! — mruknęła Sara. — Aha! Już mam! Przypominam sobie, że widziałam coś przed chwilą.

Był to wprawdzie tylko kłębek wełny, owinięty w czerwoną i białą bibułkę — jednakże bibułka wkrótce przybrała kształt małych talerzyków, a jej okrawki wraz z resztkami kwiatów zużyto do przyozdobienia lichtarzyka, który miał oświecać całą tę uroczystość. Jedyne jakaś moc czarnoksięska zdolna była z tego wszystkiego zrobić coś więcej niż stół, nakryty czerwonym szalem i założony rupieciami z dawno nie otwieranego kufra. Jednakże Sara, cofnąwszy się parę kroków w tył, patrzyła z zachwytem na te domniemane cuda, a Becky szła za jej przykładem.

— Prose panienki — szeptem ozwała się Becky, rozglądając się po pokoju. — Cy to aby jeste ta sama Bastylia... cy też się ona przemieniła w coś innego?

— Tak, tak! To coś zupełnie innego! — odpowiedziała Sara. — To sala biesiadna!

— Retyz-ty, panienko! — zawołała Becky. — Sala bez sadła? — i w nieśmiałym zakłopotaniu zaczęła się przyglądać otaczającym ją świetnościom.

— Biesiadna! Sala biesiadna! — poprawiła ją Sara. — Taka wielka komnata, w której urządzi się uczy. Ma ona strzeliste sklepienia, galerię śpiewaków i olbrzymi komin pełen płonących polan dębowych, a po obu jej bokach wiszą świeczniki, lejące rześiste światło.

— O rety, panienko! — westchnęła znów Becky.

Otworzyły się drzwi i weszła przez nie Ermengarda, ledwie trzymając się na nogach pod ciężarem paczki. Na widok tego, co zaszło w pokoju, cofnęła się z okrzykiem podziwu:

— Ach, Saro! Tak pomysłowej dziewczynki, jak ty, jeszcze nigdy nie widziałam!

— Podoba ci się? — zapytała Sara. — Wszystko to są rzeczy z mojego starego kufierka. Radziłam się czarodzieja, a on mi polecił, żebym tam zajrzała.

— Ale niech no panienka zaceka, az panna Sara opowi, co to wszycko ma znaczyć! — zawołała Becky. — To już nie jest... ale może — tu zwróciła się do Sary — panienka zechce to sama lepiej opowiedzieć.

Sara opowiedziała wszystko, a ponieważ pomagał jej w tym czarodziej, więc i Ermengarda zaczęła dostrzegać kolejno niemal każdą rzecz: — złote talerze, sklepienie stropy, płonące polana, migocące świece woskowe. Gdy z paczki wydobyto zapasy — ciasta, owoce, cukierki i winogrona — biesiada przybrała wygląd wspaniały.

— To prawdziwe przyjęcie! — zawołała Ermengarda.

— Stół prawdziwie królewski! — westchnęła Becky.

Wtedy Ermengardzie przyszła wspaniała myśl do głowy.

— Wiesz co, Saro? — rzekła. — Zabawmy się, że ty jesteś księżniczką i że jest to biesiada królewska.

— Ależ ty wydajesz tę biesiadę — rzekła Sara — ty więc będziesz księżniczką, a my damami dworu.

— O nie, ja nie potrafię! — odpowiedziała Ermengarda. — Jestem za gruba i nie wiem, jak się wziąć do tego. Ty bądź księżniczką.

— No, niech tak będzie, skoro taka twoja wola — przystała Sara i naraz, tknięta nową myślą, pobiegła w stronę zardzewiałego piecyka.

— Patrz, ile w nim papierów i rupieci! — zawołała. — Zapalmy je, a będziemy miały przez parę minut prawdziwe ognisko.

Potarła zapałkę i przytknęła ją do pieca. Buchnął wspaniały płomień i jaskrawym blaskiem oświetlił wnętrze pokoju. Sara stanęła przy nim i uśmiechnęła się.

— Czy to nie prawdziwy ogień na kominie? A teraz przystąpimy do uczy.

I skinąwszy wdzięcznie ręką Ermengardzie i Rebecce, podeszła ku stołowi.

— Zbliżcie się, piękne panie — przemówiła szczęśliwym, rozmarzonym głosem — i zasiadźcie za stołem godowym<sup>[115]</sup>. Jego Królewska mość, mój ojciec, wyjechał w podróż daleką i mnie polecił urządzenie dla was biesiady.

Zwróciła lekko głowę w stronę jednego z kątów pokoju.

— Hej, minstrele, uderzcie w gęśle i lutnie! Księżniczki zawsze mają minstrelów, którzy grają przy ucztach — wyjaśniła Ermengardzie i Rebecce. — Wyobraźmy sobie, że tam w kącie jest galeria śpiewaków... A teraz rozpoczniemy ucztę.

Ledwo miały czas wziąć w rękę po ciastku, gdy naraz zerwały się, na równe nogi i zwróciły się pobladytymi twarzyczkami ku drzwiom — nad słuchując.

Nie myliły się! Ktoś szedł po schodach! Wszystkie trzy poznały to gniewne, zamaszyste stąpanie... i wiedziały, że już nadszedł koniec zabawy.

— To... pani! — wykrztusiła Becky i upuściła swoje ciastko na ziemię.

— Tak! — odrzekła Sara, otwierając oczy szeroko. — Miss Minchin nas odkryła.

W tejże chwili otwarły się drzwi, pchnięte silnym uderzeniem, i ukazała się w nich miss Minchin — również blada, nie od strachu jednak, lecz ze złości. Powiodła wzrokiem po przerażonych twarzyczkach, następnie po stole biesiadnym i po szczątkach dogorywającego papieru na ognisku.

— Już dawno podejrzewałam coś w tym rodzaju — zawołała — ale takiej bezczelności tom się nie spodziewała! Widzę, że Lawinia mówiła prawdę.

Aha! Więc to Lawinia wykryła jakimś sposobem ich tajemnicę i zdradziła ją przełożonej! Nikczemna!

Miss Minchin podeszła do Becky.

— Ty bezwstydnico! — krzyczała, bijąc ją znowu. — Jutro wyrzucę cię z mego domu!

Sara stała spokojnie, blednąc coraz bardziej i coraz szerzej otwierając oczy. Ermengarda wybuchnęła płaczem:

— O, niech pani jej nie wydała ze służby!... To ciocia przysłała mi paczkę... i urządziłyśmy sobie przyjęcie...

— Widzę, widzę — odpowiedziała oschle miss Minchin. — A księżniczka Sara siedziała na pierwszym miejscu za stołem! Tak! Wiem, że to twoja sprawka — krzyknęła, zwracając się do Sary. — Ermengardzie nigdy by nic podobnego nie przyszło do głowy! To ty zapewne przystroiłaś stół tymi śmieciami. A ty marsz mi na swoje poddasze! — tupnęła nogą w stronę Becky. Biedna posługaczka zakryła twarz fartuchem i wymknęła się z pokoju, szlochając z cicha.

Teraz znów przysła kolej na Sarę:

— Przypilnuję ja ciebie jutro! Nie dostaniesz ani śniadania, ani obiadu, ani kolacji!

— Ja dzisiaj nie dostałam ani obiadu, ani kolacji, proszę pani — słabym głosem odrzekła Sara.

— Tym lepiej! Będziesz pamiętała na przyszłość! Nie stójże tak beczynnio! Kładź mi zaraz to wszystko do paczki!

W zniecierpliwieniu zaczęła sama zgarniać wszystko ze stołu — i spostrzegła nowe książki Ermengardy.

— Widzę, Ermengardo, że przyniosłaś tu swoje nowe książki. Pewno chcesz, by się tu zabrudziły na tym poddaszu! Weź je stąd zaraz i wracaj do łóżka! Zostaniesz jutro przez cały dzień w swym pokoju, a ja napiszę o wszystkim do twojego tatusia. Ciekawam, co by on rzekł, gdyby wiedział, gdzie przebywałaś dziś w nocy!

W poważnym, utkwionym w nią spojrzeniu Sary było coś takiego, co pobudziło miss Minchin do nowego gniewu:

— Czemu się tak wpatrujesz we mnie? Cóż ty sobie myślisz?...

— Zastanawiałam się nad jedną rzeczą — odpowiedziała Sara tym tonem, jakiego użyła w pamiętny dzień na sali szkolnej.

— Nad czym się zastanawiałaś?

Powtórzyła się nieomal scena z sali szkolnej.

— Zastanawiałam się — odparła Sara głosem cichym, ale smutnym i spokojnym — co by powiedział mój tatuś, gdyby wiedział, gdzie ja przebywam w noc dzisiejszą.

Miss Minchin wpadła w istny szał wściekłości. Przyskoczyła do Sary i szarpnęła ją silnie.

— Ty beczelna, niesforna dziewczyno! — wrzasnęła. — Jak śmiesz! Jak śmiesz tak przemawiać!

Porwała ze stołu książki, zgarnęła resztki biesiady w beładzie na dno paczki, wcisnęła je w ramiona Ermengardzie i popchnęła ją przed sobą w stronę drzwi.

— Możesz się teraz nad tym zastanawiać do woli! — syknęła. — Marsz natychmiast do łóżka!

Zatrzasnęła drzwi i wyszła za nieszczęśliwą, potykającą się wciąż Ermengardą, pozostawiając Sarę w zupełnej samotności.

Skończył się piękny sen. Papier w piecyku stłął do ostatniej iskierki, pozostawiając jedynie garstkę czarnego popiołu; stół był nie nakryty, a złote talerze, bogato haftowane serwety i girlandy kwiecista przemieniły się z powrotem w stare chustki do nosa, strzępki czerwonej i białej bibułki oraz spłowiałe sztuczne kwiaty, pororzucane w nieładzie po pokoju; minstrele wymknęli się chyłkiem z galerii, a gęśle i lutnie umilkły. Emilka siedziała na ziemi, oparta o ścianę plecami, patrząc przed siebie bezmyślnie. Spostrzegłszy ją Sara podeszła ku niej i ujęła ją drżącymi rękoma.

— Już nie pozostało nic z biesiady, Emilko. Już tu nie ma księżniczki... nie pozostało nic, prócz więźniów Bastylii...

I usiadła pod ścianą, zakrywając twarz rękami.

Nie wiem, co by się stało, gdyby w tej chwili nie zakryła twarzy albo gdyby w niewłaściwej chwili rzuciła przypadkowo wzrokiem na okno w suficie. Być może, że wówczas zakończenie niniejszego rozdziału przedstawiałoby się zgoła inaczej. Albowiem, gdyby spojrzała w górę, na pewno przeraziłaby się tym, co by nagle spostrzegła. A spostrzegłaby tę samą ciemną twarz, przytuloną do szyby i zagładającą w głąb pokoju, podobnie jak zagładała ona nieco przedtem, podczas rozmowy Sary z Ermengardą.

Lecz Sara nie spojrzała w górę ani razu, tylko siedziała przez dłuższy czas nieruchomo, pograżywszy w ramionach czarną główkę — jak siadywała zawsze ilekroć starała się ból swój znieść w milczeniu. Potem wstała i ociężałym krokiem powlekła się do łóżka.

— Już nie mogę niczego zmyślać na jawie — rzekła. — Gdy zasnę, to mi się może coś przyśni...

Poczuła nagle takie zmęczenie — zapewne skutkiem głodu — iż przysiadła na brzegu łóżka, goniąc ostatkiem sił.

— Wyobraźmy sobie — mamrotała nieprzytomnie — że na kominku pali się jasny ogień, sypiący mnóstwem trzeszczących iskierok... Wyobraźmy sobie, że przed nim stoi wygodne krzesło... i że w pobliżu znajduje się mały stoliczek... a na nim ciepła... ciepła kolacja... I wyobraźmy sobie — to mówiąc, nakrywała się cieniuchną kołdrzyną — że leżę na pięknym, miękkim łóżku... wśród ciepłych kołder i wielkich, puchem nabitych poduszek... Wyo... wyobraźmy... sobie... sobie...

Samo zmęczenie przyniosło jej w nieszczęściu pociechę, bo w tejże chwili zamknęły się jej oczy i zasnęła twardym snem.

\*

Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak długo spała. W każdym razie spała tak głęboko i twardo, że nie

zbudziłyby jej nawet piski i hałasy wszystkich synów i córek Melchizedecha, gdyby wyszli wraz z nory i rozpoczęli swe harce, bójki i zabawy.

Obudziła się zgoła niespodzianie — ale nie wiedziała, co wybiło ją ze snu. Mówiąc prawdę, przyczyną jej ocknięcia się był pewien dźwięk zgoła rzeczywisty — a mianowicie brzęk okna, zamykającego się za zwinną, białą postacią, która wymknęła się przez nie i przycupnęła nieopodal na dachówkach tak blisko, że mogła widzieć, co się dzieje na poddaszu, sama nie będąc widzianą.

Sara zrazu nie otwierała oczu. Czuła się nazbyt senną, a przy tym — o dziwo! — było jej w łóżku ciepło i wygodnie... tak ciepło i wygodnie, iż wierzyć się jej nie chciało, że już się obudziła. Takiego ciepła i takiej wygody nie zaznała już od dawna — co najwyżej w sennych przywidzeniach.

— Jakież to miły sen! — mruknęła. — Jest mi ciepło, jak w raju. Nie... nie chce... się... otwierać oczu.

Istotnie był to chyba sen. Czuła, iż leży przykryta stosem ciepłych, miłych kołderek. Tak, czuła, że to kołdry, a kiedy wyciągnęła rękę, namacała coś przypominającego edredenową pierzynkę w satynowej poszewce. Nie powinna budzić się z tego czarownego snu — powinna leżeć cicho, by go nie spłoszyć.

Ale spać nie mogła — choć przemocą zamykała oczy. Budziło ją coś nieokreślonego, znajdującego się w pokoju — jakieś światło — oraz odgłos — odgłos trzeszczącego i huczącego ogniska.

— Niestety, budzę się! — westchnęła smutno. — Cóż na to poradzić!

Otworzyła oczy mimowolnie — i naraz uśmiechnęła się, gdyż czegoś podobnego nie widywała nigdy na poddaszu — i wiedziała, że nigdy nie ujrzy.

— No, przecież się nie obudziłam! — szepnęła, wsparłszy się na łokciu i rozglądając się wokoło. — Ja jeszcze śnię!

Była pewna, że to tylko sen... bo to, co widziała, było na jawie rzeczą wprost niemożliwą.

Oto co widziała: na kominku płonął jasny, huczny ogień, nad którym wisiał mały imbryk, bulgoczący i syczący wrzątkiem; na podłodze leżał rozesłany czerwony dywan, gruby i ciepły; przed ogniskiem stał składany fotel, zasłany poduszkami, a koło niego mały składany stolik, nakryty białym obrusem i zastawiony małym serwisem — były tam opatrzone wieczkami półmiseczki, filiżanka, sosjerka i czajnik; na łóżku była nowa, ciepła pościel oraz powleczone satyną pierzynki; w nogach leżał jedwabny wutowany szlafroczek, para puszystych pantofli i kilka książek. Pokój przemienił się w jakąś zaczarowaną krainę — i był zalany miłym światłem, gdyż na stole stała jasno świecąca lampa osłonięta różowym kloszykiem.

Sara siadła, wsparta na łokciu, a oddech jej stał się prędko i nierówny.

— Jakoś to wszystko... nie znika — westchnęła. — Ach, takiego snu jeszcze nigdy nie miałam!

Przez pewien czas nie ważyła się na żaden ruch. W końcu jednak odrzuciła kołdry i z pełnym zachwytem uśmiechem stanęła obiema nogami na podłodze.

— Śni mi się... że wychodzę z łóżka — słyszała wyraźnie dźwięk własnych słów. Stała na środku pokoju, obracając się z wolna na wszystkie strony. — Śni mi się... że to wszystko nie znika... że jest prawdziwe... Śni mi się, że odczuwam tę rzeczywistość... Wszystko jest zaczarowane... albo sama jestem zaczarowana... Mnie się tylko zdaje, że widzę to wszystko... Ale gdyby się tak mogło wciąż mi wydawać... niechby tak było! Niechby było!

Stała tak przez chwilę, dysząc ciężko, po czym zawołała:

— Ach, to wszystko nieprawda! — To nie może być prawdą! Ale jakże wydaje się prawdziwe!

Buzujący ogień pociągnął ją ku sobie; uklękła przed nim i wyciągnęła ku niemu ręce — ale musiała je cofnąć, poczuwszy niezmierne gorąco.

— Ogień widziany tylko we śnie nie mógłby być gorący! — zauważyła głośno.

Zerwała się na nogi, dotknęła stolika, serwisu, kobierca; podeszła do łóżka i pogładziła pościel. W końcu pochwyciła miękkie watowany szlafroczek, przycisnęła go do piersi i przytuliła doń policzek.

— Ciepły! Miękki! — zawołała, omal nie płacząc ze szczęścia. — On jest prawdziwy! Nie może być inaczej!

Zarzuciła go sobie na ramiona i obuła się w pantofle.

— I one są prawdziwe! Wszystko jest prawdziwe! — zawołała. — Ja nie śnię... nie śnię!

Krokiem jakby pijanym podeszła ku książkom i otworzyła tę, która leżała na wierzchu. Na czystej kartce przed okładką ujrzała wypisanych kilka słów:

— Małej dziewczynce z poddasza. Od przyjaciela.

Ujrzawszy ten napis, Sara — choć nie miała tego w zwyczaju — położyła twarzą na książce i zalała się łzami.

— Nie wiem, kto mi to przysłał — rzekła — w każdym razie ktoś troszczy się o mnie. Mam przyjaciela!

Wzięła świecę i wszedłszy do pokoju Becky, stanęła koło jej łóżka.

— Becky! Becky! — szepnęła, jak mogła najgłośniejszym głosem. — Obudź się!

Gdy Becky się zbudziła i siadła na łóżku, z lękiem podnosząc twarz, na której widać jeszcze było ślady niedawnych łez, ujrzała koło siebie drobną jakąś postać w kosztownym watowanym szlafroku z karmazynowego jedwabiu. Becky nie chciała wierzyć własnym oczom: koło jej łóżka stała z jaśniejącą, przedziwną twarzą księżniczka Sara — jaką ona pamiętała z dawnych czasów — i trzymała w ręce świecę.

— Chodź do mnie! Chodź, Becky! — szeptało zjawisko.

Becky zbyt była przerażona, by mogła odezwać się choć słówkiem. Wstała tylko i podążyła za Sarą, szeroko otwierając ze zdumienia oczy i usta.

A gdy przekroczyły próg, Sara cicho zamknęła drzwi za sobą i wciągnęła sąsiadkę w jakąś ciepłą i jasną przestrzeń, w której aż się w głowie mąciło człowiekowi — zwłaszcza po dłuższym poście.

— To wszystko jest prawdziwe! Prawdziwe! — wołała. — Dotykałam już wszystkiego po kolei! Wszystko takie rzeczywiste, jak i my, Becky! To jakiś czarodziej przyszedł do nas, gdyśmy spały... ten czarodziej, co nie pozwala, by na człowieka miała spaść najgorsza bieda!



# Odwiedziny

Wyobraźcie sobie (jeżeli potraficie), jak wyglądała reszta owego wieczoru: jak Sara i Becky kucaly koło ognia, który skrzył się, lśnił i hasał wesoło na kominku — jak podnosiły pokrywki półmisek i znajdowały pod nimi to ciepłą, smaczną zupę, która sama w sobie mogła zaspokoić ich apetyt, to kanapki, grzanki i biszkopty, których wystarczyłoby dla obu dziewczynek. Dzbanek z umywalni służył za filiżankę Becky, a herbata była tak rozkoszna, iż nie potrzeba było nawet udawać, jakoby się piło coś innego niż herbatę. Były ogrzane, syte i szczęśliwe, a Sara, przekonawszy się prawdziwości swego niespodziewanego szczęścia, nie omieszkała poddać się całkowicie swej radości. Ponieważ przeżyła w rojeniach znaczną część swego życia, przeto gotowa była w każdej chwili powitać wszelkie, najbardziej nawet niezwykle zdarzenie — i oswoić się z nim w ciągu krótkiego czasu.

— Nie wiem, kto to mógł uczynić — rzekła — w każdym razie był ktoś taki. Siedzimy sobie przy ognisku i... i... wszystko jest prawdziwe! Kimkolwiek jest ten człowiek... czy ci ludzie... to ja mam przyjaciela... ktoś jest moim przyjacielem.

Trudno jednak zaprzeczyć, że siedząc przed płonącym ogniem i spożywając sute[116] i smaczne jadlo, dziewczynki odczuwały w duchu jakąś obawę i zaglądały sobie wzajemnie w oczy z pewnym jakby powątpiewaniem.

— Cy panienska aby se nie myśli — wyjąkała raz Becky szeptem — że to wszycko moze nam zniknąć? Możebyśmy się krzynkę pośpiesyły.

To mówiąc, wpakowała sobie skwapliwie[117] do ust całą kanapkę. Jeżeli to był sen, można było jej wybaczyć te kuchenne maniery.

— Nie, to nie zniknie — odpowiedziała Sara. — Ja teraz na pewno zjadam ten biszkopt i czuję jego smak. We śnie nigdy się nie je niczego naprawdę... tylko się myśli, że chciałoby coś zjeść. Zresztą ja wciąż szczypię się w nogę, by upewnić się, że nie śpię, a przed chwilą umyślnie dotknęłam się rozżarzonego węgielka.

Grzały się przy piecu, rozkoszując się ciepłem i sytością, po czym Sara odwróciła się, by przyrzeć się przemienionemu łóżku.

Było tam tyle kołder, że mogła podzielić się nimi z Becky. Wąski tapczan w sąsiednim pokoiku był w ową noc wygodniejszy, niżby się mogło śnić kiedykolwiek jego właścicielce.

Opuszczając pokój, Becky stanęła na progu i pożądlwym wzrokiem obejrzała się jeszcze raz za siebie.

— Jeżeli tego wszyckiego rankiem tu nie będzie, to ja i tak będę zawdy pamiętała, co tu było dzisio w nocy. Tu był ogień, przed nim piękny stoliczek z lampą, co świeciła tak cyrwono; na łózecku panienska była satynowa pierzynka, na podłodze leżał ciepły dywon, a wszycko było takie piękne! A jeszcze i to będę pamiętała, że se podjadła zupy i kanapków i bićkoptów!

I przekonana już ostatecznie o prawdziwości wszystkich zdarzeń, wyszła z pokoju.

Jakaś tajemnicza poczta, kursująca wśród uczennic i pomiędzy służbą, rozniosła nazajutrz pewną wieść, że Sara Crewe popadła w wielką niełaskę u miss Minchin, że Ermengarda została surowo ukarana i że Becky byłaby jeszcze przed śniadaniem wydalona ze służby, gdyby nie to, że odprawienie służącej jest sprawą, której nie można załatwić od jednego razu. Służące wiedziały, że pozwolono jej zostać dlatego, że miss Minchin nieprędko znalazłaby drugą istotę równie potulną i niemrawą, która zgodziłaby się harować jak wół za parę szylingów tygodniowo. Starsze uczennice wiedziały i to, że jeżeli miss Minchin nie wyrzuciła Sary, uczyniła to również ze względów czysto praktycznych.

— Ona tak prędko rośnie i tak dużo się uczy — mówiła Jessie do Lawinii — że wkrótce zostanie nauczycielką, a miss Minchin wie dobrze, że ona będzie pracowała choćby za darmo. Bardzo to nieładnie było z twojej strony, Lawinio, że opowiedziałaś o jej zabawach na poddaszu. A jak tyś się o tym dowiedziała?

— Od Lottie. Ta smarkata opowiedziała mi wszystko. Bynajmniej nie postąpiłam nieładnie, donosząc o tym miss Minchin. Uważałam to za swój obowiązek. Sara ją oszukiwała, a przy tym śmiesznie było patrzeć, jak ona zadzierała nosa i patrzyła na wszystkich z góry, choć chodziła w łachmanach!

— A cóż one takiego robiły, gdy miss Minchin je przyłapała?

— Ermengarda zabrała swoją paczkę na górę, żeby podzielić się z Sarą i Becky. Ona nigdy nie podzieliła się niczym z żadną z nas. Mnie wprawdzie na tym nie zależy, ale o niej to źle świadczy, że woli dzielić się ze służącymi na poddaszu. Dziwię się, że miss Minchin nie wydziła Sary... choćby jej nawet potrzebowała jako nauczycielki.

— Gdzieżby Sara poszła, gdyby ją wypędzono? — zapytała Jessie, nieco zaniepokojona.

— A cóż mnie to obchodzi? — ofuknęła ją Lawinia. — Sądzę, że ona będzie dziś miała kwaśną minę po tym wszystkim, co się zdarzyło. Wczoraj nie dostała obiadu i kolacji, a dziś nie dostanie nic do jedzenia.

Jessie była nie tyle zła, ile niemądra, więc słowa przyjaciółki przejęły ją dreszczem.

— Ależ to straszne! — rzekła, biorąc do rąk książkę. — Czyż oni chcą ją zamorzyć głodem?

Gdy Sara rano weszła do kuchni, kucharka i służące spojrzały na nią pytająco. Nie odezwała się do nich ani słowem, lecz przeszła koło nich pospiesznie. Przyczyną pośpiechu było i to, że trochę zaspiała — a ponieważ to samo zdarzyło się i Becky, więc nie miały czasu widzieć się z sobą.

Wszedłszy do izby czeladnej, zastała Becky szorującą zawzięcie jakiś kocioł i nucącą sobie półgłosem jakąś piosenkę.

— Proszę panienki — szepnęła w podnieceniu, patrząc na Sarę twarzą rozpromienioną. — Kiej się obudziłam, to ta kordła jeszcze była na łóżku. Była takusieńka, jak wtedy, kiej się spać kładłam.

— Tak samo i moja — odpowiedziała Sara. — Wszystko... wszystko pozostało tak, jak widziałyśmy w nocy. Ubierając się, zjadłam parę ciastek, jakie zostały od wczoraj.

— O rety! Rety! — jękała Becky z zachwytem i natychmiast pochyliła głowę nad kotłem, widząc zbliżającą się kucharkę.

Gdy Sara wchodziła do sali szkolnej, miss Minchin oczekiwała, iż na jej twarzy ujrzy taką minę, o jakiej wspominała Lawinia. Po wczorajszej głodówce, po gwałtownej scenie zeszłego wieczoru, duma Sary musiała się przełamać. Toteż zaiste dziwić by się należało, gdyby ta harda dziewczyna nie miała dziś bladych policzków, zaczerwienionych oczu i nieszczęśliwego, pokornego wyrazu twarzy.

Ku wielkiemu jednak zdumieniu miss Minchin, Sara weszła do sali krokiem żwawym, niemal podskakując; na policzkach kwitnął żywy rumieniec, w kącikach ust taił się uśmiech. Miss Minchin aż się wzdrygnęła. Cóż to wszystko ma znaczyć? Skąd taki hart ducha u tej dziewczyny?

Przywołała ją do swego stolika.

— Wyglądasz, jakbyś nie wiedziała o tym, że jesteś w niełasce — upomniała ją. — Czyż do tego stopnia jesteś zatwardziała?

Rzecz była w tym, że gdy ktoś jest dzieckiem — a choćby i dorosłą osobą — i gdy pożywił się do syta i wyspał się w ciepłej, miękkiej pościeli — gdy zasnął wśród cudów baśni czarnoksięskiej, a po obudzeniu przekonał się, że baśń była prawdą — człowiek taki nie może być nieszczęśliwy ani wyglądać na nieszczęśliwego, co więcej, nie potrafi żadną siłą przygasić błysku radości w swych oczach. Miss Minchin wprost oniemiała na widok spojrzenia, jakim obrzuciła ją Sara, odpowiadając zresztą z wielkim szacunkiem na pytanie swej przełożonej.

— Bardzo panią przepraszam. Wiem, że jestem w niełasce.

— Racz więc o tym nie zapominać i nie przybieraj takiej miny, jak gdyby spotkało cię wielkie szczęście. To impertynencja<sup>[118]</sup>! A pamiętaj, że dziś przez cały dzień nie dostaniesz nic do jedzenia.

— Dobrze, proszę pani — odpowiedziała Sara, ale gdy odwróciła się, serce jej drgnęło na wspomnienie dnia wczorajszego. — Gdyby czarodziej w porę nie przyszedł mi z pomocą — pomyślała — jakież straszny los by mnie czekał!

— Ona chyba nie jest głodna! — szepnęła Lawinia. — Spójrz na nią! Może sobie wyobraza, że zjadła dobre śniadanie — dodała, śmiejąc się wzgardliwie.

— Ona jest całkiem różna od innych ludzi — odpowiedziała Jessie, przyglądając się Sarze, zajętej odrabianiem lekcji z najmłodszymi dziewczynkami. — Ja nieraz jej trochę się boję!

— E, śmieszna jesteś! — zgromiła ją Lawinia.

Przez dzień cały twarz Sary promieniała, a policzki okrywał rumieniec. Służba rzucała na nią zdziwione spojrzenia i szeptała coś pomiędzy sobą, a niebieskie oczki miss Amelii wyrażały zdumienie i zakłopotanie; nie rozumiała, co by mogła oznaczać taka zuchwała, jakby szczęśliwa mina Sary, wobec wiszącego nad nią gniewu przełożonej. Taki upór jednakże był w najzupełniejszej zgodzie z dotychczasowym postępowaniem Sary. Widać było, że zawzięła się, by nic sobie nie robić

z niczego!

Sara zawzięła się tylko w jednej rzeczy. Powiedziała sobie, że wszystko, co się zdarzyło, należy utrzymać w tajemnicy... o ile to możliwe. Gdyby miss Minchin przyszła ochota zejść ponownie na poddasze, wszystko, rzecz oczywista, musiałoby wyjść na jaw. Jednakże nie zanosilo się na to, by miała tu zachodzić — przez pewien czas przynajmniej — chyba żeby ją tu przywiodły jakieś podejrzenia. Ermengarda i Lottie miały pozostawać pod tak ścisłym nadzorem, że na pewno nie odważyłyby się na nowe nocne wędrówki. Od biedy można by opowiedzieć rzecz całą Ermengardzie i zobowiązać ją do sekretu. Gdyby Lottie coś odkryła na własną rękę, to i od niej można by wziąć podobne zobowiązanie. Zresztą sam czarodziej na pewno postara się utaić swe cuda przed okiem nieproszonych natrętów!

— W każdym razie, cokolwiek się zdarzy — powtarzała sobie Sara przez cały dzień — cokolwiek się zdarzy, to gdzieś na tym świecie jest jakaś dobra istota, która jest mi przyjacielem... przyjacielem, choćbym nawet nigdy nie dowiedziała się, kto to taki... choćbym nawet nie mogła mu nigdy podziękować... to jednak nie będę już się czuła tak samotna. Och, jakże poskutkowało moje czarnoksiężskie zaklęcie!

Pogoda była chyba jeszcze gorsza niż w dniu poprzednim. Jeszcze gorsze błoto, jeszcze większa wilgoć, dokuczliwsze zimno. Sprawunków było więcej niż w inne dni, a kucharka, wiedząc, że Sara jest w niełasce, odzywała się do niej niebywale szorstko. Ale to wszystko można było uważać za drobnostkę, gdy się miało w pamięci owego czarodzieja, który wszak<sup>[119]</sup> niedawno dowiódł, że potrafi być prawdziwym przyjacielem. Sara czuła się pokrzepiona przez wczorajszą kolację, wiedziała, że będzie spać ciepło i wygodnie, a choć przed wieczorem głód zaczął jej dokuczać, czuła, że potrafi wytrzymać aż do rana, kiedy już z pewnością dadzą jej śniadanie. Późno już było, gdy pozwolono jej udać się na górę. Otrzymała rozkaz, że musi pozostać do dziesiątej godziny w sali szkolnej i uczyć się — ona jednak, zaczytawszy się, pozostała tam znacznie dłużej.

Gdy, przebywszy ostatnie schody, stanęła przed drzwiami swego pokoiku, serce jej zaczęło bić szybko.

— A nuż wszystko zabrano mi z powrotem? — szepnęła, starając się nie tracić otuchy. — Może tylko wypożyczono mi to wszystko na ową jedną, straszliwą noc? W każdym razie mam pewność, że wszystko to było rzeczywistością.

Otworzyła drzwi i weszła do pokoju. Znalazłszy się w jego wnętrzu, westchnęła z podziwu, zamknęła drzwi i oparłszy się o nie plecami, jęła<sup>[120]</sup> rozglądać się na wszystkie strony.

Czarodziej znów tu był — ba, zostawił więcej śladów swej bytności, niż w dniu poprzednim. W piecu huczał jeszcze żywszy ogień, strzelając pięknym płomieniem. W pokoju znajdowało się wiele nowych przedmiotów, które tak zmieniły jego wygląd, że Sara na pewno przetarłaby oczy ze zdumienia, gdyby nie to, że zdołała już pozbyć się wszelkich wątpliwości. Na stole znowu ustawiona była kolacja — tym razem było pod dostatkiem talerzy i filiżanek zarówno dla Sary, jak i dla Becky. Na obłuczonym gzymsie kominka rozciągnięto piękny, haftowany kilimek, a na nim ustawiono parę ozdób; podobnie pozasłaniano makatkami wszystkie inne szczyrby i uszkodzenia. Na ścianach wisiały dziwne barwne materie, przymocowane cienkimi, ostrymi gwoździkami — tak ostrymi, że można je

było wbić w drewno i tynk bez posługiwania się młotkiem; tu i ówdzie pozatykano piękne wachlarze i ułożono wielkie, nabite poduszki, na których można było usiąść. Drewnianą skrzynię nakryto dywanem, a na wierzch położono parę poduszek, tak iż zrobiła się z tego całkiem wygodna sofa.

Sara z wolna odeszła od drzwi, usiadła i znów rozglądała się wokoło.

— Zupełnie tak spełniają się czarnoksiężskie zaklęcia — odezwała się do siebie. — Mam wrażenie, iż gdybym sobie życzyła, pojawiłyby się przede mną nawet wory złota i diamenty. Nie byłaby to rzecz dziwniejsza od tego, co się teraz dzieje. Czyż to mój pokój na poddaszu? Czy jestem tą samą, zziębniętą, obdartą, przemoczoną Sarą? Ileż to razy wymyślałam sobie różne baśnie i pragnęłam, by choć jedna z nich stała się jawą przed moimi oczyma... A teraz właśnie przeżywam taką baśń. Mam wrażenie, jakbym sama mogła być wróżką i przemieniać jedne rzeczy w drugie.

Wstała i zastukała w ścianę, przywołując więźnia z sąsiedniej sali.

Wszedłszy do pokoju, Becky o mało nie zwała się na ziemię; przez parę minut nie mogła głosu z siebie wydobyć.

— O rety! O rety, panienko! — jęknęła w końcu, zupełnie jak rankiem w izbie czeladnej.

— Widzisz, co się stało? — rzekła Sara.

Tego wieczora Becky siedziała na poduszce przed kominkiem, a jadła i piła z własnego talerza i filiżanki.

Gdy Sara poszła spać, znalazła w łóżku nowy, gruby materac i wielkie, puszyste poduszki. Jej stary materac i poduszka powędrowały do łóżka Becky, która dzięki tym nowym nabytkom mogła urządzić się z pewnym komfortem.

— Skąd tyz to wszycko się bierze? — wyrwało się raz z ust Becky. — Rety, któz to robi, panienko?

— Nawet nie pytajmy oto — odpowiedziała Sara. — Gdyby nie to, że chciałabym podziękować temu dobroczyńcy, to bym wolała nie wiedzieć, kto on taki. W ten sposób rzecz cała wygląda o wiele piękniej.

Od tego czasu życie Sary stawało się z każdym dniem dziwniejsze. Baśń czarodziejska snuła dalej swój wątek. Każdego wieczoru, gdy Sara powracała do swego pokoju, zastawała w nim jakieś nowe upiększenie, nowy wygodny sprzęt, aż w końcu kłitka na poddaszu przemieniła się w piękny salonik, pełen wykwintu i przepychu. Obdrapane ściany z czasem pokryły się całkowicie obrazami i makatami, pojawiły się nader pomysłowe meble składane, a nawet i półki z książkami — aż wreszcie nie było już chyba takiej rzeczy, której można by jeszcze pragnąć. Gdy Sara rankiem schodziła na dół, na stole zostawały resztki kolacji; gdy wieczorem wracała na poddasze, już były sprzątnięte przez czarodzieja, a na ich miejscu stała smaczna kolacja.

Miss Minchin była szorstka i dokuczliwa jak zawsze, miss Amelia po dawnemu utyskiwała [\[121\]](#) na wszystko, służące wciąż dawały się we znaki swą gburowatością. Sara co dzień chodziła za sprawunkami zarówno w pogodę, jak w słotę, a łajania i upomnienia stały się dla niej już chlebem

powszednim. Z Ermengardą i Lottie prawie nie pozwalano jej rozmawiać; Lawinia podrwiwała z coraz to bardziej zdzierających się jej sukienek, a inne dziewczynki wytrzeszczały na nią oczy, ilekroć wchodziła do sali szkolnej. Cóż to wszystko jednak znaczyło wobec tego, że życie jej było osnute przędziwem czarownej tajemniczej baśni? Baśń ta była bardziej urocza i rozkoszna niż wszystko, co Sara potrafiła kiedykolwiek wymyślić, by pocieszyć swą zboląłą duszyczkę i ratować się od rozpacz. Czasami, gdy ją łajano, siłą powstrzymywała się od uśmiechu:

— O, gdybyście wiedzieli! Gdybyście wiedzieli! — powtarzała sobie w duchu.

Wygoda i szczęście, jakiego zaznawała, czyniły ją silniejszą fizycznie i duchowo. Gdy zmęczona, głodna i przemoczona wracała z całodziennej bieżaniny, wiedziała, że niebawem — skoro wejdzie na poddasze — będzie mogła ogrzać się i najeść do syta. W najcięższych nawet dniach krzepiła się myślą, jakie nowe widoki i przyjemności czekają na nią w jej pokoiku. Po niedługim czasie przestała wyglądać jak szczapa, policzki nabrały rumieńców, a oczy już nie wydawały się tak wielkie w porównaniu z resztą twarzy.

— Sara Crewe wygląda doskonale — z pewną niechęcią zauważyła miss Minchin wobec siostry.

— Tak jest — odpowiedziała poczciwa, zahukana miss Amelia. — Ona wprost tyje... a niedawno wyglądała jak wygłodzony gawron.

— Wygłodzony! — wrzasnęła gniewnie miss Minchin. — Nie wiem, czemu by miała być wygłodzona! Przecież ma w bród jedzenia!

— Rzeczy... rzeczywiście — zgodziła się pokornie miss Amelia, zbita z tropu tym, że wedle swego zwyczaju powiedziała znów coś niewłaściwego.

Ma się rozumieć, że i Becky stała się tęższa w sobie — i mniej płochliwa. Na to już nie było rady. Ona też brała udział w wątku tajemniczej baśni. Miała dwa sienniki, dwie poduszki, mnóstwo kołder, a każdego wieczora dostawała ciepłą kolację i mogła siadywać na poduszkach przed kominkiem. Bastylia gdzieś znikła, więźniowie przestali istnieć — na ich miejsce pojawiły się dwa dzieciaki, zadowolone z siebie i opływające we wszystko. Czasem Sara czytała na głos rozdziały ze swych książek, czasem odrabiała lekcje, czasami znów wpatrywała się w ogień na kominku i starała się odgadnąć, kim być mógł jej przyjaciel; pragnęła powiedzieć mu niejedną z tych rzeczy, które kryły się w jej serduszku.

Pewnego dnia zdarzył się nowy niezwykły wypadek. Do bramy domu podszedł jakiś człowiek, przynosząc kilka zawiniątek. Na wszystkich był wielkimi literami wypisany adres: „Dla dziewczynki w prawym pokoiku na poddaszu”.

Sara, którą posłano, by otworzyć posłańcowi, odebrała te zawiniątka i położyła na stole w hallu. Właśnie, gdy przyglądała się adresowi, nadeszła miss Minchin.

— Zanieś te paczki tej panience, do której one należą — odezwała się surowo, widząc Sarę. — Nie przypatruj się im tak długo!

— One do mnie należą — odpowiedziała spokojnie.

— Do ciebie? — zawołała miss Minchin. — Cóż ci przyszło do głowy?

— Nie wiem, kto mi je przysłał — odpowiedziała Sara. — W każdym razie adresowane są do mnie. Ja mieszkam w prawym pokoiku na poddaszu. W lewym mieszka Becky.

Miss Minchin podeszła ku niej i w podnieceniu przyjrzała się zawiniątkom.

— Co w nich jest? — zapytała ostro.

— Nie wiem — odparła Sara.

— Otwórz je — rozkazała miss Minchin.

Sam spełniła rozkaz. Gdy rozpakowała wszystkie zawiniątka, na twarzy miss Minchin odmalował się nagle wyraz niesłychanego zdumienia. Oto bowiem ujrzała cały stos eleganckiej i wygodnej odzieży — i to najróżniejszego rodzaju. Prócz sukienek były tam buciki, pończochy, rękawiczki oraz ciepły i piękny płaszcz; nie brakowało nawet wytwornego kapelusika i parasolki. Wszystko było w najlepszym gatunku i bardzo kosztowne. Na kieszeni płaszcza była przyszpilona karteczka z następującymi słowami: „Proszę nosić na co dzień. W razie potrzeby przyśle się nowe”.

Miss Minchin była w najwyższym stopniu podniecona. To zdarzenie rozbudziło dziwne myśli w jej chciwej duszy. Oto czyż nie było możliwe, że popełniła omyłkę co do Sary? Kto wie, może to opuszczone dziecko ma jakiegoś możnego, choć zdziwaczalego opiekuna — może nieznanego wpiery krewniaka, który nagle wyszedł miejsce jej pobytu i dopomaga jej tym tajemniczym i fantastycznym sposobem? W świecie trafiają się czasem wielcy dziwacy — są nimi zwłaszcza bogaci, a nieżonaci wujowie, którzy nie lubią mieć dzieci koło siebie i wołają z pewnej odległości troszczyć się o los swych młodych krewniaków. Ludzie tacy są na pewno w gorącej wodzie kąpani i obraźliwi. Nie byłoby więc rzeczą przyjemną, gdyby taki człowiek miał się dowiedzieć całej prawdy o cienkich, podartych sukienkach, marnym odżywianiu się i ciężkiej harówce swej pupilki. Zrobiło się jej kwaśno i nieswojo. Spojrzała spod oka na Sarę.

— No, no — przemówiła głosem, jakiego nie używała od czasu, gdy Sara straciła ojca. — Ktoś okazał się dla ciebie nader uprzejmy. Ponieważ przysłano ci te rzeczy, a masz dostać nowe, gdy się te zedrą, więc pozwalam ci się przebrać, żebyś wyglądała przyzwoicie. Gdy się przebierzesz, możesz zejść na dół i odrabiać lekcje w klasie. Nie pójdziesz już dzisiaj po sprawunki.

W pół godziny potem, gdy otworzyły się drzwi sali szkolnej i ukazała się w nich Sara, wszystkie dziewczynki aż oniemiały ze zdumienia.

— Słowo daję! — zawołała Jessie, trącając Lawinię w łokieć. — Księżniczka Sara.

Lawinia obejrzała się — i stanęła w pąsach.

Istotnie Sara wyglądała na księżniczkę — jak nie wyglądała już od dawnego czasu. Nie przypominała tej Sary, którą przed paroma godzinami widziano schodzącą na dół kuchennymi schodami. Była

ubrana w sukienkę podobną do tych, jakich zwykła jej dawniej zazdrościć Lawinia — przepysznie skrojoną, o żywych i pięknie dobranych kolorach. Jej drobne nóżki wyglądały tak, jak wtedy, gdy podziwiała je Jessie, a włosy, do niedawna rozczochrane, były teraz przewiązane aksamitną wstążką.

— Może ktoś jej zapisał wielki majątek — szepnęła Jessie. — Zawsze przeczuwałam, że ona czegoś podobnego się doczeka. Ona jest dziewczynką tak niepospolitą.

— Może znowu gdzieś się pojawiły jakieś kopalnie diamentów — zadrwiła Lawinia. — Nie wpatruj się w nią, jak sroka w kość, bo się jej jeszcze w głowie przewróci.

— Saro — rozległ się poważny głos miss Minchin. — Chodź i usiądź tutaj.

Wszystkie dziewczynki rozwarły oczy szeroko i jęły trącać się łokciami, nie starając się nawet ukrywać zaciekawienia, gdy Sara zasiadła na dawnym honorowym miejscu i zagłębiła się w książkach.

Wieczorem udała się do swego pokoiku i zjadła kolację w towarzystwie Becky, po czym usiadła i w zamyśleniu wpatrywała się w ognisko.

— Cy panienska se cosik ozmyśla nowego? — zagadnęła ją Becky przymilnie. Gdy Sara siedziała w milczeniu i marzącymi oczyma wpatrywała się w ogień, było to zazwyczaj oznaką, że obmyśla sobie nowe jakieś opowiadanie. Ale tym razem tylko potrząsnęła głową przecząco.

— Nie — odpowiedziała. — Zastanawiałam się nad tym, jak mam postąpić.

Becky patrzyła na nią z szacunkiem. Żywiła wielką cześć dla każdego jej słowa i postępuku.

— Nie mogę się opędzić od myśli o moim przyjacielu — wyjaśniła Sara. — Jeśli on pragnie zachować sekret co do swej osoby, byłoby niegrzecznością dociekać, kto to taki. Jednakże pragnęłabym mu powiedzieć, jak jestem mu wdzięczna i jak szczęśliwą mnie uczynił. Chciałabym... chciałabym...

Przetwała, gdyż w tej chwili wzrok jej padł na przedmiot, stojący na stoliku w kącie. Znajdował się on tu może od dwóch dni. Była to mała teczka, zawierająca papier, koperty, pióra i atrament.

— Och! Że mi też to wcześniej na myśl nie przyszło! — zawołała.

Wstała, podeszła do kąta i przyniosła teczkę.

— Napiszę do niego — zawołała radośnie — i zostawię list na stole. Ta osoba, która sprząta ze stołu, zabierze pewno i ten list. Nie będę o nic prosiła, a za podziękowanie z pewnością się nie obrazi.

List, który napisała Sara, miał brzmienie następujące:

Sądzę, że Pan się nie obrazi, że piszę do Niego, mimo że Pańskim życzeniem jest zachowanie sekretu. Proszę mi wierzyć, że nie



chcę być niegrzeczna i nie staram się niczego śledzić. Pragnę tylko Panu podziękować za tak wielką dla mnie łaskawość, która wszystko w moim życiu czyni podobnym do jakiejś baśni czarnoksięskiej. Jestem Panu bardzo wdzięczna — i taka szczęśliwa! Również i Becky jest niezmiernie wdzięczna i szczęśliwa — wszystko wydaje się jej równie piękne i dziwne, jak mnie samej. Byłyśmy dawniej tak osamotnione, zziębnięte i zgłodniałe, a teraz... Ile dobrego Pan dla nas zrobił! Niech mi będzie wolno powiedzieć choć te słowa. Czuję, że powinnam je powiedzieć. Dziękuję — dziękuję — dziękuję — bardzo dziękuję!

*Dziewczynka z pokoiku na poddaszu*

Nazajutrz położyła ten liścik na małym stoliku. Wieczorem już go nie znalazła. Wiedziała więc, że czarodziej list otrzymał! Sama ta myśl uszczęśliwiła ją niewymownie.

Przed udaniem się na spoczynek czytała Becky jedną z ofiarowanych książek, gdy nagle uwagę jej przykuł jakiś szmer koło okna. Podniósłszy oczy znad książki, spostrzegła, że i Becky ten szmer musiała postyszeć — gdyż zadarła głowę do góry i nadśluchiwała z niepokojem.

— Coś tam łązi, prose panienki! — szepnęła.

— Tak jest — odpowiedziała Sara z namysłem. — Tak coś zaszeleściło, jakby jakiś kot usiłował wejść na poddasze.

Wstała z krzesła i podeszła do okna. Szmer, który słyszała, przypominał lekkie skrobanie. Sara naraz uprzytomniła coś sobie — i roześmiała się. W pamięci stanął jej mały, zabawny intruz, który już raz wtargnął na to poddasze. Właśnie tego dnia po południu widziała go, jak z niepokieszoną miną siedział na stole przed jednym z okien sąsiedniej kamienicy.

— A nuż to małpka znowu uciekła? — szepnęła ucieszona. — O, gdyby tak było!

Stała na krześle, z wielką ostrożnością podniosła okno i wyjrzała na dwór. Dzień był śnieżysty — a na śniegu pokrywającym cały tuż nieopodal kulila się mała, dygocąca postać, której drobna, czarna twarzyczka zmarszczyła się żałośnie na widok Sary.

— To małpka! — zawołała Sara. — Wymknęła się z poddasza, gdzie mieszka laskar [\[122\]](#) i przyszła tutaj, zwabiona światłem.

Becky podbiegła ku oknu.

— Czy panienka wpuści ją do pokoju? — zapytała.

— Tak jest — odpowiedziała Sara. — Małpy są bardzo delikatne i w taką pogodę nie mogą pozostawać na dworze. Zaraz ją tu przywabię.

Wyciągnęła ostrożnie rękę, przemawiając wabiącym głosem — jakim przemawiała do wróbli i do Melchizedecha — jak gdyby sama była małym zwierzątkiem, rozumiejącym lęk i dziki niepokój zwierzęcego serduszka.

— Chodź-no, chodź, małpeczko kochana — wołała. — Ja ci nic złego nie zrobię!

Małpa czuła prawdziwość jej zapewnień — jeszcze zanim Sara położyła miękka, pieszczoty pełną

dłoń na jej grzbiecie i przygarnęła do siebie niebogę. Zwierzątko, które zaznało już ludzkiej dobroci w zręcznych, smagłych rękach Ram Dassa, nie bało się rąk Sary; pozwoliło się przenieść przez okno, a gdy znalazło się w jej ramionach, przytuliło się do jej piersi i patrząc w oczy dziewczynce, zaczęło bawić się puklem jej włosów.

— Grzeczna małpka! Grzeczna małpka! — zamruczała Sara, całując ją w śmieszny łebek. — Ach, jak ja lubię małe zwierzątka!

Małpka najwidoczniej ucieszyła się, że ją przyprowadzono do ciepłego ogniska, a siedząc na kolanach Sary, patrzyła z uznaniem i zaciekawieniem to na nią, to na Becky.

— Prawda, panienko, że ona nie bardzo ładna? — odezwała się Becky.

— Podobna do bardzo brzydkiego dzieciaka — zaśmiała się Sara. — Przepraszam cię, małpeczko, ale bardzo się cieszę, że nie jesteś dzieckiem. Twoja mamusia nie byłaby z ciebie dumna, a nikt nie ośmieliłby się powiedzieć, że jesteś podobna do kogoś z krewnych. Ale ja cię lubię mimo wszystko!

Rozsiadła się w krześle i zamyśliła się.

— Jej pewno przykro, że jest taka brzydka... i to nie daje jej spokoju. Ciekawe, czy ona o czymś myśli? Małpko, czy ty umiesz myśleć?

Małpka nic nie odpowiedziała, tylko poskrobała się łapką w głowę.

— Co tyz panienka zrobi z tą małupą? — zapytała Becky.

— Przenocuję ją w moim pokoju, a jutro odniosę ją do *pana z Indii*. Przykro mi będzie rozstać się z tobą, małpeczko, ale cóż robić? Powinnas wrócić na łono rodziny... a ja nie jestem tobie ani bratem, ani swatem.

Kładąc się do łóżka, usłała koło swych nóg gniazdko dla przybysza. Małpka zwinęła się w kłębek i zasnęła jak małe dzieciątko, wielce zadowolona ze swej kwatery.

## „Oto jest to dziecko”

Dnia następnego trzej członkowie Dużej Rodziny siedzieli w bibliotece *pana z Indii* starając się w miarę możliwości rozweselić go rozmową. Pan Carrisford zaprosił ich dzisiaj umyślnie. Od dłuższego czasu żył w wielkiej niepewności i oczekiwaniu, a dziś właśnie z ogromną niecierpliwością oczekiwał pewnego zdarzenia.

Zdarzeniem tym był powrót pana Carmichaela z Moskwy. Jego pobyt w tym mieście przewlekał się z tygodnia na tydzień. Gdy tam przybył po raz pierwszy, wszystkie jego poszukiwania spełzły na niczym. W końcu udało mu się dowiedzieć na pewno o miejscu zamieszkania owej rodziny; gdy jednak tam zaszedł, służba oznajmiła mu, że państwo wybrali się w podróż. Wszelka pogoń za nimi okazała się bezcelowa, przeto pan Carmichael zdecydował się pozostać w Moskwie aż do ich powrotu.

Pan Carrisford siedział w swym wielkim fotelu, a jego faworytka Janet zajęła miejsce na podłodze koło niego. Nora usadowiła się na jednym z podnóżków, a Donald wskoczył na tygrysi łeb, wznoszący się ponad rozpostartą na ziemi skórą tego zwierza i jeździł na nim dość hałaśliwie.

— Nie rób takich krzyków, Donaldzie — upomniała go Janet. — Gdy przychodzisz w odwiedziny do osoby chorej, nie powinienesz jej zabawiać głosem tak przeraźliwym. Proszę pana, czy on nie bawi się zbyt głośno?

Pan Carrisford poklepał ją po ramieniu.

— Nie, nie — odpowiedział. — Niech się bawi. To mnie odrywa od smutnych myśli.

— Właśnie się uciszam — wrzasnął Donald. — Będziemy się wszyscy sprawowali cicho jak myszki.

— Myszki nie robią takiego hałasu! — zauważyła Janet.

Donald zrobił sobie uzdę z chusteczki do nosa i jął podskakiwać na karku tygrysim, jak na koniu.

— Owszem, zrobiłyby taki hałas, gdyby ich było dużo... na przykład tysiąc — odpowiedział z wesołym uśmiechem.

— O, chyba pięćdziesiąt tysięcy! — rzekła Janet z surową miną: — a my powinniśmy się zachowywać tak cicho, jak gdyby tu była tylko jedna myszka.

Pan Carrisford zaśmiał się i znów poklepał ją po ramieniu.

— Tatuś powinien tu przybyć już niezadługo — rzekła Janet. — Może teraz porozmawiamy o zaginionej dziewczynce?

— Zdaje mi się, że nie potrafiłbym teraz mówić o niczym innym — odpowiedział pan Carrisford, marszcząc czoło w smutku.

— My tak ją lubimy! — zawołała Nora. — Nazywamy ją *księżniczką nie z bajki*.

— Czemuż to tak? — zaciekawiał się pan Carrisford; lubił się przysłuchiwać różnym powiedzonkom dziecięcym, bo odrywały go one od innych myśli...

— A dlatego — odpowiedziała Janet — że choć nie jest postacią z bajki, to jednak, gdy ją odnajdziemy, będzie tak bogata jak księżniczka.

— Czy to prawda — spytała Nora — że jej tatuś powierzył wszystkie swoje pieniądze jakiemuś przyjacielowi, który miał kopać diamenty... i że ten przyjaciel potem uciekł, myśląc, iż stracił wszystkie te pieniądze, i uważając się za złodzieja?

— Ale wiesz przecie, że nie był złodziejem — wtrąciła Janet pospiesznie.

Pan Carrisford chwycił skwapliwie jej rękę.

— Tak jest, on nie był złodziejem — powtórzył.

— Bardzo mi żal tego przyjaciela — rzekła Janet. — On przecież nie działał w złej wierze... a jestem przekonana, że teraz bardzo boleje nad tym, co się stało.

— Rozumna z ciebie kobietka, Janet — odpowiedział pan Carrisford, tuląc do siebie jej rękę.

— A czy opowiadałaś panu o dziewczynce, która nie zebrze? — pisnął znowu Donald. — Czy pan wie, że ona ma nową, ładną sukienkę? Może ona też zaginęła, a teraz ją ktoś odnalazł?

— Dorożka! — zawołała Janet. — Staje przed bramą. To tatuś!

Wszyscy troje podbiegli ku oknu, by się przyjrzeć.

— Tak, to tatuś! — oznajmił Donald. — Ale przy nim nie ma dziewczynki.

Cała trójka, nie tracąc chwili czasu, wybiegła z pokoju i pędem wpadła do hallu. W ten sposób zawsze witali ojca. Słysząc było, jak podskakiwali, klaskali w ręce, wśród gwarów i pocałunków.

Pan Carrisford próbował wstać, ale siły odmówiły mu posłuszeństwa.

— Nic z tego! — rzekł, siadając w fotelu. — Jestem człowiekiem złamanym i bezsilnym!

Pod drzwiami rozległ się głos pana Carmichaela:

— Nie, moje dzieci! Przyjdziecie później, gdy porozmawiam z panem Carrisfordem. Idźcie pobawić się z Ram Dassem.

Drzwi otworzyły się i wszedł pan Carmichael. Był bardziej jeszcze rumiany, niż dawniej i wniósł z sobą atmosferę młodości i zdrowia; lecz przy przywitaniu oczy jego zasły chmurą smutku i niepokoju, spotkawszy się z pytającym wzrokiem chorego.

— Jakie wieści? — zagadnął go pan Carrisford. — Cóż z tym dzieckiem, adoptowanym przez Rosjan?

— Nie jest to dziecko, którego szukamy — odpowiedział pan Carmichael. — Ono jest znacznie młodsze niż córeczka kapitana Crewe. Widziałem to dziecko i rozmawiałem z nim, a ci Rosjanie udzielili mi wszelkich potrzebnych informacji. Imię tej dziewczynki brzmi Emilia Carew.

Dłoń pana Carrisforda wysunęła się z dłoni pana Carmichaela, a na jego twarzy pojawiło się piętno udręczeń i zmęczenia.

— Trzeba więc rozpocząć nowe poszukiwania — westchnął. — Cóż robić! Ale proszę usiąść.

Pan Carmichael usiadł. W ciągu dłuższej znajomości z tym człowiekiem nabrał wielkiego przywiązania. Sam był taki zdrowy i szczęśliwy, otoczony taką radością i miłością, że samotność i utrata zdrowia wydawały mu się czymś wprost nie do zniesienia; gorszą zaś rzeczą musiała być owa trapiąca myśl o krzywdzie, którą wyrządził dziecku, porzuconemu na łaskę losu gdzieś w świecie.

— No, no, proszę się nie martwić — rzekł pogodnym głosem. — Jeszcze uda się nam ją znaleźć.

— Musimy zająć się tym niezwłocznie. Nie należy tracić czasu — niecierpliwiał się pan Carrisford. — Czy mógłbyś mi podsunąć jakąś nową radę?

Pan Carmichael wstał i zaczął wielkimi krokami przechadzać się po pokoju. Twarz miał zamyśloną, ale niespokojną i niepewną.

— Mam jedną myśl, ale nie wiem, czy z niej co będzie. Przyszła mi do głowy, gdy jechałem pociągiem z Dover.

— Jaka to myśl? Jeżeli dziecko żyje, to musi się gdzieś znajdować.

— Tak właśnie. Szukaliśmy jej w szkołach paryskich. Dajmy teraz spokój Paryżowi i zacznijmy szukać w Londynie. Oto mój pomysł.

— W Londynie jest wiele szkół! — odrzekł pan Carrisford; naraz poruszył się żywiej, jakby tknięty jakimś wspomnieniem — Ot, na przykład jedna znajduje się w sąsiedniej kamienicy.

— Od niej więc zaczniemy. Bliżej już zaczynać niepodobna[123]!

— Nie-e! — rzekł smutno pan Carrisford. — Przebywa tam wprawdzie jedna dziewczynka, którą się interesuję... ale ona nie jest uczennicą. Jest to mała, zasmolona i zaniedbana istotka, zupełnie niepodobna do nieboszczyka Crewe.

W tej chwili zapewne czarodziej znów wziął się do pracy, by spełnić nowy cud. Bo jakże inaczej wytłumaczyć, że gdy pan Carrisford domawiał ostatnich słów, na progu pokoju ukazał się Ram Dass, bijąc korne pokłony, a jednocześnie z trudnością tłumiąc iskierkę wielkiego wzruszenia, migocącą w jego czarnych oczach?

— Sahibie[124] — przemówił — to dziecko samo tu przyszło... Mówię o dziewczynce, którą sahib raczył się zaopiekować. Przyniosła małą, która uciekła do jej pokoiku na poddaszu. Poprosiłem tę dziewczynkę, żeby zaczekała... bo przyszło mi do głowy, że sahib miałby ochotę ją ujrzeć i z nią porozmawiać.

— Któż to taki? — zapytał pan Carmichael.

— Przyznam się, że nie wiem dokładnie — odparł pan Carrisford. — Jest to właśnie ta dziewczynka, o której mówiłem. Taka sobie posługaczka w szkole.

Skinął ręką na Ram Dassa.

— Dobrze! Miło mi będzie ją zobaczyć. Przyrowadź ją tutaj.

Po czym zwrócił się do Carmichaela.

— Podczas twej nieobecności — zaczął opowiadać — dni tak były posępne i tak mi się dłużyły, że byłem wprost zrozpaczony. Ram Dass opowiadał mi o nieszczęśliwej doli tej dziewczyny... i we dwójkę ułożyliśmy romantyczny plan przyjscia jej z pomocą. Pomysł to był zapewne dziecinny... ale przynajmniej miałem czym się rozerwać. Jednak bez pomocy Ram Dassa, który, jako syn Wschodu, jest człowiekiem zręcznym i sprytnym, nie działałbym niczego.

Do pokoju weszła Sara, niosąc małą, która skrzeczała i trzymała się mocno jej ramion, jak gdyby nie miała zamiaru z nią się rozłączać.

— Pańska mała uciekła — rzekła Sara, rumieniąc się z radości, iż znalazła się w pokoju *pana z Indii*. — Zeszłej nocy podeszła do mojego okna na poddaszu, a ja wzięłam ją do siebie, bo tak zimno było na dworze! Odniosłabym ją natychmiast, gdyby nie było tak późno. Wiedziałam, że jest pan chory, więc nie chciałam robić ambarasu[125].

Pan Carrisford spojrział na nią z zaciekawieniem.

— Bardzo to ładnie z twojej strony — rzekł.

Sara spojrzała w stronę Ram Dassa, stojącego nieopodal.

— Czy mam ją oddać laskarowi[126]? — zapytała.

— A skąd ty wiesz, że to laskar? — zapytał *pan z Indii*, uśmiechając się.

— O, ja widywałam laskarów! — odpowiedziała Sara, oddając małą, pomimo całego jej oporu.  
— Przecież urodziłam się w Indiach.

Pan Carrisford wyprostował się tak nagle i tak zmienił się na twarzy, że Sara aż się przestraszyła.

— Urodziłaś się w Indiach? — zawołał. — Podejdź tu do mnie!

Wyciągnął do niej rękę. Sara podeszła ku niemu i podała mu swoją, gdyż domyślała się, że tego pragnął. Stała spokojnie, wpatrując się weń ze zdziwieniem swymi zielonymi oczyma. Widziała, że w jego duszy działo się coś nie dającego się wytłumaczyć.

— Zdaje mi się, że mieszkasz w sąsiedniej kamienicy — przemówił do niej.

— Tak jest; mieszkam w szkole miss Minchin.

— Ale nie jesteś jej uczennicą?

Dziwny uśmiezek zaigrał na ustach Sary. Zawahała się przez chwilę.

— Doprawdy nie wiem sama, czym jestem — odparła.

— Czemu?

— Dawniej byłam uczennicą... nawet szczególnie wyróżnianą... ale teraz...

— Byłaś uczennicą?... A czym teraz jesteś?

Dziwny, smętny uśmiezek znów pojawił się na ustach Sary.

— Teraz sypiam na poddaszu, tuż obok pomywaczki. Chodzę za sprawunkami [\[127\]](#) dla kucharki, spełniając każde jej polecenie... i pomagam w lekcjach młodszemu dziewczynkom.

— Pytaj ją o resztę szczegółów, Carmichael! — jęknął pan Carrisford, opadając bezsilnie w fotel. — Pytaj ją... ja już nie potrafię.

Miły ojczulek Dużej Rodziny z własnej praktyki umiał rozmawiać z dziećmi. Sara przekonała się o tym słysząc jego pytanie, wypowiedziane uprzejmym, zachęcającym głosem:

— Powiedziałaś, że *dawniej* byłaś uczennicą. Kiedy to było, moje dziecko?

— Gdy tatuś przywiózł mnie tutaj.

— A gdzie teraz jest twój tatuś?

— Umarł — odpowiedziała Sara z wielkim spokojem. — Stracił cały majątek i nie zostawił mi ani szeląga. Nie miał kto się mną zająć... ani płacić miss Minchin za moją naukę.

— Carmichael! — zawołał boleśnie *pan z Indii*. — Carmichael!

— Nie trzeba jej zbijać z tonu! — szepnął doń cicho pan Carmichael, po czym rzekł głośno do Sary:

— A wtedy ciebie wygnano na poddasze i kazano ci być posługaczką? Czy nie tak było?

— Nie miał się mną kto zająć — odpowiedziała Sara. — Nie było pieniędzy. Nie mam rodziny.

— W jaki sposób twój ojciec stracił majątek? — wtrącił się do rozmowy pan Carrisford, a słowa więzły mu w gardle.

— Nie stracił ich z własnej winy — odpowiedziała Sara, z każdą chwilą bardziej zdumiona. — Miał przyjaciela, którego bardzo kochał... bardzo, bardzo kochał... i aż nazbyt mu wierzył. Ten przyjaciel zabrał pieniądze tatusia...

— Może ten przyjaciel nie miał zamiaru skrzywdzić twojego tatusia — odrzekł pan Carrisford, oddychając nierówno i prędko. — Może zaszła tu jakaś omyłka?

Sara nie zdawała sobie sprawy, jak bezlitośnie brzmiał jej spokojny głos; gdyby wiedziała, na pewno by postarała się złagodzić jego brzmienie.

— W każdym razie był to dla mego tatusia cios dotkliwy — odpowiedziała. — On to był przyczyną jego śmierci.

— Jak się nazywał twój ojciec?... Powiedz! — zawołał słabym głosem pan Carrisford.

— Nazywał się Ralf Crewe — odpowiedziała Sara, zaskoczona tym pytaniem. — Kapitan Crewe... Umarł w Indiach.

Chuda twarz chorego skurczyła się w bólu. Ram Dass pospieszył do boku swego pana.

— Carmichael! — mdlejącym głosem szepnął chory. — Oto jest... oto jest to dziecko!

Sara przez chwilę myślała, że on już umiera. Ram Dass nalał do szklanki parę kropel z jakiejś butelki i przytknął ją do ust pana. Sara stanęła w pobliżu, drżąc i spoglądając niespokojnym wzrokiem na pana Carmichaela.

— Jakie dziecko?... Co to znaczy? — wyjąkała.

— Pan Carrisford był przyjacielem twojego ojca — odpowiedział pan Carmichael. — Nie bój się niczego. Szukaliśmy cię już od dwóch lat.

Sara przyłożyła rękę do czoła, a wargi jej się trzęsły.

— A ja przez cały ten czas byłam u miss Minchin — szepnęła głucho, jak we śnie. — Tuż za ścianą...



„Staralam się być nią zawsze”

Rozwikłaniem całej sytuacji zajęła się miła i zacna pani Carmichael. Posłano zaraz po nią, a ona przybyła niezwłocznie, by przygarnąć Sarę w ciepłe objęcia i wyjaśnić jej, co się stało. Wrażenie, wywołane nieoczekiwanym zgoła odkryciem, odbiło się bardzo na stanie zdrowia pana Carrisforda. Proszono więc Sarę, by odeszła do drugiego pokoju, ale pan Carrisford sprzeciwił się temu:

— Słowo daję — rzekł słabym głosem do pana Carmichaela — czuję się tak dobrze... a nie chciałbym tracić jej z oczu.

— Ja się nią zaopiekuję — oświadczyła Janet — a mamusia przyjdzie za parę minut.

I wyszła razem z Sarą do drugiego pokoju.

— My tak się cieszymy, żeś się znalazła! — rzekła do Sary. — Nie masz pojęcia, jak się cieszymy.

Donald stał z rękami w kieszeni i wpatrywał się w Sarę oczyma pełnymi rozwagi i skruchy. W końcu rzekł:

— Szkoda, że nie zapytałem cię o nazwisko, gdy dawałem ci sześć pensów... Gdybyś powiedziała, że się nazywasz Sara Crewe, znaleźlibyśmy cię od razu.

Za chwilę przyszła pani Carmichael; na jej twarzy było widać wielkie wzruszenie. Chwyciła Sarę w objęcia i ucałowała ją gorąco.

— Wydajesz mi się przerażona tym wszystkim, moje biedne dziecko! — odezwała się. — Ale nie ma czemu się dziwić.

Sarę nurtowała w tej chwili jedna myśl.

— Proszę mi powiedzieć — rzekła, rzucając wzrokiem na zamknięte drzwi biblioteki — proszę mi powiedzieć... czy to ten pan... był owym niedobrym przyjacielem?

Pani Carmichael, płacząc, ucałowała ją znowu. Czowała, że powinna często całować tę dziewczynkę, która od dawna nie zaznała pocałunków.

— On nie był tak zły, jak myślisz, moje dziecko — odpowiedziała. — Mylisz się, sądząc, że on zaprzepścił pieniądze twojego ojca. On sam początkowo też tak sądził... a ponieważ bardzo kochał twojego tatusia, więc ze strapienia tak się rozchorował, że przez pewien czas prawie odchodził od zmysłów. Dostał zapalenia mózgu, które o mało go nie przyprawiło o śmierć. Zanim zaczął wracać do zdrowia, tatuś twój już nie żył.

— Jak to? On nie wiedział, gdzie mnie szukać? — mruknęła Sara. — Przecież byłam tak blisko!

— Myślał, że znajdujesz się w szkole we Francji — wyjaśniła pani Carmichael. — Różne mylne poszlaki ustawicznie wprowadzały go w błąd. Szukał cię wszędzie, gdzie tylko mógł. Gdy widział,

jak przechodziłaś taka zaniedbana i smutna, nawet przez myśl mu nie przeszło, że możesz być córką jego przyjaciela. Ponieważ jednak widział w tobie małą biedną dziewczynkę, przeto współczuł ci bardzo i pragnął przyjść ci z pomocą. Namówił więc Ram Dassa, żeby wchodził cichaczem do twego pokoiku na poddaszu i starał się zapewnić ci jak największe wygody.

Posłyszawszy tę wiadomość, Sara zmieniła się na twarzy i wydała okrzyk radosny:

— To Ram Dass przynosił mi to wszystko? A ten pan polecił Ram Dassowi, żeby to robił? A więc to jemu zawdzięczam ten sen na jawie?

— Tak, moja droga, tak! To człowiek zacny i dobry, więc współczuł ci, mając w pamięci zaginioną Sarę Crewe.

Drzwi biblioteki otwarły się i ukazał się w nich pan Carmichael, skinieniem przywołując Sarę.

— Pan Carrisford już czuje się lepiej i pragnie widzieć się z tobą.

Sara nie ociągała się. Gdy weszła do biblioteki, pan Carrisford zobaczył, iż twarz miała rozpromienioną.

Stała przed jego fotelem, splótłszy ręce na piersi.

— To pan mi przysyłał tyle ładnych rzeczy? — zapytała radosnym, drżącym od wzruszenia głosem.

— To pan...?

— Tak, moje drogie dziecko, to ja — odpowiedział pan Carrisford, spoglądając na nią tym wzrokiem, jaki spotykała w oczach ojca, wzrokiem, w którym lśniła ojcowska miłość oraz chęć przygarnięcia jej do serca. Uklękła przy nim, jak klękła koło ojca, gdy oboje byli dla siebie najdroższymi w świecie przyjaciółmi.

— A więc to pan był moim przyjacielem — mówiła do niego — to pan był moim przyjacielem!

Przycisnęła policzek do jego chudej ręki i pocałowała ją kilkakrotnie.

— Za trzy tygodnie będzie zdrów jak ryba! — rzekł pan Carmichael półgłosem do swej żony. — Przyjrzyj się jego twarzy.

Istotnie, pan Carrisford zmienił się ogromnie. Miał przy sobie *małą jejmość*, a w głowie już mu się roily inne myśli i projekty.

Przede wszystkim trzeba było rozmówić się z miss Minchin i oznajmić jej, jakie zmiany zaszły w losach jej byłej uczennicy. Misję tę przyjął na siebie pan Carmichael, albowiem pan Carrisford silnie obstawał przy tym, by Sara nie wracała już do szkoły miss Minchin.

— Owszem, cieszę się z tego, że nie muszę tam wracać — zgodziła się Sara. — Uniknę gniewu miss Minchin. Ona mnie nie lubi... co zresztą może moją jest winą, gdyż i ja niezbyt ją lubię.

Jednakże misja pana Carmichaela okazała się całkiem zbyteczna, gdyż dziwnym trafem w tejże chwili nadeszła we własnej osobie sama miss Minchin. Poszukując Sary, którą chciała zaprząć do jakiejś roboty, posłyszała wieść wręcz oszałamiającą. Jedna z pokojówek ją widziała, jak Sara wymknęła się chyłkiem przez podwórze, niosąc jakiś przedmiot ukryty pod płaszczkiem; potem zaś widziano, jak wyszła na schodki sąsiedniej kamienicy i weszła do jej wnętrza.

— Czegóż ona tam chciała? — krzyknęła miss Minchin.

— Nie wiem, siostrzyczko — odpowiedziała miss Amelia. — Może się zaprzyjaźniła z tym panem, jako że i on mieszkał w Indiach.

— Tak, pewno mu się narzuca i stara się pozyskać jego sympatię swą natarczywością! To do niej podobne! — sarknęła miss Minchin. — Powinna już od dwóch godzin być w domu. Nie pozwolę na takie wybryki. Pójdę, zbadam sprawę i przeproszę tego pana za jej natręctwo.

Gdy Ram Dass zaanonsował przybyłą, Sara siedziała na podnóżku przy kolanach pana Carrisforda i przysłuchiwała się dawanym przezeń różnym wyjaśnieniom spraw minionych. Posłyszawszy nazwisko przełożonej, powstała odruchowo i nieco pobladła — poza tym jednak pan Carrisford nie dostrzegł na jej twarzy żadnych objawów dziecięcej trwogi.

Miss Minchin weszła z miną poważną i dostojną. Była chłodno ugrzecznioma i ubrana wytwornie.

— Przepraszam, że niepokoję pana, panie Carrisford — odezwała się — muszę jednak wytłumaczyć rzecz całą. Jestem miss Minchin, właścicielka żeńskiego zakładu wychowawczego w sąsiedniej kamienicy.

Pan Carrisford przyglądał się jej przez chwilę badawczo, nie mówiąc ani słowa. Był człowiekiem z natury porywczym i chciał utrzymać na wodzy swe usposobienie.

— Więc to pani jest miss Minchin? — zapytał.

— Ja, szanowny panie.

— W takim razie — odpowiedział pan Carrisford — przybywa pani w samą porę. Mój doradca prawny, pan Carmichael, właśnie wybierał się z wizytą do pani.

— Pański doradca prawny? — zdziwiła się wielce, spoglądając to na pana Carrisforda, to na pana Carmichaela, który skłonił się jej lekko. — To jakieś nieporozumienie. Przybyłam tu w sprawie, nakazanej mi przez mój obowiązek. Dowiedziałam się, że jedna z moich uczennic... trzymana tylko z łaski w mej szkole... ośmieliła się nachodzić szanownego pana w jego własnym mieszkaniu. Przyszłam wyjaśnić, że ona tu wtargnęła bez mojej wiedzy.

Następnie zwróciła się do Sary:

— Ruszaj mi zaraz do domu! — rozkazała z oburzeniem. — Będziesz surowo ukarana! Ruszaj do domu!

*Pan z Indii* przyciągnął Sarę do swego boku i pogłaskał ją po ręce.

— Ona stąd nie pójdzie! — oświadczył.

Miss Minchin myślała, że postrada zmysły.

— Nie pójdzie? — powtórzyła.

— Nie! — odrzekł pan Carrisford. — Ona nie pójdzie do domu... jeżeli pani tę nazwę nadaje swej uczelni... Jej domem będzie odtąd moje mieszkanie.

Miss Minchin aż się cofnęła parę kroków w świętym oburzeniu.

— Pańskie mieszkanie?... Pańskie mieszkanie?... Cóż to wszystko znaczy?

— Carmichael, bądź tak dobry i wyjaśnij całą sprawę — rzekł pan Carrisford. — A załatw to możliwie najprędzej.

Posadził Sarę z powrotem koło siebie i ujął w swą dłoń obie jej ręce — zupełnie jak to dawniej robił jej tatuś.

Pan Carmichael zaczął wyjaśniać całą sprawę spokojnym, zrównoważonym, stanowczym głosem, jaki cechuje człowieka, znającego swój przedmiot i całe jego prawne znaczenie. Miss Minchin, jako kobieta znająca się na interesach, zrozumiała ten ton i wcale nie była nim zachwycona.

— Pan Carrisford, trzeba szanownej pani wiedzieć, był serdecznym przyjacielem ś.p. kapitana Crewe oraz jego współnikiem w pewnym wielkim przedsiębiorstwie. Majątek, który kapitan Crewe uważał za stracony, udało się odzyskać. Znajduje się on obecnie w ręku pana Carrisforda.

— Majątek! — krzyknęła miss Minchin, blednąc jak ściana. — Majątek Sary?

— Tak, majątek Sary! — powtórzył pan Carmichael. — Dzięki pewnym wypadkom wzrósł wielokrotnie. Kopalnie diamentów odnaleziono.

— Kopalnie diamentów! — wykrztusiła miss Minchin. Tak okropnej wieści nie słyszała jeszcze w swym życiu.

— Tak, kopalnie diamentów! — powtórzył pan Carmichael i nie mógł się powstrzymać od tego, by nie dodać następującej uwagi, okraszzonej złośliwym nieco uśmiechem, zgoła nie licującym z zawodem prawnika: — Tak, proszę pani, mało która księżniczka będzie tak bogata jak Sara Crewe, którą pani nazywa swoją uczennicą, utrzymaną z łaski. Pan Carrisford szukał jej od dwóch lat bez mała, a ponieważ na koniec ją odnalazł, więc już nie puści jej od siebie.

I, poprosiwszy miss Minchin, by usiadła, jął[128] wyjaśniać jej szczegółowo rzecz całą, wykazując — zwięźle, ale wyczerpująco — że przyszłość Sary jest zabezpieczona i że stracony rzekomo majątek pomnożył się dziesięciokrotnie. Nie zapomniał też dodać, że odtąd pan Carrisford będzie nie tylko opiekunem, ale i przyjacielem Sary.

Miss Minchin nie była kobietą rozumną, a w podnieceniu zapomniała się tak dalece, że poczęła czynić rozpaczliwe wysiłki, by odzyskać to, co utraciła przez swą chciwość i zaślepienie.

— Sara była pod moją opieką — jęła perswadować. — Uczyniłam dla niej wszystko, co było w mej mocy. Gdyby nie ja, na pewno by zmarła z głodu na ulicy.

Tu już pan Carrisford stracił cierpliwość.

— Co się tyczy głodowania na ulicy — oburzył się — to może by ów głód był mniej dokuczliwy, niż ten, który cierpiała na poddaszu w domu pani.

— Kapitan Crewe powierzył ją mej opiece — sprzeciwiła się miss Minchin. — Musi więc pod nią pozostać, póki nie dojdzie do pełnoletności. Musi ukończyć edukację. Prawo ujmie się za mną.

— Niepotrzebnie pani się denerwuje — przerwał grzecznym tonem pan Carmichael. — Prawo zgoła nie wtrąca się do spraw tego rodzaju. Jeżeli Sara życzy sobie powrócić do pani, mam wrażenie, że pan Carrisford nie będzie miał nic przeciw temu. Ale zależy to tylko od Sary.

— Wobec tego — rzekła miss Minchin — odwołuję się do Sary. Przyznaję, że cię nie rozpieszczała — zwróciła się do dziewczynki — ale wiesz przecie, że tatuś był zadowolony z twych postępów w nauce. Poza tym... poza tym... ja zawsze cię bardzo lubiłam.

Sara utkwiała w niej swe zielone oczy — spoglądając tym spokojnym, jasnym wzrokiem, który miss Minchin szczególnie się nie podobał.

— Pani mnie lubiła? — odezwała się. — Nie wiedziałam.

Miss Minchin poczerwieniała i poprawiła się nieco w fotelu.

— Powinna byłaś o tym wiedzieć... niestety dzieci nigdy nie zdają sobie sprawy z tego, co dla nich najlepsze. Zawsześmy to mówiły, Amelia i ja, że jesteś najrozumniejszą dziewczynką w całej szkole. Czy nie spełnisz swej powinności względem tatusia i nie powrócisz ze mną do domu?

Sara zrobiła krok w jej stronę — i zatrzymała się. Przyszedł jej na myśl ów dzień, kiedy jej oznajmiono, że jest teraz dzieckiem bez opieki, któremu grozi wyrzucenie na ulicę. Przypomniała sobie te godziny spędzone o głodzie i chłodzie na poddaszu... sam na sam z Emilką i Melchizedechem. Spojrzała śmiało w oczy miss Minchin i rzekła:

— Pani wie doskonale, czemu nie mam ochoty iść z panią.

Gorący pąs oblał zawziętą, gniewną twarz przełożonej.

— Dobrze!... — syknęła. — Więc już nigdy nie zobaczysz swych koleżanek! Dopilnuję tego, by Ermengarda i Lottie...

Tu pan Carmichael znów przerwał jej — grzecznie, ale stanowczo:

— Pani wybacz... ale panna Crewe będzie się widywać, z kim tylko zechce. Rodzice jej koleżanek na pewno nie odrzucą zaprosin do domu jej opiekuna. Już w tym głowa pana Carrisforda.

Tu już miss Minchin poczuła się bezsilną i urażoną. Ten obrót sprawy przedstawiał się o wiele groźniej, niż ów domniemany nieżonaty wujaszek, który mógł mieć charakter zadzierzysty i łatwo by się czuł dotknięty, dowiedziawszy się o tym, jak postępowano z jego siostrzenicą. Kobieta o chciwym usposobieniu mogła bez trudu uwierzyć, że niewielu znalazłoby się takich ludzi, którzy by swoim dzieciom nie pozwolili bawić się z dziedziczką kopalni diamentów. A gdyby tak pan Carrisford zechciał opowiedzieć któremuś z ich opiekunów o tym, jak nieszczęśliwa była w swoim czasie Sara Crewe, mogłyby z tego wynikać różne nieprzyjemności...

— Niełatwej podjął się pan opieki! — rzuciła na odchodnym panu Carrisfordowi. — Przekona się pan o tym wkrótce. To dziecko nie umie być ani szczere, ani wdzięczne. Przypuszczam — zwróciła się do Sary — że teraz znowu czujesz się księżniczką.

Sara spuściła oczy i zarumieniła się z lekka, bo przyszło jej na myśl, że jej ulubione marzenie może początkowo być trudne do zrozumienia dla ludzi wprawdzie miłych, ale, bądź co bądź, jeszcze obcych.

— Staralam się być nią zawsze — odpowiedziała cichym głosem. — Staralam się nawet wtedy, gdy mi dokuczał największy głód i zimno.

— Teraz nie potrzebujesz się już starać — odpowiedziała kwaśno miss Minchin, gdy Ram Dass, wybijając pokłony, otworzył jej drzwi pokoju.

Wróciwszy do domu, udała się do swego gabinetu i natychmiast posłała po miss Amelię. Przesiedziała z nią całą resztę dnia, tak iż biedna miss Amelia przeżyła kilka kwadransów wielkiej męki wśród ciągłego ocierania łez, lejących się ciurkiem. Jedna z jej niefortunnych uwag oburzyła do żywego siostrę, ale odniosła skutek nieoczekiwany.

— Nie jestem tak mądra, jak ty, siostruniu — ozwała się mianowicie miss Amelia — i zawsze boję się coś ci powiedzieć, żeby nie pobudzić cię do gniewu. Gdybym nie była tak bojaźliwa, byłoby może lepiej i dla szkoły, i dla nas obu. Nieraz, przyznam ci się, myślałam, że byłoby lepiej, gdybyś była mniej surowa dla Sary i postarała się o to, by ona była przyzwoiciej ubrana i miała większe wygody. Wiem, że pracowała ciężko, ponad siły dziecięce... wiem, że była źle odżywiana...

— Jak śmiesz mówić coś podobnego! — krzyknęła miss Minchin.

— Nie wiem, skąd mi przyszła ta śmiałość — odpowiedziała Amelia, nie licząc się już z niczym — ale skorom zaczęła, to już skończę... i nie dbam o skutki. Sara była dziewczynką roztropną i dobrą... i odpłaciłaby ci się za wszelką uczynność, jakiej doznałaby z twej strony. Jednakże ty nigdy nie okazałaś jej serca. Nie lubiałaś jej, bo była dla ciebie zbyt inteligentna. Ona przenikała nas obie na wskroś...

— Amelio! — zdławionym od gniewu głosem krzyknęła starsza siostra.

Jednak miss Amelia tak się zaperzyła<sup>[129]</sup>, że nie zważała już na nic.

— Tak jest! Tak jest! — krzyknęła. — Ona widziała, co się dzieje w naszych duszach. Widziała, że ty jesteś nielitościwą, wyrachowaną kobietą... a ja słabą i nie grzeszącą rozumem istotą... i że obie mamy charakter do tego stopnia znieprawiony, iż gotowe byliśmy padać na kolana przed jej bogactwem, a odnosić się do niej źle, skoro wszystko straciła... chociaż zachowywała się jak księżniczka nawet wtedy, gdy była żebraczką. Ona naprawdę... naprawdę... wyglądała jak księżniczka...

Spazmy chwyciły biedaczkę. Zaczęła śmiać się i płakać na przemian, to znów kołysać się w tył i naprzód, wprawiając miss Minchin w osłupienie.

— A teraz już ją straciłaś — rozkrzyczała się znowu miss Amelia. — Przejdzie do innej szkoły... razem ze swoimi pieniędzmi... Gdyby to był kto inny, nie ona, zaraz by opowiedziała, jak się z nią tu obchodzono... a wówczas pozabierano by nam wszystkie uczennice i byłybyśmy zrujnowane. Dobrze się nam dostało... lecz tobie dostało się lepiej niż mnie, bo ty jesteś niedobrą kobietą, Mario... niedobrą, chciwą, samolubną!...

Szlochała przy tym tak rozpaczliwie i zawzięcie, że jej siostra — bojąc się, by się nie zaniósło na większą jeszcze wrzawę — była zmuszona podejść ku niej i podać jej sole rzeźwiące, zamiast wylewać na nią w dalszym ciągu strugi swego oburzenia.

Warto wiedzieć, że od tego czasu miss Minchin nabrała niejako szacunku dla młodszej siostry, która widocznie nie była tak głupia, jak się wydawało i umiała czasami wyróżnić ludziom w oczy niemiłą prawdę.

Wieczorem, gdy uczennice — jak zwykle o tej porze — zgromadziły się przed kominkiem w sali szkolnej, nagle pojawiła się między nimi Ermengarda z listem w ręku. Na pyzatej twarzy miała dziwny wyraz — w którym radość kojarzyła się z najwyższym zdziwieniem.

— Cóż to się stało? — zawołało kilka dziewczynek, patrząc na nią.

— Czy masz jaką wiadomość, co to za hałasy było słyhać w pokoju miss Minchin? — zapytała Lawinia. — Miss Amelia podobno dostała ataku hysterii i położyła się do łóżka.

Ermengarda odrzekła powoli, jakby była czymś ogłuszona:

— W tej chwili otrzymałam list od Sary.

I rozwinęła list przed ich oczyma, chcąc pokazać, jaki był długi.

— Od Sary? — wrzasnęły chórem dziewczynki.

— Gdzież ona przebywa? — przekrzyczała Jessie inne dziewczynki.

— W sąsiedniej kamienicy — odparła Ermengarda równie powoli. — U pana z Indii.

— Gdzie?... Gdzie?... Czy ją odprawiono?... Czy miss Minchin wie o tym?... Czy o to był ten hałas?... Co napisała?... Opowiadaj! Opowiadaj!

Powstała istna wieża Babel[130]. Lottie zaczęła płakać żałośnie.

Ermengarda cedziła każde słowo, jak gdyby rozpamiętując to, co w owej chwili wydawało się rzeczą najważniejszą i wyjaśniającą wszystko.

— Kopalnie diamentów były prawdą... istniały rzeczywiście!

Oczy i usta słuchaczek otwarły się szeroko.

— Tak, były naprawdę! — powtórzyła szybko. — Tylko że zdarzyła się jakaś omyłka, a pan Carrisford myślał, że są zrujnowani.

— Któż to jest ten pan Carrisford? — krzyknęła Jessie.

— Ten pan, co przyjechał z Indii. Kapitan Crewe też myślał to samo... i umarł... a pan Carrisford miał zapalenie mózgu i uciekł... i też o mało nie umarł. I ten pan nie wiedział, gdzie jest Sara... i okazało się, że w kopalniach były całe miliony diamentów... a połowa z tego należy do Sary... i należała już wtedy, kiedy mieszkała na poddaszu, nie widując nikogo prócz Melchizedecha, a kucharka posyłała ją po sprawunki[131]. A pan Carrisford odnalazł ją dziś po południu i zabrał ją do swego domu... i ona już nigdy tu nie wróci... i będzie jeszcze większą księżniczką, niż była dotychczas, sto pięćdziesiąt tysięcy razy większą! A ja jutro po południu pójde do niej w odwiedziny.

Nawet miss Minchin we własnej osobie nie zdołałaby uciszyć wrzawy, jaka powstała po tych słowach. Zresztą nawet nie próbowała jej uciszać. Nie miała chęci narażać się na coś więcej ponad to, co musiała znosić we własnym pokoju, przy łóżku płaczącej Amelii. Odgadła, że wieść o Sarze przeniknęła jakimś dziwnym sposobem na wylot przez ścianę i że wszystkie służące, wszystkie uczennice będą w łóżkach gwarzyły na ten temat.

Dziewczynki jakoś przewąchały, że w dniu tym nie obowiązują ich żadne przepisy szkolne, toteż przesiedziały prawie do północy w sali szkolnej, i skupiając się dokoła Ermengardy, kazały sobie po raz drugi i trzeci odczytywać list Sary, zawierający opowieść równie czarującą, jak ta, którą ona sama układała, a mającą ponadto ten urok, że jej widownią była sąsiednia kamienica, bohaterami zaś — sama Sara oraz tajemniczy *pan z Indii*...

Becky, do której również wieść ta dotarła, zdołała wobec powszechnego rozgardiaszu wymknąć się wcześniej na górę. Pragnęła uciec od ludzi i jeszcze raz przyjrzeć się czarodziejskiemu pokoikowi. Nie wiedziała, co teraz się z nim stanie. Mało było prawdopodobieństwa, by te wszystkie śliczne sprzęty miały przejść na własność miss Minchin: pewnikiem to wszystko kajś[132] zniknie, a pokoik będzie znów goły i pusty!... Pomimo całej radości, jaką czuła z powodu losu Sary, zaczęło ją coś dławić w gardle i łzy napływały jej do oczu, gdy wstępowała na ostatnie przeszło schodów.

— Juz tu tej nocy nie bendzie się paliło w piecu, nie bendzie tej cyrwonej lampki... nie bendzie



wiecerzy... nie bendzie i księżnicki, coby ta mi przeczytała albo i opowiedziała jakąsi pieknom historyją... Nie bendzie księżnicki!

Przemocą stłumiła płacz i nacisnęła klamkę. Gdy drzwi się otwały, z ust jej wyrwał się cichy okrzyk.

Ogień płonął na kominku, na stole stała przygotowana kolacja oraz lampa, rozsiewająca różowy blask po całym pokoju. Przy stole zaś stał Ram Dass, patrząc z uśmiechem w jej przerażoną twarz.

— *Missee sahib*[\[133\]](#) pamiętała o Becky — oznajmił z rozpromienioną twarzą — opowiedziała wszystko sahibowi i pragnie, by Becky wiedziała o szczęściu, jakie ją spotkało. Proszę przejrzeć list, leżący na tacy; pisała go *missee sahib*, bo nie chciała, żeby Becky poszła spać smutna... Sahib prosi, żeby Becky jutro przyszła do niego i była do osobistych usług *missee sahib*. Dziś w nocy zabiorę te wszystkie sprzęty i przeniosę je przez dach na dawne miejsce.

Powiedziawszy to, złożył nieznaczny *salaam*[\[134\]](#) i przelazł przez okno tak zręcznie i cicho, że Becky miała sposobność przekonać się naocznie, jak łatwo mu to przychodziło dawniejszymi czasy.

# Anna

Nigdy jeszcze nie panowała taka wesołość w dzieciennym pokoju Dużej Rodziny. Dzieciarnia nawet nie marzyła o tych radościach i przyjemnościach, jakie na nią spłynęły z bliższej znajomości z *dziewczynką, co nie była żebraczką*. Same jej przygody i przejścia uczyniły ją wprost nieoszacowanym nabytkiem. Dzieci kolejno napraszały się, by im opowiadała — po raz drugi, trzeci i dziesiąty — wszystko, cokolwiek jej się zdarzyło. Siedząc przy ciepłym ogniu w wielkim, jasnym pokoju, miło było słuchać o tym, jak to zimno bywało na poddaszu. Trzeba zaznaczyć, że dla poddasza poczuły dzieci prawdziwą sympatię — i że jego chłód i pustka wydawały się rzeczą drobnej wagi, ilekroć była mowa o Melchizedechu lub gdy się słyszało o wróbelkach i innych rzeczach, które można widzieć, stanąwszy na stole i wytknąwszy głowę przez okno.

Najulubieńszym tematem było, rzecz oczywista, opowiadanie o nieudanej uczcie i o śnie, który się ziścił. Po raz pierwszy opowiadała o tym Sara zaraz na drugi dzień po swoim przybyciu do domu pana Carrisforda. Było to przy podwieczorku, na który przybyło kilku członków Dużej Rodziny. Jedni siedli za stołem, inni pokładli się na dywanie przed kominkiem, a ona snuła po swojemu całą historię. Pan Carrisford słuchał i przyglądał się jej uważnie. Zakończywszy opowieść, Sara podniosła na niego oczy i złożyła mu rękę na kolanie.

— Opowiedziałam, co do mnie należało. A teraz może ty, wujaszku Tomaszu, opowiedziałbyś z kolei wszystko, co do ciebie należy? — (Na własną jego prośbę nazywała go stale *wujem Tomaszem*.) — Nie znam jeszcze twojej roli w tej opowieści... a pewno będzie to coś ładnego.

Pan Carrisford opowiedział więc, jak siadywał w swym gabinecie samotny, schorowany i zgorzkniały i jak Ram Dass starał się go nieco rozerwać, opisując mu widzianych z okna przechodniów. Wśród nich była dziewczynka, która częściej niż ktokolwiek inny przechodziła pod kamienicą. Pan Carrisford zaczął się nią interesować — po trosze dlatego, że sam właśnie wciąż rozmyślał o pewnej dziewczynce, po trosze zaś dlatego, że Ram Dass opowiedział mu o swej wizycie u niej w pogoni za małpką. On to opisał smętny wygląd pokoju oraz tryb życia dziewczynki, która nie zdawała się należeć do kasty kuchennych posługaczek i służących. Idąc trop za tropem, Ram Dass dokonywał coraz to nowych odkryć dotyczących nieszczęśliwej doli dziewczęcia. Przekonał się przy tym, jak łatwą było rzeczą przebycie kilku piędzi dachu, dzielących go od okna Sary. Ta okoliczność była początkiem wszystkiego, co nastąpiło.

— Sahibie<sup>[135]</sup> — rzekł pewnego dnia — może bym tak przekradł się po dachówkach do tego pokoiku i napalił tam w piecu, gdy dziewczynka będzie na sprawunkach w mieście. Gdy powróci, zziębnięta i przemoczona, i zobaczy ten ogień, pomyśli sobie, że to jakiś czarodziej go rozpałił.

Pomysł ten był tak uroczy, że smutna twarz pana Carrisforda rozjaśniła się uśmiechem. Ram Dass zaś wpadł w taki zachwyty, iż nie poprzestał na początkowym projekcie, lecz jął<sup>[136]</sup> klarować<sup>[137]</sup> swemu panu, jak łatwe byłoby wykonanie wielu jeszcze innych rzeczy. Ujawniał wprost dziecięcą radość i pomysłowość, a przygotowania do spełnienia planu zabrały mu wiele dni.

W ów wieczór, gdy na niczym spełzła zamierzona uczta, Ram Dass czuwał niez mordowanie, trzymając wszystkie paczki w pogotowiu na własnym poddaszu; wraz z nim czuwała i osoba, dodana

mu do pomocy, równie jak on zainteresowana całym przedsięwzięciem. Gdy uczta została przerwana w sposób tak niemiły, Ram Dass leżał plackiem na dachówkach, zaglądając przez okno w głąb pokoju. Przekonawszy się, że Sara zasnęła twardo, wziął *złodziejską latarkę* i wślizgnął się do pokoju; towarzysz pozostał na zewnątrz i podawał mu kolejno wszystkie rzeczy. Ilekroć Sara poruszyła się choćby nieznacznie, Ram Dass zamykał wieczko latarki i wyciągał się jak długi na podłodze. Tych i innych jeszcze, równie ciekawych szczegółów, dowiedziały się dzieci z ust pana Carrisforda, zasypując go tysięcznymi pytaniami.

— Och, jakże się cieszę, że to właśnie wujaszek był moim przyjacielem! — zawołała Sara.

Odtąd nie było równie oddanych sobie przyjaciół, jak tych dwoje. Przedziwnie przypadli sobie do serca. Pan Carrisford nigdy jeszcze nie miał kolegi ani towarzysza, którego tak kochał, jak Sarę. W ciągu miesiąca, zgodnie z przepowiednią pana Carmichaela, stał się innym człowiekiem. Ożywił się, poweselał i zaczął cieszyć się posiadaniem bogactwa, którego brzemień tak mu dawniej ciążyło. Układał więc różne piękne plany co do losów Sary i zabawiał się w *czarodzieja*, którego zadaniem i największą przyjemnością było sprawianie Sarze różnych niespodzianek. Znajdowała więc w swym pokoju coraz to inne i piękniejsze kwiaty, to znów różne kosztowne cacka wetknięte pod poduszkę. Pewnego wieczoru, gdy siedzieli razem, posłyszeli jakieś skrobanie w drzwi; gdy zaś Sara wyszła zobaczyć, co się święci, ujrzała wielkiego rasowego psa, na którego szyi widniała złota obroża z napisem: „Nazywam się Borys, a służę Księżniczce Sarze”.

Pan Carrisford niczego nie lubił bardziej od wspomnień o małej księżniczce w łachmanach. Miło płynęły popołudniowe godziny, ilekroć wypadła wizyta Ermengardy, Lottie lub Dużej Rodziny; jednakże i te godziny, w których Sara siedziała sam na sam z panem Carrisfordem, czytając i rozmawiając, miały swoisty urok.

Pewnego wieczoru pan Carrisford, podnosząc wzrok znad książki, zauważył, że Sara od dłuższego czasu siedzi nieruchomo, zapatrzona w ogień.

— O czym teraz dumasz, Saro? — zapytał.

Sara podniosła oczy, a na jej twarzy jaśniał rumieniec.

— Przypomniałam sobie dzień mojej głodówki i dziewczynkę, która wtedy widziałam.

— Ależ takich dni było wiele — odpowiedział pan Carrisford smutnym głosem. — Któryż to z nich masz na myśli?

— Zapomniałam, że wujaszek o nim nie wie — rzekła Sara. — Był to dzień, w którym mój sen się ziścił.

Opowiedziała mu całą historię o ciastkarni, o pieniądzu znalezionym w błocie i o dziecku, co było od niej głodniejsze. Opowiedziała to po prostu i jak najzwyczajniej — jednak pan Carrisford przysłonił oczy ręką i wpatrzył się w dywan.

— A teraz obmyślałam jakby pewien plan — rzekła na zakończenie.

— Jakież to plan? — zapytał pan Carrisford cichym głosem. — Masz prawo czynić, co ci się podoba, księżniczko.

— Wujaszek powiada, że jestem taka bogata... — zaczęła niepewnym głosem — więc przyszło mi na myśl, czy nie mogłabym odwiedzić tej sklepikarki i powiedzieć jej, że jeżeli kiedy... zwłaszcza w straszną szarugę zimową... jakieś zgłodniałe dziecko zajrzy w jej okno lub siądzie na jej progu, powinna natychmiast zawołać je do siebie i dać mu coś do jedzenia, a następnie przysłać mi rachunek. Czy mogę to zrobić?

— Pojedziesz tam jutro rano — odrzekł pan Carrisford.

— Dziękuję wujaszкови — rzekła Sara. — Bo ja, proszę wujaszka, wiem, co to znaczy być głodnym... a ciężiej jeszcze znosić głód, gdy ktoś nie umie omamić[138] go zmysleniem.

Nazajutrz rano miss Minchin, wyjrzawszy przez okno, zobaczyła widok, który jej wcale nie uradował. Powóz *pana z Indii*, zaprzężony w rosłe dwa konie, zatrzymał się przed bramą sąsiedniej kamienicy; z bramy wyszedł właściciel kamienicy i jakaś drobna figurka, oboje otuleni w ciepłe, kosztowne futra, i podeszli ku powozowi. Drobna figurka wydała się miss Minchin dobrze znaną i obudziła w niej pamięć minionych dni. Za nią kroczyła druga figurka, równie znajoma. Jej widok bardzo rozdrażnił przełożoną. Była to bowiem Becky, która w charakterze panny służącej stale odprowadzała swoją panią do powozu, niosąc okrycia i inne potrzebne rzeczy. Nie była to już ta Becky, co dawniej — twarz miała rumianą i okrągłą.

Wkrótce potem powóz zatrzymał się pod ciastkarnią, a jadący wysiedli — akurat w chwili, gdy właścicielka sklepu ustawiała na oknie wystawowym tackę z dymiącymi ciastkami.

Gdy Sara weszła do sklepu, kobieta odwróciła się, spojrzała na nią i zostawiwszy ciastka na oknie, podeszła do lady. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się uważnie w Sarę. Nagle jej dobroduszna twarz rozpromieniła się.

— Dałabym głowę, że sobie panią skądciś przypominam — bąknęła. — Ale...

— Owszem — wyręczyła ją Sara. — Pani raz dała mi sześć ciastek za cztery pensy, a...

— A pani dała pięć ciastek małej żebraczce — przerwała kobieta. — Pamiętam o tym zawsze... tylko, że zrazu nie pomiarkowałam[139] wszystkiego...

Dalszy ciąg przemówienia skierowała już w stronę pana Carrisforda.

— Pan szanowny wybaczy, ale niełatwo znaleźć młodą osobę, co by miała tak baczne[140] oko na twarz człowieka głodnego. Nieraz sobie o tym rozmyślałam. Niech mi panienka szanowna tego za złe nie weźmie — zwróciła się do Sary — ale pani teraz jakby bardziej rumiana... i lepiej wygląda, niż... niż wtedy... wtedy...

— Dziękuję pani, istotnie lepiej się teraz czuję... i... i lepiej mi się powodzi — odpowiedziała Sara. — A przybywam tu do pani z wielką prośbą...

— Do mnie, panienko szanowna! — zawołała sklepikarka, uśmiechając się dobrotliwie. — Owszem, daj Boże szczęście, niech panienka mówi. Czym mogę służyć?

Wówczas Sara, oparłszy się o ladę, przedstawiła swój projekt co do ciepłych ciastek i zgłodniałych sierotek. Kobieta słuchała, wpatrując się w nią osłupiałym wzrokiem.

— Ależ, daj Boże szczęście! — powtórzyła, wysłuchawszy do końca. — Uczynię to z całą przyjemnością! Sama pracuję ciężko i własnymi środkami zdziałać wiele nie potrafię... ale z pani pozwoleniem czuję się w obowiązku powiedzieć, że od owego dżdżystego dnia, dałam już niejedną kęs chleba ubogim, zawsze przy tym myśląc o pani... Jak pani była wówczas zziębnięta i przemoczona... i jaki głód wyzierał z jej oczu... A jednak pani tak hojnie ofiarowała swe ciastka, jak gdyby była co najmniej księżniczką.

Pan Carrisford mimo woli się uśmiechnął na te słowa. Sara również się uśmiechnęła, przypominając sobie, jakie to wyrzekła słowa, kładąc ciastka na okrytych łachmanami kolanach dziewczynki.

— Ona wydała się straszliwie zgłodniałą — odpowiedziała. — Była bardziej zgłodniała ode mnie.

— Była wprost zamorzona głodem — rzekła kobieta. — Nieraz potem mi opowiadała, że gdy tam siedziała na zimnie, zdawało jej się, jakby jakiś wilk wydzierał z niej wnętrzności.

— To pani widywała ją później? — zawołała Sara. — A może pani wiadomo, gdzie ona teraz przebywa?

— Owszem, wiem — odpowiedziała kobieta, uśmiechając się jeszcze dobroduszniej niż przedtem. — Przebywa już od miesiąca u mnie, a mieszka... oto w tym pokoiku. A jakie z niej porządne i uczciwe dziewczynisko! Jaka pomocnica w kuchni i w sklepie! Ani by jej teraz pani nie poznała!

Podeszła w stronę małej bokówki i coś zawołała przez drzwi. W chwilę później za ladą stanęła jakaś młoda dziewczynka. Była to dawna żebraczka — ale już odziana czysto i schludnie, a wyglądem swym świadcząca, że nie głodowała już od długiego czasu. Była jeszcze nieśmiała, ale już z oczu jej znikł dziki wyraz, a buzia bardzo wyprzymięta. Poznała Sarę od razu i stanęła, wlepiając w nią oczy, jakby nie mogąc się jej napatrzeć.

— Otóż, proszę pani — wyjaśniła kobieta — ja jej poleciłam, żeby przychodziła do mnie, gdy będzie głodna, a gdy przyszła, dawałam jej zawsze jakąś robotę. Przekonałam się, że jest do pracy chętna i jakoś ją polubiłam. W końcu dałam jej tu kącik; ona pomaga mi i sprawuje się dobrze, a zawsze darzy mnie wdzięcznością. Na imię ma Anna. Nazwiska nie posiada.

Dziewczynki stały czas jakiś, przyglądając się sobie wzajemnie; następnie Sara wyciągnęła rękę z zarekawka i wyciągnęła ją poza ladę. Anna uścisnęła jej rękę — i obie dziewczynki spojrzały sobie w oczy.

— Bardzo się cieszę — rzekła Sara. — Właśnie coś przyszło mi na myśl. Może pani Brown nie będzie miała nic przeciw temu, żebyś dawała chleb i ciastka biednym dzieciom... a i tobie może sprawi to przyjemność, bo przecie wiesz, co to znaczy być głodną.

— Tak jest, panienko — odpowiedziała dziewczynka.

A Sara czuła, iż ta dziewczynka zrozumiała jej słowa, mimo że mówiła tak mało — i tylko stojąc w miejscu patrzyła za nią, jak wyszła ze sklepu i wraz z panem Carrisfordem wsiadła do powozu.

Za chwilę powóz zaczął się oddalać.

# Przypisy:

[1]

*laskar* — indyjski marynarz.

[2]

*bungalow* — drewniany dom z werandami.

[3]

*sahib* (ar.) — pan, władca; tytuł grzecznościowy w Indiach.

[4]

*salaam* (ar.) — ceremonialne powitanie.

[5]

*ayah* (z port. *aia*) — służąca, opiekunka pracująca dla Europejczyków żyjących w południowej Azji.

[6]

*cyferblat* (daw., z niem.) — tarcza zegara.

[7]

*naraz* (daw.) — nagle.

[8]

*plenipotent* — pełnomocnik.

[9]

*surdut* — rodzaj przedłużonej marynarki.

[10]

*jqć* (daw.) — zacząć.

[11]

*suto* — obficie.

[12]

*Comme elle est drôle!* (fr.) — Jaka ona śmieszna!

[13]

*Elle a l'air d'une princesse, cette petite!* (fr.) — Ona zachowuje się jak księżniczka, ta mała!

[14]

*monsieur* (fr.) — pan.

[15]

*zmiarkować* (daw.) — zorientować się, zauważyć.

[16]

*le bon pain* (fr.) — dobry chleb.

[17]

*naraz* (daw.) — nagle.

[18]

*gwarzyć* (daw.) — rozmawiać.

[19]

*ustawiczny* (daw.) — ciągly.

[20]

*atoli* (daw.) — lecz, jednak.

[21]

*mir* (daw.) — szacunek.

[22]

*nie omieszkąć* (daw.) — nie zaniedbać czegoś, zrobić coś.

[23]

*podwstępny* — tu: początkowy.



[24]

*rad* (daw.) — zadowolony.

[25]

*nawyknąć* — przyzwyczać się.

[26]

*przestawać* (daw.) — przebywać.

[27]

*bawić* (daw.) — przebywać gdzieś.

[28]

*suterena* (z fr.) — kondygnacja mieszkalna znajdująca się poniżej parteru, częściowo pod ziemią.

[29]

*gęźba* (daw.) — muzyka.

[30]

*niepodobna* (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe.

[31]

*okrasić* — tu: ozdobić.

[32]

*bawić* (daw.) — przebywać gdzieś.

[33]

*popychadło* (pogardl.) — osoba słaba i wykorzystywana przez innych.

[34]

*rad* (daw.) — zadowolony.

[35]

*wylajać* — skrzyczeć.

[36]

*jeszcze by się jej roiło* — jeszcze by sobie wyobrażała, jeszcze by się łudziła.

[37]

*feston* — dekoracja z podwieszanej tkaniny.

[38]

*binokle* — dawny rodzaj okularów, przyczepianych do nosa za pomocą sprężynki, a za to pozbawionych uchwytów na uszy.

[39]

*jqć* (daw.) — zacząć.

[40]

*plenipotent* — pełnomocnik.

[41]

*urągliwie* — ze złością i pogardą.

[42]

*febra* — choroba tropikalna.

[43]

*maligna* — gorączka połączona z halucynacjami.

[44]

*niepodobna* (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe.

[45]

*nawyknąć* — przyzwyczać się.

[46]

*bez mała* (daw.) — prawie.

[47]

*kusy* (daw.) — krótki.

[48]

*dyć* — (gwarowe) przecież.

[49]

*suterena* (z fr.) — kondygnacja mieszkalna znajdująca się poniżej parteru, częściowo pod ziemią.

[50]

*kusy* (daw.) — krótki.

[51]

*fumy* — kaprysy.

[52]

*nikiej* — (gwarowe) nigdy.

[53]

*suterena* (z fr.) — kondygnacja mieszkalna znajdująca się poniżej parteru, częściowo pod ziemią.

[54]

*stronić* — unikać.

[55]

*kazamaty* — podziemne cele w ciężkim więzieniu.

[56]

*Château d'If* (fr.) — zamek na wyspie If w pobliżu Marsylii. Najpierw twierdza, następnie więzienie. Odgrywa dużą rolę w powieści *Hrabia Monte Christo* Aleksandra Dumasa, stanowiąc miejsce uwięzienia głównego bohatera.

[57]

*gwarzyć* — rozmawiać.

[58]

*kobierzec* — ozdobny dywan.

[59]

*imbryczek* — czajnik.

[60]

*jąć* (daw.) — zacząć.

[61]

*naraz* (daw.) — nagle.

[62]

*jasełka* — przedstawienia o tematyce bożonarodzeniowej.

[63]

*baczny* — uważny.

[64]

*pokrasnieć* (daw.) — zaczerwienić się.

[65]

*żachnąć się* — oburzyć się.

[66]

*urągać* — wymyślać komuś a. wyrażać względem kogoś niezadowolenie.

[67]

*pasja* — tu: złość.

[68]

*grubiański* — prymitywny, niekulturalny.

[69]

*pokątnie* — skrycie.

[70]

*łajać* — ostro krytykować.

[71]

*drzewo tekowe* — rodzaj tropikalnego drzewa.

[72]

*inkrustacja* — rodzaj umieszczanej na powierzchni przedmiotu dekoracji, wykonywanej z innego materiału niż ozdabiany przedmiot.

[73]

*nawyknąć* — przyzwyczać się.

[74]

*rad* (daw.) — zadowolony, chętny.

[75]

*rączy* — szybki.

[76]

*tedy* (daw.) — więc, zatem.

[77]

*ciągiem* — ciągle.

[78]

*batwan* — tu: posązek pogańskiego bóstwa.

[79]

*Non, monsieur. Je n'ai pas le canif de mon oncle* (fr.) — Nie, proszę pana. Nie mam scyzoryka mojego wujka.

[80]

*bramowany* — obsyty czymś po brzegach.

[81]

*chryzopraz* — jasnozielony, dekoracyjny minerał.

[82]

*suty* (daw.) — obfity.

[83]

*laskar* — indyjski marynarz bądź służący.

[84]

*sahib* (ar.) — pan, władca; tytuł grzecznościowy w Indiach.

[85]

*chyżo* — szybko.

[86]

*radża* — tytuł lokalnego władcy w Indiach.

[87]

*popychadło* (pogardl.) — osoba słaba i wykorzystywana przez innych.

[88]

*niepodobieństwo* — coś nieprawdopodobnego, niemożliwego.

[89]

*Maria Antonina Habsburg* (1755–1793) — żona Ludwika XVI, ścięta w okresie Rewolucji Francuskiej.

[90]

*pałac Buckingham* — miejsce zamieszkania angielskiej rodziny królewskiej.

[91]

*incognito* (z łac.) — nie ujawniając swojej prawdziwej tożsamości.

[92]

*jąć* (daw.) — zacząć.

[93]

*karność* — dyscyplina.

[94]

*poczytywać* — uznawać.

[95]

*zakutać* — owinać.

[96]

*kiejby* (gwarowe) — gdyby.

[97]

*kusy* — krótki.

[98]

*rynsztok* — otwarty kanał odprowadzający wodę deszczową i nieczystości, znajdujący się obok ulicy.

[99]

*dyć* (gwarowe) — przecież.

[100]

*nikaj* — (gwarowe) nigdzie.

[101]

*wcale* (daw.) — całkiem.

[102]

*trojka* (z ros.) — zaprzęg trzykonny.

[103]

*mużyk* (ros.) — chłop w dawnej Rosji.

[104]

*jąć* (daw.) — zacząć.

[105]

*wnosić* — wnioskować.

[106]

*sahib* (ar.) — pan, władca; tytuł grzecznościowy w Indiach.

[107]

*parias* — członek najniższej kasty w Indiach; przen. wyrzutek.

[108]

*oponować* — sprzeciwiać się.

[109]

*wieść* — prowadzić.

[110]

*Carlyle, Thomas* (1795–1881) — szkocki satyryk i eseista, a przede wszystkim historyk i filozof historii.

[111]

*Robespierre, Maximilien Marie Isidore de* (1758–1794) — jeden z przywódców rewolucji francuskiej, stał na czele klubu jakobinów, wsławił się licznymi egzekucjami.

[112]

*koniugacja* — odmiana czasownika przez osoby, liczby, czasy, tryby itd.

[113]

*minstrel* — śrdw. muzyk, śpiewak i poeta.

[114]

*nikiej* — (gwarowe) nigdy.

[115]

*godowy* (daw.) — świąteczny.

[116]

*suty* (daw.) — obfity.

[117]

*skwapliwie* (daw.) — szybko, chętnie.

[118]

*impertynencja* — obraźliwe zachowanie.

[119]

*wszak* — przecież.



[120]

*jqć* (daw.) — zacząć.

[121]

*utyskiwać* — narzekać.

[122]

*laskar* — indyjski marynarz bądź służący.

[123]

*niepodobna* (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe.

[124]

*sahib* (ar.) — pan, władca; tytuł grzecznościowy w Indiach.

[125]

*ambaras* (daw.) — kłopot, przykrość.

[126]

*laskar* — indyjski marynarz bądź służący.

[127]

*sprawunki* — zakupy.

[128]

*jqć* (daw.) — zacząć.

[129]

*zaperzyła* — zagniewać się, zawziąć, broniąc swoich racji.

[130]

*wieża Babel* — tu: zamęt, bezład, chaos.

[131]

*sprawunki* — zakupy.

[132]

*kajs* (gwarowe) — gdzieś.

[133]

*sahib* (ar.) — pan, władca; tytuł grzecznościowy w Indiach.

[134]

*salaam* — arabskie powitanie, dosł.: pokój.

[135]

*sahib* (ar.) — pan, władca; tytuł grzecznościowy w Indiach.

[136]

*jqć* (daw.) — zacząć.

[137]

*klarować* — wyjaśniać.

[138]

*omamić* — oszukać.

[139]

*pomiarkować* (daw.) — zrozumieć.

[140]

*baczny* — uważny.

Ten utwór nie jest chroniony prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji [Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL](#).

Źródło: <http://www.wolnelektury.pl/katalog/lektura/mala-ksiezniczka>

Tekst opracowany na podstawie: Frances Hodgson Burnett, Mała księżniczka, Oficyna Wydawnicza Viator, Warszawa 1993

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://www.wolnelektury.pl>).  
Reprodukcja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska, Paweł Koziół.

Okładka na podstawie: [HolySkittles@Flickr, CC BY 2.0](#)



Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur.  
Nazwa organizacji: Fundacja Nowoczesna Polska  
KRS 0000070056

Plik wygenerowany dnia 2012-09-04.